



SIECI

**KACZYŃSKI WICEPREMIEREM
I SILNIEJSZY RZĄD**

**Z CHAOSU WYŁANIA
SIĘ PLAN
LIDERA PiS**

**MINISTER ZBIGNIEW RAU:
TRÓJMORZE
MA MOC**

**UKĄSZENIE
KORWINEM
I JEGO SKUTKI**

**LEWICOWY TERROR
NA ZACHODNICH
UCZELNIACH**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 40 (409) 2020
28 IX – 4 X 2020
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

DLACZEGO KREML BOI SIĘ POLSKI

**MAREK BUDZISZ O TYM,
JAK ROSYJSKIE ELITY
Z NIEPOKOJEM PATRZĄ
NA ROSNĄCĄ W SIŁĘ
RZECZPOSPOLITĄ**



TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

SIECI

**W SIECI
HISTORII**



Fot. Shutterstock

W PREZENCIE KOLEKCJA NUMIZMATÓW W OZDOBNYM BLISTRZE



ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ PAKIETU:

tygodnik **SIECI** i magazyn **W SIECI HISTORII** za 280 zł,
a kolekcję numizmatów Wielcy Polacy otrzymasz **GRATIS!**

tel. 22 616 36 00 | prenumerata@fratria.pl
www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłaty za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Unijne instytucje chcą Polskę pogrążyć, ale robią z niej bohatera

Parę miesięcy temu, w czasie kiedy w instytucjach unijnych toczyła się dyskusja o tym, czy dostęp państw członkowskich do wspólnych środków ma być związany z tzw. zasadą praworządności, napisałem, że „Polska ma dzisiaj problem z Brukselą, ponieważ chce budować własne sądownictwo, a to oznacza, że jutro wszyscy w regionie Europy Środkowej moglibyśmy się znaleźć na linii ataku z wielu innych powodów”.

Dla przykładu, kto nam zagwarantuje, że Chorwacja, która podczas referendum w 2013 r. ochroniła definicję małżeństwa jako wspólnoty kobiety i mężczyzny, nie zostanie w pewnym momencie zmuszona, aby ten zapis w konstytucji zmienić? Czy ta ochrona tradycyjnego małżeństwa stanie się wystarczającym powodem dla liberalów, aby oskarżyć nas o niszczenie „zasady praworządności”?

Dzisiaj jednak, kiedy szefowa KE Ursula von der Leyen mówi o „strategii wzmocnienia praw osób LGBTQ”, którą niedługo ma przyjąć Komisja, tamta przestroga nabiera aktualności. „Nie spocznę w wysiłkach na rzecz budowy Unii równości, gdzie wszyscy mogą być tym, kim naprawdę są – bez obawy przed oskarżeniami lub dyskryminacją, bo bycie sobą to nie jest ideologia... W ramach tego będę również dążyć do wzajemnego uznawania stosunków rodzinnych w UE. Jeśli jesteś rodzicem w jednym kraju, jesteś rodzicem w każdym kraju” – ostrzega szefowa KE w swojej mowie w Parlamencie Europejskim, w której przedstawiła „swoją wizję Europy”.

Jak widzimy, w tej wizji chodzi o narzucenie swojego światopoglądu i jednej polityki, która decyduje o wszystkim. Naprawdę nie jesteśmy dalecy od sytuacji, gdy państwa, które w swoich konstytucjach bronią małżeństwa jako wspólnoty kobiety i mężczyzny (jak Polska albo Chorwacja) będą z tego powodu oskarżane o „niszczenie praworządności”.

W Parlamencie Europejskim w tym czasie dzieje się jeszcze jedna rzecz. Oto PE przegłosowa-

wał projekt rezolucji dotyczącej praworządności w Polsce. Chodzi o jeszcze jedną próbę presji na polski rząd. I tu dochodzimy do optymistycznego wniosku, bo wygląda na to, że nie przyniesie ona oczekiwanego przez Brukselę efektu. Co więcej, pojawia się szansa, że efekt będzie akurat kompletnie odwrotny do zamierzonego.

Rezolucja PE, która krytykuje polski rząd, tylko polepszy jego reputację w większej części europejskiej opinii publicznej. Mówię o tej części, która czuje, że instytucje UE są coraz bardziej oddalone od interesów zwykłego europejskiego obywatela i że ich głównym zadaniem jest narzucanie ideologicznych agend.

Wiem, jak informacje o takich rezolucjach wymierzonych przeciwko Polsce czy Węgrom są przyjmowane w Chorwacji. Pod tekstami na ich temat można przeczytać komentarze wspierające Warszawę i Budapeszt i żal, „dlaczego nie mamy takiego rządu”. Ci, którzy próbują zrobić z Polski enfant terrible Europy, robią z niej bohatera. To fakt.

Dlatego nie powinniśmy się obawiać ewentualnych piarowskich konsekwencji tych rezolucji. Musimy jednak być świadomi, jak mówił o tym niedawno eurodeputowany Witold Waszczykowski, że mogą być one wstępem do procesu, w którym UE będzie „definiować praworządność bardzo szeroko, a więc będą w niej uwzględniać prawo do aborcji, prawa LGBT itd.”. Dlatego potrzeba nam wytrwałej pracy nad budową koalicji broniącej praworządności, takiej jaką zapisano w traktatach, przed bezprawnymi, ideologicznie motywowanymi nadużyciami.

Ostatni sukces premiera Mateusza Morawieckiego na Litwie, gdzie premier Saulius Skvernelis stwierdził, że opowiada się za Polską w jej sporze z Komisją Europejską dotyczącym reformy wymiaru sprawiedliwości oraz zapewnił, że jego kraj nie poprze ewentualnych sankcji wobec Polski, to dowód, iż jest to możliwe.

Goran Andrijačić




34

Europa szykuje się na drugą falę COVID-19
Marek Budzisz


46

Bezwzględny jak Agora
Marek Pyza


52

Młodzi jako taran rewolucji
Grzegorz Górny

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 RAZ ZA RAZEM**
Krzysztof Feusette
- 9 SUPERMENI**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 FEJKI I HEJTY OJKOFOBÓW**
Jan Pietrzak
- 13 KRYZYS RZĄDOWY, CZYLI DEMONICZNOŚĆ POLITYKI**
Bronisław Wildstein
- 14 ZDJĘCIA Z PODRÓŻY KSAWEREGO SZLENKIERA**
Michał Korsun
- 15 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 HEJTER NIE TAKI BEZKARNY**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

- 20 POLSKA, ZMARTWIENIE PUTINA**
Marek Budzisz

KRAJ

- 25 Z PROF. ZBIGNIEWEM RAUEM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy
- 29 PREMIER ZE WSPOMAGANIEM**
Jan Rokita
- 32 WIĘCEJ RZĄDU W RZĄDZIE**
Stanisław Janecki
- 34 EUROPA SZYKUJE SIĘ NA DRUGĄ FAŁĘ COVID-19**
Marek Budzisz
- 37 WŚCIEKLI NA PAŃSTWO**
Dorota Łosiewicz
- 40 UKĄSZENIE KORWINEM**
Konrad Kołodziejski
- 43 Z PROF. ANNĄ ŁABNO**
rozmawia Aleksandra Jakubowska
- 46 BEZWZGLĘDNY JAK AGORA**
Marek Pyza

ŚWIAT

- 48 ZDRAJCY POPRAWNOŚCI**
Aleksandra Rybińska
- 52 MŁODZI JAKO TARAN REWOLUCJI**
Grzegorz Górny

SIECI KULTURY

- 57 DROGA BEZ ŁEZ**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 59 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 60 KOCHAJ SIĘ BEZWSTYDNI**
Robert Tekieli
- 61 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 62 CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

HISTORIA

- 64 SKRADZIONA ŚMIERĆ**
Remigiusz Stefani
- 68 SŁAWNI POLACY, KTÓRZY ZMIENILI ŚWIAT**
Dodatek

KUCHNIA

- 72 MOJE SMAKI: WIETNAM DLA DOCIEKLIWYCH**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 73 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 74 OFENSywa HOLLYWOODZKIEJ MIĘDZY NarodÓWki**
Hanna Karp
- 76 NIE MA NAKAZU POWSZECHNEGO NOSZENIA MASECZEK**
Maciej Pawlicki
- 78 PRZESZŁOŚĆ ZOBOWIĄDUJE**
Alina Czerniakowska
- 79 FELIETON/Z ŻYCIA KOŚCIOŁA**
Lech Makowiecki, Agnieszka Ponikiewska
- 80 NIE JESTEŚMY KOLONIĄ**
Jan Pospieszalski
- 81 NA GRZYBY! PRZYPOMNIENIE**
Leszek Długosz
- 82 WZAJEMNE BICIE NA ALARM**
Andrzej Zybortowicz



zawiera aż **80%**
alkoholu

TRISEPT MAX

Bezpieczeństwo każdego dnia

– w miejscu publicznym, pracy i domu.

Skutecznie likwiduje wirusy, bakterie i grzyby.

Produktów biobójczych należy używać z zachowaniem środków ostrożności. Przed każdym użyciem należy przeczytać etykiety i informacje dotyczące produktu.

Trisep MAX, płyn. Produkt służący do higienicznej i chirurgicznej dezynfekcji rąk o działaniu wirusobójczym, bakterioobójczym, grzybobójczym. Produkt do powszechnego stosowania oraz do zastosowania w obszarze medycznym. Skład: Etanol 73%, Propan -2 ol, 10%, gliceryna 10%, woda oczyszczona. Producent: Tarchomińskie Zakłady Farmaceutyczne „Polfa” S.A. 03-176 Warszawa, ul. A. Fleminga 2. Nr pozwolenia na obrót produktem biobójczym: 8152/20. Wysoce łatwopalna ciecz i para. Działa drażniąco na oczy. TRI/514/19/08/2020



Sygnalista nadaje

🔊 Rafał Trzaskowski znów nie błysnął kreatywnością. Wobec spadku dochodów Warszawy nawet nie próbuje szukać oszczędności, ale od razu sięga po topór. Wzrosnąć mają ceny biletów, opłaty za parkowanie, miasto będzie zaciągało nowe kredyty, część inwestycji zostanie odłożona. „Mówiliśmy, że niestety idą trudne czasy” – stwierdził Trzaskowski, oskarżając rząd o „spychanie coraz większej ilości zadań na barki samorządów”. W sztuce usprawiedliwiania się niedoszły prezydent Polski rzeczywiście nieustannie się rozwija.

🔊 W czasie kampanii wyborczej Trzaskowski oskarżał rząd o to, co dziś robi sam. „Nie ma zgody na podwyższenie podatków, nie ma zgody na nowe podatki, nie ma zgody na masowe zwolnienia” – mówił w Płocku. Teraz apeluje do rządu o pomoc: „Przez cały czas jasno zgłaszamy się do rządu z postulatami poprawy sytuacji samorządów, bo to samorządy są na pierwszej linii walki z koronawirusem”. Rząd niestety nie może pomóc, bo musiałby podnieść podatki. I koło się zamyka.

🔊 Konferencja prasowa, podczas której Trzaskowski przedstawił propozycje cięć budżetowych, zostanie zapamiętana także z powodu jej zakończenia. Czujni internauci zauważyli, że prezydent Warszawy czeka przed drzwiami wyjściowymi, aż otworzy mu je kobieta – Karolina Galecka, rzecznik prasowy miasta. Niby drobnotka, ale potwierdza, że Trzaskowski to w sumie mocno zagadkowy człowiek. Czegoś brakuje.

🔊 Zapowiadana od dawna Nowa Solidarność musi poczekać na lepszy klimat. Cześć nie chce za to Szymon Hołownia. „W sondażach mamy 10–14 proc. To przełożyłoby się na 40 do 80 mandatów w Sejmie” – ocenia i ma rację. Ale jak dowieźć to poparcie do 2023 r.? Pomysłu brak. Dlatego Hołownia stroi miny, pokrzykuje, prowokuje. Nic to nie zmieni, śniegu nie da się uratować przed słońcem. Platforma słusznie patrzy na te wygibasy z dużym politowaniem.

🔊 Ale Platforma też ma swoje problemy. Sporo wesołości wzbudził wniosek Borysa Budki o odwołanie ministra sprawiedliwości. Taki wniosek w takim momencie oznaczał dużą pomoc dla Zbigniewa Ziobry. Memy, na których lider Solidarnej Polski niesie kwiaty liderowi PO, dobrze oddawały sens całej sytuacji. Ale Budka wie, co robi. Jest osłabiony, ostrzeliwany i szuka szansy na ucieczkę do przodu. A możliwość wygłoszenia ostrego przemówienia w Sejmie to zawsze coś.

🔊 Kogo Polacy uważają za najlepszego lidera opozycji? Ciekawe wyniki przyniósł sondaż IBRIS, według którego na pierwszym miejscu jest Rafał Trzaskowski (24,6 proc.), dalej Szymon Hołownia (21,9 proc.), a na trzecim Krzysztof Bosak z bardzo wysokim wynikiem (15,7 proc.). Kolejny dowód, że PiS nie powinno lekceważyć Konfederacji, a na pewno nie powinno jej pomagać. Lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu.

🔊
Lech Wałęsa kończy 77 lat. Z okazji urodzin zdobył się na taką oto refleksję: „Ja już tęsknię do wiecznego życia. Chcę zobaczyć, co tam jest. To tutaj mnie już nudzi, tylko samego przejścia się boję”. Podkreślił, że jest gotowy na śmierć, bo jest człowiekiem spełnionym: „Dzieci mam, dom postawiłem. Co tam jeszcze? Nasadziłem drzew. To, co miałem do zrobienia, zrobiłem. Wszystkie miejsca zwiedziłem. Papięzem nie będę – to jedyne, czego nie osiągnę”. Jeszcze trochę czasu jest, ale za tę sprawę z lat 70. warto jednak naród przeprosić.

» A po stronie koalicji zamiast trzech lat spokoju mamy kolejną porcję politycznych emocji, czyli rozmowy koalicyjne. Wielopiętrowe, wielowarstwowe, pełne zwodów i zakrętów. Rozmowy, którymi najbardziej ekscytowały się media III RP, obficie karmione tzw. spinem – czyli odpowiednio podkreconymi bądź zniekształconymi informacjami – przez wszystkie strony. W sumie smutny widok. Zamiast repolonizacji rynku mamy chyba coś odwrotnego.

» Dziś wygląda na to, że strony się dogadały, ale jeśli nie będzie głębszej refleksji, to nie ma pewności, że ta konstrukcja polityczna przetrwa do kolejnych wyborów. To w jakiejś mierze także skutecznym sukcesem ostatnich lat; wielu polityków prawicy podświadomie zakłada, że zdobycie władzy to w sumie nic trudnego, że to kwestia czasu. Można tylko zalecić wycieczkę np. do Francji i rozmowę z politykami Zjednoczenia Narodowego (dawniej Frontu Narodowego). Chętnie opowiedzą, co znaczy gnić całe dekady za kordonem sanitarnym.

» Do rządu wejść ma Jarosław Kaczyński. Będzie kierował Komitetem Spraw Wewnętrznych, Sprawiedliwości i Obrony Narodowej. Według jednych prezes PiS ma pilnować tego, co robi Zbigniew Ziobro. Według innych ma pilnować i nadzorować wszystkich, bez żadnych wyjątków. Jedno nie ulega wątpliwości: jeśli tak się stanie, zmieni się bardzo wiele. I może to być zapowiedź jeszcze poważniejszych zmian.

» Zrządem powoli żegna się minister rolnictwa Jan Krzysztof Ardanowski, ostro sprzeciwiający się piątce dla zwierząt: „Nie będę podejmował żadnych działań przeciwko PiS. Nie jestem obrażonym chłopcem, który nie wie, co robi. Prezes Kaczyński poinformował o konsekwencjach sprzeciwienia się jego woli. Są więc one dla mnie oczywiste, zapewne wiąże się z tym i utrata funkcji ministra. Świat się na tym nie kończy. Chciałem jedynie dobrze zasłużyć się, po pierwsze, Polsce, a po drugie, również rolnikom, którzy mi uwierzyli i popierali PiS”. Życie bywa okrutne.

» Wicepremier Jadwiga Emilewicz oceniła ironicznie, że „Krzysztof Czabański jest skuteczny, w końcu swoją ciężką pracą zbudował Radio Nowy Świat”, po czym dodała: „Mnie za krytykę Rady Mediów Narodowych z tychże mediów skutecznie wycięto, ale nie zmieni to mojego zdania, że media publiczne są w Polsce potrzebne i nawet te niszowe, jak TVP Kultura, spełniają swą rolę”. Skoro wszyscy oglądają pasjami (lewicową) TVP Kultura, to dlaczego ma tak kiepskie wyniki?



» Czabański odpowiedział listem i wyliczeniem: „W ostatnich sześciu miesiącach Pani Premier Emilewicz pojawiła się na antenach Polskiego Radia kilkakrotnie, mówiąc do słuchaczy w sumie przez 8 godzin 47 minut i 12 sekund”. Potem nastąpiła szpileczka: „Okazuje się zatem, że w urabianiu opinii publicznej według własnego widzimisię bez oglądania się na rzeczywistość nie dorastam do szacownych pięt Pani Premier”. Nie wiadomo, ile razy premier Emilewicz wystąpiła na antenie Radia Nowy Świat.

» Wspomniane wyżej media III RP wciąż niszcza była premier Beata Szydło. Robią to z pasją, która naprawdę wykracza nawet poza zwyczajowo nikczemne standardy. Założony przez Niemców dla Polaków tabloid „Fakt” donosi na okładce: „Była premier Beata Szydło zajeżdża pod siedzibę PiS limuzyną za 130 tys. zł”. Tytuł woła: „Superfurą na odsiecz Ziobrze”, a wykrzywione zdjęcie pani premier dopełnia grozy. Czym jeżdżą redaktorzy „Faktu”, skoro tak ich oburza średniej klasy auto? Ale właściwe pytanie powinno brzmieć inaczej: kto zleca tę nienawiść?

» Tymczasem prezydent pokazał, że pamięta o skandalicznej akcji z „ulaskawieniem pedofila” i okładką, która mogła sugerować, że to Andrzej Duda dopuścił się okropnych czynów. „Pałac Prezydencki po raz kolejny odmówił akredytacji naszym dziennikarzom. »Fakt« chciał relacjonować pierwszą zagraniczną podróż prezydenta Andrzeja Dudy w nowej kadencji” – poskarżyła się redakcja tuż przed wylotem głowy państwa do Watykanu i Rzymu. Może Trzaskowski gdzieś zabierze?

» Na fasadzie budynku Komisji Europejskiej w Brukseli zaprezentowano iluminację „Stop strefom wolnym od LGBT w Polsce”. Wykorzystano polskie symbole narodowe – godło przedstawiono na tęczowym tle, a czerwień zamieniono na kolory flagi LGBT. Za akcją stoi Kampania przeciw Homofobii. Jak brzmiała ta mantra powtarzana w latach 90.? „Unia nie zajmuje się sprawami światopoglądowymi, to kompetencja państw narodowych”?

» Sylwia Spurek, europosłanka Wiosny, dawniej zastępczyni Adama Bodnara, wygląda pomocy. „Oczekuję od prezydencji niemieckiej twardych konkretów dot. utworzenia mechanizmu powiązania funduszy UE z praworządnością. Same słowa i deklaracje niewiele znaczą. Rządy Polski i Węgier muszą wreszcie ponieść konsekwencje. Ile jeszcze mamy czekać?” – pyta dramatycznie. Może „pomoc” przyjdzie szybciej, jeśli poprosi również na wschodzie?

Psia ich mać. Nie mogę dłużej milczeć. Wszystko zniosę, zniosę, to znaczy nie zniosę jednego. Rękę podnoszą na moje zwierzęta, zwierzęta? Przepraszam, to z nerwów. Na moje?! Facebook mi świadkiem, wiele darowałem. Ileż razy odwracałem głowę, by nie widzieć tego, co zobaczyć potrafiłem tylko ja. Ileż razy z niesmakiem udawałem się do kasy w celu pobrania jałmużny od reżimu. Tak, tak, reżimu, teraz już wiem. To znaczy wiedziałem zawsze. Mówiłem ludziom: to są debile. Mówiłem debilom: to są krety. Mówiłem krety, dawałem do zrozumienia, zręcznie mrugałem w wiadomym kierunku, a teraz? Teraz mi wstyd. Niedodzien jestem miana autorytetu. Zawieście czerwone latarnie nad moją książką bestsellerową, gdyż jak mnie nikt nie pochwali, to sam się pochwalę i odwrotnie. Dość milczenia, milczałem cztery razy w tygodniu, albo i częściej. Szczerze? Nie jestem w stanie ubrać w kulturalne słowa tego, co obecnie czuję. To znaczy ubrać ubiorę, ale żeby w kulturalne, to nie dam rady. Serio. Tak mnie wk...wili. Nie będę już teraz przytaczał wszystkich tych wyzwisk w stylu „biznesmeni” albo „lobby” pod adresem polskiego rolnika. Bo każdy, kto uprawia, przepraszam, hoduje, przepraszam, hoduje zwierzęta, ten uprawia rolę hodowcy, więc jest rolnikiem. I basta, jakby powiedział Wyspiański. Bo niby jaki przekaz ma płynąć ze stwierdzenia, iż ten, kto trzyma w klatkach zwierzęta, a potem obdziera je ze skóry na futra, bez których padną hurtownie za Uralem oraz 99 proc. gospodarstw wiejskich na całym świecie, ten tych zwierząt nie szanuje? Jak tak można? Czy obdziera wszystkie żywe istoty? Czy gdyby jego syn miał np. akwarium, to też by je obdzierał, te rybki? Tu jest pies pogrzebany. Bo pies musi wiedzieć, gdzie jest jego miejsce. Często taki przysłowiowy pies, gdyby nie był na łańcuchu, mógłby pogryźć swego pana. Czy to nie byłoby uderzenie w rolnika? Przypomnę, że mówimy tutaj o czternastu miliardach sześciuset pięćdziesięciu ośmiu milionach trzystu osiemnastu tysiącach siedmiuset dziewięćdziesięciu czterech psach. Jeśli się mylę, niech mnie kolega Bosak poprawi, bo on o łańcuchach wie wszystko. A z norkami to nawet rozmawiał na filmie. Bardzo wzruszający moment, gdy przekonuje je, że klatki są w porządku, a bez futer czy dywaników polska gospodarka, ba, polska niepodległość po prostu, oraz polskie rolnictwo, oczywiście, ulegną zagładzie. I zwierzęta to rozumiem, a ciemnota ni w ząb. Biedni ludzie, którzy wpłacają miliardy do budżetu, pobrali kredyty, a pojutrze będzie po futrze? Przecież to jest uderzenie w samo jądro prawicy! Konkretnie prawe! A na takie uderzenie odpowiedzieć można tylko krzykiem!

Raz za razem



KRZYSZTOF FEUSETTE

Dlatego muszę się teraz poważnie zastanowić, z czego mnie już wywalili, a z czego sam zrezygnowałem. Napisałem, że Kaczyński oszalał, to mi odpisali, że chyba ja. Nie będę tego komentował. Po pierwsze – nie ja czerpałem ze źródełka, a źródelko ze mnie. To po drugie. A po trzecie – czuję się zaatakowany osobiście jako człowiek tej ziemi. Nie powiem, jak kolega z Onetu, że jak przyjdą obrońcy praw zwierząt, to ich potraktuję „z laczka”, bo, jak widać, nie wszyscy powinni mieć zwierzęta. On, na szczęście, nie ma, poza zwierzęciem, które się w nim budzi, gdy zupa była zasłonięta. Powiem za to coś, czego nie chcę. Ale muszę. Proszę państwa, ta ustawa łamie traktaty europejskie. Wiem, wcześniej mówiłem, że można sobie nimi norke... przepraszam, to chyba podświadomość... no, w każdym razie – podejrzewać. Nie w tej sytuacji. Nie wobec jawnego łamania praw rolnika oraz jego zwierząt. Na litość boską, przecież nawet ludzie w jaskiniach mieli futra! Czy musimy tak gwałtownie ze wszystkiego rezygnować? Czy chociaż jedna norka albo jeden kurczak zagłosują na prawicę? Nie, one wybiorą Biedronia. I będą miały rację.

A ja się myliłem. Choćby co do uboju rytualnego. Tylko krowa nie zmienia poglądów, a nie da się ukryć, że muzułmanie też muszą coś jeść. I Żydzi. Wszyscy musimy. I dlatego właśnie my, chłopci prawdziwi, nie malowane Kosiniaki, ze spalonych wsi, z opustoszałych klatek, z zaoranych ubojni rytualnych, kopenhaskich zakładów kuśnierskich i moskiewskich butików, my z głodujących ferm – za to wszystko, co nas spotkało, mówimy: no pasaran. Ale prawicowe. Jesteście czubami. A może nawet faszystami. Bo tylko faszyści tak robią. To samo było w 1939. Wy się mienicie patriotami? A polskiego futrzarza z wolnego wybiegu chcecie pozbawić wpływu na konto, media oraz politykę? Lewackie lewusy. Spójrzcie, jak się zagotowałem. Wszyscy zawsze mówili: ten to ma dystans, potrafi tak na chłodno, a celnie... Nie teraz. Nie, gdy się pali. Pod nogami. No, nie mnie przecież, ale ludziom dobrej norki. I woli. Którzy wzięli kredyty, bo może nie wiedzieli, że futra robi się ze zwierząt. Co mają teraz zrobić? Nie pytam jako właściciel fermy, bo fermy nie mam. Pytam jako ja. Pytam, bo ktoś oszalał. Opozycja idioci, PiS debile, tak sobie zapiszcie. I autora, jak się zmieści. Musi się zmieścić! Bo rozwalę tego laptopa i...

...i wtedy się obudziłem. Otworzyłem oczy. Już nie byłem Wielkomięjskim Rolnikiem, wałącym cepem w każdego, kto nie lubi łańcucha na psiej szyi. I męczarni zwierząt zabijanych dla pieniędzy. Wyszedłem przed klatkę, świeciło słońce. Zdjąłem futro. Znow byłem, po prostu, razem. 

Gdy tydzień temu zachęcałam Państwa do włączenia się w zbiórkę darów dla polskich misji w Afryce, którą organizuje Fundacja im. Stefana Szolc-Rogozińskiego Serce dla Afryki, wydawało mi się, że nie ma nic mniej kontrowersyjnego i prostego niż pomoc dzieciakom, które nie mają niczego, a wszystko je cieszy. Okazało się jednak, że byłam w błędzie.

Pojedyncze osoby miały pretensje, że wspieram akurat sierociniec w stolicy Kamerunu Yaounde, który prowadzi o. Dariusz Godawa (www.misja-kamerun.pl, www.dziecislouca.org), a nie inne, których przecież w Afryce jest na pęczki. Odpowiedź na pytanie „Dlaczego ten?” jest dość banalna, bo akurat o potrzebach tego jednego wiem. Ojciec Godawa przebił się do opinii publicznej ze swoimi rozśpiewanymi podopiecznymi. To ich śpiewanie („Barka”, „Moja matko”, pieśni Legionów czy „Przez twe oczy”) było czymś w rodzaju takiego machania do nas, sytych, zadowolonych i rozleniwionych Europejczyków: „Hej, tu jesteśmy, pomóżcie nam. To dzięki wam mamy co jeść i możemy chodzić do szkoły i mamy dach nad głową”. Przecież żadna misja nie ma swoich pieniędzy. Ma tyle, ile dostanie od darczyńców.

Jednak kontener, który fundacja Serce dla Afryki wysłała w połowie października, będzie zapakowany darami dla wielu misji. W połowie września właśnie dotarł na miejsce kontener wysłany w czerwcu. Były na nim dary dla ośrodków prowadzonych przez polskich misjonarzy w Kamerunie, Republice Środkowej Afryki i Czadzie. Miejscem rozładunku jest właśnie sierociniec prowadzony przez o. Godawę w stolicy Kamerunu. Wśród darów było m.in. wyposażenie szkół, odzież, środki opatrunkowe i wiele innych rzeczy, w tym wyposażenie niezbędne do budowy nowej szkoły zawodowej (np. betoniarka). Jeżeli ktoś więc czuje, że chciałby wesprzeć darami inną misję, polecam kontakt z prezesem fundacji Adamem Gardynikiem fundacja@sercedlaafryki.com. Wobec ogromnych braków wszystkiego w tej części Afryki każda pomoc jest bardzo potrzebna.

Ktoś inny pytał mnie: „Dlaczego wysyłacie im np. proszek do prania, a nie dacie im wędki?”. Otóż wysyła się to, czego potrzebuje mi-

Supermeni

*Może dzięki naszemu darowi,
ktoś będzie miał zapewnioną
przyszłość, ktoś nie będzie
głodny, a komuś będzie ciepło*

Trafiłam także na post, w którym młode działaczki (prezeski, pedagogki – tak piszą o sobie na stronie) „stojące na straży poszanowania praw dziecka” ostrzegają przed pochopną pomocą dzieciom. Dowiedziałam się, że piosenki, które z podopiecznymi nagrywa o. Godawa (a zaczął m.in. z powodu zamknięcia szkół i COVID-19, więc dzieciakom trzeba było zapewnić zajęcie, a nawet wiele zajęć), to „ludzkie zoo, a może cyrk”. Zarzutem jest m.in. to, że dzieci trzymają flagę białą-czerwoną i się nie uśmiechają oraz że nie są ambasadorami swojego

kraju. Dzieci w Kamerunie uczyły się śpiewać z nagrań przygotowanych przez Małą Armię Janosika. Polskie dzieci też były poważne, bo i temat jest poważny, poprzedzony wieloma lekcjami historii. W ten sposób dzieci uczyły nie tylko setną rocznicę Bitwy Warszawskiej, ale także udział w niej Kameruńczyka Józefa Sama Sandiego, który brał udział w powstaniu wielkopolskim, a później w Bitwie Warszawskiej. Na początku lat 30. Sandi ożenił się z Łucją Woźniak, z którą miał dwie córki.

Syn córki Krysi żyje do dziś. Brał nawet udział w odsłonięciu tablicy pamiątkowej, które odbyło się 81 lat po śmierci Sandiego. Niepokój pań budzi także to, że dzieci na zdjęciach pojawiają się w towarzystwie krzyża, ale na tym polega ewangelizacja. Na niesieniu Chrystusa tym, którzy go nie znają. A już o zarzucie braku zgody rodziców na wykorzystanie wizerunku dzieci (bardzo często całkowitych sierot) przy okazji zbiórki środków (tzw. adopcja duchowa), nawet nie chce mi się pisać.

Nie ulega wątpliwości, że misjonarze to prawdziwi superbohaterowie naszych czasów, a pomagać warto. W każdych okolicznościach. Może właśnie dzięki naszemu darowi ktoś będzie miał zapewnioną dobrą przyszłość, ktoś nie będzie głodny, komuś będzie ciepło.

Dorota Łosiewicz





USA



Roszada w Sądzie Najwyższym

Smierć ikony feminizmu Ruth Bader Ginsburg może zmienić kampanię wyborczą za oceanem. Zmarła w wieku 87 lat sędzia Sądu Najwyższego od 1993 r. była jedną z podpór lewicowej rewolucji w USA. Jeżeli prezydent Donald Trump nominuje na jej miejsce konserwatystę albo konserwatystkę, to prawica w kluczowym dla wojny kulturowej miejscu zyska przewagę 6:3.

Ten scenariusz mocno przeraża demokratów. Teoretycznie Sąd Najwyższy mógłby przecież cofnąć prawo do legalnej aborcji albo do małżeństw homoseksualnych. I choć to w dzisiejszej rzeczywistości mało prawdopodobne, to można być pewnym, że nowy skład sądu powstrzyma najbardziej radykalne pomysły lewicy. Zwłaszcza że Trump dotychczas nominował do Sądu Najwyższego dwóch stosunkowo młodych konserwatystów: 53-letniego Neila Gorsucha i 55-letniego

Bretta Kavanaugha. Plus ponad 200 sędziów federalnych.

Prezydent już zapowiedział, że wkrótce zgłosi na miejsce Ginsburg nową osobę. Będzie to prawdopodobnie kobieta (są dwie potencjalne kandydatki), co ma przysporzyć prezydentowi sympatii w czasie kampanii wyborczej. Republikański Senat bez wątpienia szybko „przyklepie” decyzję Trumpa, co sugerował już lider większości w Senacie Mitch McConnell. Demokraci przypominają jednak, że w 2016 r. Barack Obama oraz demokratyczny Senat poczekali ostatecznie z nominacją nowego sędziego po śmierci prawniczej ikony w SN Antonina Scali. Dodają też, że wówczas McConnell kategorycznie odmówił rozważenia kandydata na stanowiska sędziego Sądu Najwyższego wskazanego przez Baracka Obamę, mówiąc, że „byłoby to niewłaściwe w roku wyborczym”. Dziś zmienił zdanie.

W chwili, gdy piszę te słowa, nie wiadomo jeszcze, czy i kogo Trump mianował na dożywotnie stanowisko

sędziego SN. Jednak spekuluje się, że republikanie mogą być gotowi na „deale” z demokratami. W konserwatywnym „National Review” można było przeczytać, że dla zachowania dobrego obyczaju republikanie mogą poczekać z decyzją aż do stycznia 2021 r., a w przypadku zwycięstwa Joe Bidena i Kamali Harris demokratyczny prezydent uszanuje wolę kontrolowanego przez prawicę Senatu. To jednak mało prawdopodobny scenariusz z uwagi na to, jak wzrasta temperatura politycznego sporu w USA. Na razie tylko Susan Collins i Lisa Murkowski z Partii Republikańskiej zgłosiły swoje obiekcje, twierdząc, że Senat nie powinien głosować przed wyborami nad kandydatem na nowego sędziego.

Republikanie dobrze wiedzą, że obsadzenie stanowiska w Sądzie Najwyższym może pomóc w kampanii Trumpowi. Bo decyzja o nominowaniu konserwatysty w SN przekona prawniczych wyborców, że prezydent stoi na straży obyczajowego ładu w Ameryce.

Lukasz Adamski



Tajlandia

Miłośnicy Harry’ego Pottera mają dość

Nasilają się liczące po kilkadziesiąt tysięcy uczestników protesty w Tajlandii, kraju będącym formalnie monarchią, ale od zamachu stanu w 2014 r. rządzonym przez juntę wojskową. Manifestanci domagają się demokratyzacji kraju, w tym zniesienia drakońskich, obowiązujących od 1908 r. przepisów, w myśl których za obrazę monarchii można trafić nawet na 30 lat do więzienia. Taki wyrok otrzymał Pongsak Sriboonpeng, który w 2015 r. zamieścił kilka krytycznych wpisów w internecie.

W trakcie protestów, których centrum stał się Uniwersytet w Bangkoku, demonstranci wmurowali kopię specjalnego medalu upamiętniającego rewolucję w Tajlandii z 1932 r. Zlikwidowano wtedy monarchię absolutną i uchwalono pierwszą tajską konstytucję. Oryginalny medal został usunięty przez władze w 2017 r. i jego symboliczne przywrócenie ma – według opozycji – przypomnieć, że „kraj należy do narodu, a nie do jednej osoby”. Tą osobą jest znany z ekstrawaganckiego stylu życia król Rama X, który wstąpił na tron w 2016 r. po śmierci panującego przez siedem dekad Ramy IX. Nowy król jest zupełnie pozbawiony autorytetu swojego ojca i natychmiast zraził do siebie rodaków ogromną rozrzutnością i próbami



podporządkowania wojska. Wyjazd Ramy z kraju podczas pandemii również nie przysporzył mu popularności, zwłaszcza że „kwarantannę” spędził w luksusowym hotelu w bawarskich Alpach.

Stojący na czele protestów studenci przedstawili 10-punktowy program reform obejmujący, oprócz żądań demokratyzacji, zmianę zasad funkcjonowania domu królewskiego. Proponują ograniczenie publicznych wydatków na jego utrzymanie oraz wytyczenie precyzyjnej granicy między majątkiem należącym do państwa i króla. Dodatkowo protestujący żądają rozwiązania obu izb parlamentu oraz zaniechania represji wobec opozycji.

Protesty odbywają się od kilku tygodni, mimo że podczas pandemii wprowadzono w Tajlandii stan wyjątkowy i zgromadzenia są tam zakazane. Studenci obchodzili zakazy, organizując demonstracje w postaci „spacerów po parku”, grupowego sadzenia kwiatów lub... zgromadzeń miłośników Harry’ego Pottera. Jednak kolejne protesty, zapowiedziane na końcówkę września, mogą nie mieć już tak pokojowego przebiegu, tym bardziej że sytuacja gospodarcza kraju ciągle się pogarsza, a władze nie mają najmniejszego zamiaru ustąpić.

Marek Budzisz



Rosja

Powrót politruków

Zgodnie z dekretem prezydenta Putina w formacjach Gwardii Narodowej (Rosgwardii) pojawią się funkcjonariusze odpowiedzialni za agitację polityczną. Mają oni zabezpieczyć „rozwój moralno-psychologiczny” żołnierzy Gwardii – formacji powołanej w 2016 r. do rozpraszania zamieszek i zabezpieczenia władz przed utratą kontroli nad państwem.

Gwardziści stanowią prawdziwą, bo liczącą ponad 300 tys. ludzi, armię podporządkowaną prezydentowi. Mają własne wozy bojowe i lotnictwo, a na ich czele stoi wieloletni ochroniarz Władimira Putina – gen. Wiktor Zołotow. Okazuje się jednak – jak złośliwie zauważają niektórzy rosyjscy komentatorzy – że w obliczu wydarzeń na Białorusi Władimir Putin znów zaczął poważnie obawiać się wybuchu niepokojów w Rosji.

Bo o ile w Moskwie czy Petersburgu ludzie mają jeszcze sporo do stracenia, o tyle w głębi Rosji cierpliwość do polityki Kremla powoli się wyczerpuje – komentuje na łamach „Snoba” publicysta Konstantin Eggert. Na razie niepokoję na prowincji, tak jak ostatnio w Chabarowsku, mają lokalny zasięg, więc można je przeczekać. Wydarzenia na Białorusi rozpały jednak wyobraźnię na Kremlu, gdzie znów powróciła wizja wielkiej fali protestów.

Powołanie politruków pilnujących lojalności wśród najbardziej wiernych Putinowi żołnierzy Gwardii Narodowej ma świadczyć o tym, że władze na Kremlu szykują się na brutalny wariant rozprawy z ewentualnymi oponentami. Nie można bowiem dopuścić do żadnego „bratania” się z protestującymi, a Rosgwardia – tak jak białoruski OMON – ma tylko bić i siać strach. Zadanie politruków polega więc na tym, aby mózgi gwardzistów pozbawić jakichkolwiek skrupułów.

Politruki w oddziałach Rosgwardii nie są jednak całkowitą nowością w strukturach siłowych. Dwa lata temu dość niepostrzeżenie powrócili w armii, gdzie również mają dbać o właściwą „kondycję moralno-polityczną” żołnierzy i wdrażanie państwowej polityki w siłach zbrojnych. Wielu publicystów ma jednak spore wątpliwości co do skuteczności „roboty politycznej” w wojsku. Bo skoro komisarze polityczni nie zdołali uratować Związku Radzieckiego przed upadkiem, to i teraz – jeśli dojdzie do przesilenia – nie uda im się ochronić reżimu.

Konrad Kołodziejski

Włochy

Liga musi poczekać



We Włoszech zorganizowano referendum konstytucyjne, w którym ok. 70 proc. głosujących opowiedziało się za zmniejszeniem liczby posłów z 630 do 400 i senatorów z 315 do 200. Mimo reżimu sanitarnego frekwencja wyniosła ok. 54 proc.

Równolegle z referendum w siedmiu prowincjach odbyły się wybory lokalne, w których siły głównych obozów politycznych okazały się wyrównane: w trzech regionach (Toskania, Apulia, Kampania) zwyciężyła centrolewica, a w trzech (Marche, Liguria, Wenecja Euganejska) – centroprawica. W regionie Valle d'Aosta zanotowano remis – wygrała co prawda prawicowa Liga, ale najprawdopodobniej rządzić będącej przeciwnicy.

Wyniki wyborów zostały odebrane jako sukces rządzącej koalicji centrolewicowej złożonej z Partii Demokratycznej i Ruchu 5 Gwiazd. Spodziewano się bowiem zdecydowanej wygranej centroprawicy, a Liga szykowała się z tego powodu do złożenia wniosku o przedterminowe wybory. I choć wyraźnego zwycięstwa nie było, to partia Matteo Salviniego nadal podtrzymuje swoje żądanie, ale z innej przyczyny. Jej zdaniem parlament po referendum stracił mandat społeczny, więc konieczne jest rozpozanie nowych wyborów ze zmniejszoną liczbą posłów i senatorów.

Wprawdzie partie rządzące dzieli wiele, jednak łączy jedno: obawa przed dojściem do władzy Ligi. Ogólnokrajowe sondaże nie dają dziś centrolewicowej koalicji większych szans na zwycięstwo. Dlatego nie zgadza się ona na przedterminowe wybory i chce dotrwać do końca kadencji w 2023 r. Wcześniej, w lutym 2022 r. parlament ma wybrać prezydenta republiki. Rządzący nie chcą stracić takiej okazji, zatem nie wskazuje na to, by opozycja mogła skruszyć ich opór.

Salvini będzie więc musiał poczekać aż do 2023 r., gdy po raz kolejny los da mu szansę na dojście do władzy. Rząd ma jednak nadzieję, że do tego czasu potężny transfer pieniędzy z Unii ożywi gospodarkę i poprawi jego notowania. Na razie przed parlamentarzystami uchwalenie nowej ordynacji wyborczej, a to zwiastuje kolejne napięcia i konflikty.

Grzegorz Górny

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Fejki i hejty ojkofofów

Pięknie brzmiący tytuł, prawda? Ale do rzeczy. Ten gość, który jeździł po kraju z niby-urzędową żółtą tablicą, podpinał ją do nazw miejscowości i fotografował, to jest, o ile się nie mylę, prowokator. Jego fotki posłużyły nikczemnej akcji oczerniania naszego kraju w Parlamencie Europejskim, dały paliwo anypolskim mediom, a nawet kandydatowi na prezydenta USA, Bidenowi.

Agresja fake newsów trwa. Ktoś je musi produkować. Pewnie nie za darmo. Ważną rolę w nagłaśnianiu antypolskich newsów odgrywa parszywa dwudziestka „naszych” europosłów w Brukseli. Ostatnio błysnęli pianą na buziach: hrabina Rózia, słodki Biedroń, czarująca Spurek. Zapluli się nieco, ale osiągnęli efekt – rezolucję europarlamentu na temat braku praworządności w Polsce. W traktacie lizbońskim nie ma żadnej definicji praworządności, więc można wygadywać, co brudna ślina na język przyniesie. Wysłali ich tam wyborcy, by szkodzili miejscu „skąd ich ród”.

Hejt (hate), dawniej nienawiść do rodzimych pieleszy, zwana ojkofofią, ma sporą bazę społeczną. Relikt po zaborcach i oku-



**Jan
Pietrzak**

pantach. Co ciekawe, wyhodowano tu grono celebrytów, pisarzy, aktorów, muzyków, zawdzięczających swą pozycję, sławę, dostatek „temu krajowi”, a jednak „tym krajem” gardzących. Taka jest przewrotność skomplikowanych półinteligentów wychowanych na „Ggaazzecie” i „Faktach po faktach”, które powinny się nazywać „Fakty obok faktów”.

W głębokim Peerelu mówiłem cały monolog na temat obiegowego powiedzonka „fakt autentyczny”. Przecież wszystkie fakty z definicji są autentyczne, ale... ale... ale nie w socjalizmie, gdzie podawano mnóstwo faktów, które z autentycznością nie miały nic wspólnego.

Wracając „do ad remu”, jak się wypsnęło znanemu mówcy, i mówiąc poważnie, zachodzi pilna potrzeba ukrócenia łajdactw oczerniających Polskę, ponieważ ma to wszelkie znamiona psychologicznej, medialnej wojny, mającej kwestionować naszą demokrację, a także przynosić wymierne szkody materialne. Za dużo bezkarności widzimy dzień po dniu. Czekamy na odświeżony rząd, który zauważy agresję fejków i hejtu ojkofofów i znajdzie na nią sposób.

Uśmiech superbohatera

Z aktorem Dawidem Dziarkowskim rozmawia Jolanta Gajda-Zadzworna

Ozagraniu Tadeusza Korzeniewskiego ps. Dager marzyłby pewnie niejedyn aktor?

Dawid Dziarkowski: Ja go nazywam superbohaterem. Podobnie jak Onyksa (w tej roli Jacek Knap). Brakuje nam takich postaci w telewizji, kinie. Teraz pojawili się w serialu „Ludzie i bogowie”. Dager jest inspirowany autentyczną postacią Tadeusza Towarnickiego.

Za co lubi pan swojego bohatera?

Jest niepokorny, ma ułańską fantazję i nie zna przeszkód. Gdy inni uważają, że nie ma wyjścia, że doszli do ściany, on potrafi wyjść z sytuacji obronną ręką. Działa pod presją, często z ogromnymi emocjami, ale też z uśmiechem.

Fantazja, skuteczność i wspomniany uśmiech to cenna broń. Także w pozyskiwaniu sympatii telewidzów?



Bardzo martwi się tym moja żona, którą mocno Kocham. Przed emisją serialu powtarzała mi: „Cieszymy się wakacjami, choćby w sanitarnym reżimie, ale jeszcze w pełni prywatnie, anonimowo”.

„Ludzie i bogowie” będą pana aktorską trampoliną?

Nie mam pojęcia, co się wydarzy po tym serialu. Na pewno udział w nim był przygodą mojego życia. Chciałbym móc korzystać z aktorstwa jak najwięcej, mierzyć się z kolejnymi wymagającymi rolami. Pracować w zawodzie, bo jest piękny.

Z urodzenia szczecinianin, w ostatnich latach mieszkający w Olsztynie...

Jak odnalazł się pan w Warszawie? Także tej wojennej?

Z jednej strony moje serce jest wciąż w Szczecinie, z drugiej – w Olsztynie, ale od jakiegoś czasu mieszkam w stolicy. Myślę, że po tym serialu będę już odbierany jako ktoś stąd.

BRONISŁAW WILDSTEIN

Kryzys rządowy, czyli demoniczność polityki

Wmawiano nam – dzisiaj już nieco mniej

– że żyjemy w erze postpolitycznej.

*W rzeczywistości wkraczamy w erę
postdemokratyczną. Władza wymyka się
z rąk desygnowanych do tego przedstawicieli
wspólnoty i przenosi się do najbardziej
wpływowych środowisk, których nikt nie
wybiera ani nie kontroluje. Polityki jest nawet
więcej, za to bardziej ukrytej*

Max Weber pisał o demoniczności polityki, choć nie jestem pewny, czy ktoś wcześniej nie używał tego określenia. Wręcz się ono narzuca. I wcale nie stoi w sprzeczności z klasycznym ujęciem polityki jako działania na rzecz wspólnego dobra. Ktoś musi wziąć na siebie tę odpowiedzialność, innymi słowy: musi mieć na tyle władzy, aby zadaniu temu podołać. I tak, w sposób nieunikniony, polityka staje się konkurencją o najrzadsze dobro na świecie, którego podaży nie sposób zwiększać. A jakkolwiek można je używać dla pożytku człowieka i tak traktowana winna być polityka, ale ci, którzy władzą dysponują, a nawet jedynie o nią walczą, wydani są na iście demoniczne pokusy.

Określenia takie wydają się nie przystawać do naszego strywalizowanego i świeckiego świata, który jawić się chce jako domena poczytności. Ale to tylko pozór. Polityka bez względu na okoliczności musi pozostawać rywalizacją o władzę, a im bardziej maskować będziemy ją humanitarnymi sloganami, tym bardziej bezwzględnie, bo w ukryciu, rozgrywała się będzie za tym parawanem. To, co dzieje się w UE za kulisami deklaracji o „europejskich wartościach”, jest tego doskonałą ilustracją.

Konieczności polityki i ryzyko z nią związane stało się uzasadnieniem dla przedstawiania jej jako sfery z natury brudnej; im jej mniej, tym podobno lepiej. Oglądaliśmy plakaty Donalda Tuska, który wzywał, aby nie robić polityki, ale budować stadiony, mosty, szkoły itd. Abstrahując od groteskowości dezawuowania tej dziedziny przez głównego w kraju jej przedstawiciela – bo tym jest premier w Polsce – i przeciwstawiania jej działalności konstruktywnej, kampania ta była elementem dużo szerszego projektu. Zniechęcenie obywateli do polityki jest zachęcaniem



ich, aby przekazali władzę w ręce tzw. profesjonalistów, którzy przez nikogo nie będą już nadzorowani.

Wmawiano nam – dzisiaj już nieco mniej – że żyjemy w erze postpolitycznej. W rzeczywistości wkraczamy w erę postdemokratyczną. Władza wymyka się z rąk desygnowanych do tego przedstawicieli wspólnoty i przenosi się do najbardziej wpływowych środowisk, których nikt nie wybiera ani nie kontroluje. Polityki jest nawet więcej, za to bardziej ukrytej.

Przychodzi mi to do głowy, kiedy słucham białania nad kryzysem w łonie Zjednoczonej Prawicy. Owszem, jak sama nazwa wskazuje, kryzys nie jest niczym pozytywnym. Bywa jednak nieunikniony, a nawet, jak wskazuje jego etymologia, również ozdrowieńczy.

Słyszczę: chodzi im jedynie o stolki. Tak twierdzą ci, którzy robią wszystko, aby wysłużyć je u zagranicznych mocodawców. A o co chodzi w polityce, jeśli nie o to, żeby zdobyć stanowisko, gdyż ono dopiero umożliwia realizację określonego programu i wpływ na rzeczywistość? Naturalnie, istnieją tacy, którzy sprawują władzę wyłącznie dla niej samej, ale tego obecnie rządzącym nie zarzucają nawet najwięksi wrogowie. Potępiają ich właśnie za to, że PiS usiłuje ich zdaniem robić za dużo. Owszem, istnieją również tacy, którzy pozycję polityczną traktują jako środek do zdobycia czegoś innego. Doskonałym przykładem jest Tusk, który najważniejszą funkcję w państwie poświęcił na rzecz luksusowej synekury w Brukseli.

Napięcie w ZP nie powinno dziwić. Tego typu koalicje prowadzą albo do zrośnięcia się ich składowych w jeden organizm, albo różnice programowe i ambicje liderów rozrywają tego typu układ. Wydaje się, że w wypadku ZP mamy do czynienia z tym drugim wariantem. Wynika z tego, że jeśli nawet chwilowo uda się wyciszyć rozdzwinki ze względu na wspólny interes i mniej lub bardziej tożsamy program, to wcześniej czy później eksplodują one znowu i może zdarzyć się to w wyjątkowo niekorzystnym momencie jak wtedy, gdy Jarosław Gowin zablokował wybory majowe. W tym wypadku jednak nie chodzi o niego, ale o Zbigniewa Ziobrę, który wprawdzie pogodził się z przywództwem Jarosława Kaczyńskiego, lecz zwierzchnictwa Mateusza Morawieckiego jako premiera wydaje się nie akceptować. Taki stan rzeczy generuje permanentny konflikt i niezwykle utrudnia funkcjonowanie całego obozu. A to, kto będzie rządził, oznacza również, jak będzie to robił. Warto temu poświęcić niejedną naradę i zaryzykować doraźne kłopoty. 

Fot. Andrzej Wiktor



Walizka Ksawerego Szlenkiera

aktora

Są dwa powody moich podróży: pierwszy – wypoczynkowy, drugi – służbowy. Przedmioty, które znajdują się w walizce, są z dwóch światów. Niektóre są niezbędne w moich wyjazdach, np. na wyprawy żeglarskie, inne towarzyszą mi na planach filmowych.



CZAPKA

Jest to żeglarska czapeczka, z którą podczas letnich wakacji nigdy się nie rozstaję. Mam do niej sentyment, bo kojarzy mi się z żaglami i wodą.

SKAKANKA I GUMY

Łatwe do zapakowania narzędzia do ćwiczeń. Z dwoma krzesłami, skakanką i gumami można w każdym pokoju hotelowym zorganizować minisiłownię.



NARZĘDZIA

Multitool to bardzo fajne narzędzie, które może nie przydaje się w hotelu, ale pod namiotem czy na jeziorze można nim coś poprawić, przykręcić, dokręcić, przeciąć – w zależności od potrzeb. Nauczony doświadczeniem zabieram też szklownik, który przydaje się zwłaszcza na żagłowiec.

„STAROŚĆ AKSOLOTŁA”

Niezwykła lektura, dzięki której zagłębia się w świat bezgranicznej wyobraźni pisarza Jacka Dukaja. To właśnie na „Starości aksolotla” został oparty pomysł na scenariusz netflixowego serialu „Kierunek: Noc”, w którym mam przyjemność występować. Planowany jest kolejny sezon, dlatego Dukaj jest ze mną.



APARAT

Gdy dzieje się coś wesołego lub ma miejsce ważne wydarzenie, to warto mieć aparat fotograficzny, choćby w telefonie. Potem te wspomnienia pozostają na zawsze. Można sobie do tego wrócić i mieć kontent na Instagrama.



Fot. Andrzej Wiktor, archiwum bohatera tekstu

Jestem pesymistą



**Dominik
Zdort**

Właściwie każdego dnia pojawiają się w Polsce i na świecie kolejne przejawy oblędu politycznej poprawności. Ostatnio zastrzeżenie Oscarów tylko dla filmów słusznych ideologicznie i współtworzonych przez mniejszości seksualne i rasowe. Wielu normalsów śmieje się z tego, mówiąc, że takie szaleństwo nie ma prawa bytu, że płomień oszalałych idei szybko się wypali. Zaprzysięgli konserwatyści przywołują teorię politycznego wahadła i wierzą, że prędzej czy później wychyli się ono bardziej na prawo, nie tylko cofając wiele zmian, ale też przywracając niektóre dawne tradycje i obyczaje.

Niestety, nie potrafię być optymistą. Nie widzę nadchodzącej z jakiegokolwiek strony rekonkwisty. Uważające się za prawicowe partie polityczne w całej Europie zostały mentalnie skolonizowane przez lewackie idee, realizując kolejne postulaty aktywistów ekologicznych, prawoczołwieczych czy równościowych.

Jeszcze bardziej skłonne do wypełniania zleceń radykałów lewackich są środowiska artystyczne. Po ogłoszeniu nowych zasad przyznawania Oscarów nie było słyhać protestów, najwyraźniej nikomu w Hollywood nie przeszkadza, że nagroda Amerykańskiej Akademii Filmowej już nie będzie świadczyć o wartości artystycznej filmu, ale o jego słuszności – będzie bardziej przypominała sowiecką Nagrodę Leninowską czy też polską nagrodę (niby) literacką Nike.

Cóż, dziś czytamy w napisach końcowych wielu filmów, że podczas ich realizacji nie ucierpiało żadne zwierzę, niebawem będziemy czytać, że żaden z twórców nie zjadł potrawy ani nie nosił ubrania wytworzonego ze zwierzęcia.

W szybki ruch wahadła w drugą stronę nie wierzę nie dlatego, że nowa ideologia cieszy się masowym wsparciem większości. Oczywiście, że żaden normalny i myślący człowiek nie akceptuje tych nowomysłnych głupot. Jest tak jak z rewolucją francuską, październikową czy ruchem hipisowskim – to zawsze były próby (mniej czy bardziej siłowego) zamachu stanu organizowanego przez grupkę konspiratorów.

Tym razem jednak środki masowego szantażu znalazły się niemal wyłącznie w rękach spiskowców i są wykorzystywane nader umiejętnie. Myślących samodzielnie do mikrofonów się nie dopuszcza albo się ich dezawuuje, sprzedając do poziomu czarnopodniebiennych faszystów. Niezdecydowanych zastraszono, więc milczą. A w tej ciszy wprowadza się coraz bardziej absurdalne przepisy, nakazy i zakazy.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



OCEAN PACK



Jest to torba z gęstej gumy, która nigdy nie przecieka. Przydaje się na plaży, łodzi czy na jakimkolwiek kempingu. A kiedy biorę ją do hotelu, może służyć jako zwykła – ale bardzo wytrzymała – torba na zakupy. Jeśli np. karton z mlekiem będzie dziurawy, to mam 200 proc. pewności, że nic się nie wyleje na zewnątrz.

ŻEGLARSKA MAPA

Mam ją od zawsze. Nieprzemakalna mapa moich ukochanych Mazur, które odwiedzam co najmniej raz do roku. Jeżeli ktoś się wybiera na wielkie mazurskie jeziora, to polecam właśnie taki rodzaj mapy – laminowanej.



LAPTOP



Mój czteroletni niezawodny laptop, bez którego jestem jak bez ręki. Wyłącznie dzięki niemu mogę ogarnąć teksty, korespondencję, kalendarz planów filmowych, a także sprawy domowe, rachunki itp. Mój lapek to także rozrywka – czasami wrzucam sobie serial Netflix.

SCENARIUSZ

Z racji zawodu w podróże zabieram też scenariusze. Ten jest towarzyszem mojego ostatniego wyjazdu do Andory, gdzie kręcimy „The Burning Cold”. W hiszpańskim filmie wcieliłam się w rolę kryptologa Mariana Rejewskiego, uciekającego przed Niemcami.



SZNUREK



Zawsze zabieram 10 metrów sznurka, który może się niespodziewanie przydać – czy to na jachcie, czy w pokoju hotelowym do rozwieszenia prania.

Wysłuchał i spisał: Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x3)

OGNIEM NA WPROST

Jednostka chorobowa



J.K. Rowling (ta od Harry'ego Pottera) wydała nową powieść o detektywie Cormoranie Strike'u „Troubled Blood”. To już piąta część z tej serii. Na jej potrzeby autorka wymyśliła postać seryjnego mordercy, który jest transwestytą. No i się zaczęło. Zbitka transwestyty z mordercą podzialała jak płachta na byka. Z powodów problemów z własną seksualnością, przez które środowiska LGBT reagują nad wyraz emocjonalnie, skoczyły one pisarce do gardła. Rowling zarzucono transfobię i „demonizację niewielkiej grupy ludzi, która po prostu ma nadzieję na godne życie”. Oburzeni aktywiści już zabrali się do palenia książek pisarki, a niektóre księgarnie zapowiedziały bojkot jej sprzedaży. Tymczasem dane ze sprzedaży firmy Nielsen BookScan pokazują, że „Troubled Blood” znalazło się na pierwszym miejscu brytyjskich list sprzedaży. Tępienie myślozbrodni, widać, napotyka poważne problemy nawet wśród generalnie zidiociałych na punkcie LGBT przedstawicieli społeczeństw zachodnich.

Jakiś czas temu mistrzyni świata w windsurfingu Zofia Klepacka zamieściła w mediach społecznościowych wpis: „Mówię kategoryczne NIE dla promocji środowisk LGBT i będę bronić tradycyjnej Polski. Czy mój dziadek walczył o taką Warszawę w Powstaniu? Nie wydaje mi się. Panie prezydencie, może się pan lepiej weźmie za sport w Warszawie, który kuleje?”. Uderz w LGBT, a wiceprezydent stolicy i zdeklarowany homoseksualista Paweł Rabej się odezwie. I tak się stało: „Niech się pani zajmie windsurfingiem, a nie szczuciem”

– odpowiedział stanowczo. Owszem, szczucie było: „Życzono mi śmierci, do Polskiego Związku Żeglarskiego przechodziły pisma z żądaniem wyrzucenia mnie z kadry, próbowano mnie zastraszyć, uciszyć. Zaskoczyła mnie ta nienawiść” – wyznała Klepacka. W akcie odreagowania sportsmenka zamieściła teraz kolejny post na swoim profilu na Instagramie. Tym razem zdjęcie plakatu, na którym czytamy: „Warszawa wolna od pedałów”. Rozumiem wzburzenie Klepackiej, ale nie atakuje się ludzi, tylko to, co wygadują. W razie próby riposty Pawła Rabeja odpowiadam: zajmij się Pan rządzeniem Warszawą, bo przez kilkanaście miesięcy narobiliście z Trzaskowskim niezłego bałaganu, a nie promocją chorych ideologii.

W serwisie Black Lives Matter Global Network Foundation pojawił się manifest „W co wierzymy”. Można było w nim wyczytać wiele postulatów, o które chcą walczyć „antyrysiści”. Są to m.in.: odrzucenie „heteronormatywnego” myślenia, zniesienie „cisgenderowych przywilejów”, walka o pozycję „czarnych ludzi trans”, a zwłaszcza „czarnych transkobiet”, „walka z nuklearnym modelem rodziny” oraz tworzenie „wiosek” wspólnie wychowujących dzieci. Te dwa ostatnie postulaty do złudzenia przypominały eksperyment w izraelskich kibucach, który zakończył się kompletnym fiaskiem i powrotem pokolenia wychowywanego kolektywnie do tradycyjnego modelu rodziny. Widać specjaliści od wizerunku BLM sami przestraszyli się skutków swego bełkotu zapisanego czarno na białym w manifestcie,

ponieważ obecnie po deklaracji „W co wierzymy” nie pozostało ani śladu. Najgorsze jest to, że są jednostki osobowe gotowe oddać życie za ten stek bzdur, co obserwujemy z uwagą na przykładzie wydarzeń w USA.

Miało Seattle dać ostatnio popalić Ameryce. Czarni z BLM stworzyli tam strefę wolną od policji w dzielnicy Capitol Hill. Wszystko przy aprobacie burmistrz Jenny Durkan, która nabijała się z Donalda Trumpa, kiedy ten apelował do władz miasta o odzyskanie kontroli nad tym obszarem. Ironizowała, żeby „nie bał się demokracji”. Eksperyment społeczny skończył się tym, że w oparach marychy i przy wystrzałach z broni krótkiej zginęło kilku Murzynów, a sama władz metropolii wycfała się po kilku tygodniach z „projektu”. Jak to się skończy, wiedział każdy normalnie myślący człowiek oprócz pani burmistrz, zadeklarowanej lesbijki i działaczki LGBT. Jakby tego było mało, ostatnio mianowała doradcą miasta ds. reform policji Andre Taylora – aktywnego bojówkarzem BLM, który brał udział w walkach z policją w Seattle. Oprócz tego Taylor ma na koncie wyrok pięciu lat więzienia za сутенерство wobec nieletnich kobiet. Mimo to Durkan przekonuje, że „jako człowiek ulicy” będzie umiał lepiej porozumieć się ze społecznościami poszczególnych dzielnic i zaprowadzić zgodę z policją. Z utęsknieniem czekam chwili, kiedy jakiś kongres psychiatrów w USA uzna współczesną lewicowość za jednostkę chorobową i uratuje świat przed tym szaleństwem.

Andrzej Rafał Potocki

Hejter nie taki bezkarny

Przepisy konstytucji RP gwarantują wszystkim wolność wyrażania poglądów. Uprawnienie to nie może być jednak interpretowane jako przyzwolenie na publikowanie treści nieprawdźw, obraźliwych lub krzywdzących inne osoby. Przepisy Kodeksu karnego stanowią, że kto znieważa inną osobę w jej obecności albo choćby pod jej nieobecność, lecz publicznie lub w zamiarze, aby zniewaga do osoby tej dotarła, podlega grzywnie albo karze ograniczenia wolności. Kto natomiast znieważa inną osobę za pomocą środków masowego komunikowania, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do roku. Kodeksowej penalizacji podlega także zniesławienie, czyli pomawianie innej osoby, grupy osób, instytucji, osoby prawnej lub jednostki organizacyjnej niemającej osobowości prawnej o takie postępowanie lub właściwości, które mogą poniżyć ją w opinii publicznej lub narazić na utratę zaufania potrzebnego dla danego stanowiska, zawodu lub rodzaju działalności. Sprawca opisanego czynu podlega karze grzywny albo ograniczenia wolności. Jeżeli dopuszczono się zniesławienia za pomocą środków masowego komunikowania, podlega ono grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do roku. Publikacje o charakterze dotkliwym dla osób fizycznych, prawnych lub jednostek nieposiadających osobowości prawnej mogą rodzić konsekwencje na gruncie przepisów prawa cywilnego, stanowiąc naruszenie dóbr osobistych.

W ostatnich latach do największej liczby publikacji mających charakter zniesławiający lub naruszający dobra osobiste dochodzi w internecie. Problem dotyczy zarówno dorosłych, jak i dzieci, które niejednokrotnie nie wytrzymując presji hejterów, podejmują tragiczne w skutkach decyzje. Sprawcy dotychczas wykazują się wysokim poczuciem bezkarności, przede wszystkim z racji chronionej przez prawo telekomunikacyjne anonimowości. Ta ostatnia staje się jednak coraz bardziej pozorną. Najnowsze orzecznictwo Naczelnego Sądu Administracyjnego dostarcza poglądów utrwalających słusność przeświadczenia o konieczności ujawnienia danych osobowych sprawcy ww. czynów osobie, która w związku z jej pomówieniem lub zniesławieniem zamierza wystąpić na drogę sądową w drodze prywatnego aktu oskarżenia lub na drodze cywilnej. Prowadzący portal internetowy musi zatem ujawnić informacje o internaucie, który zamieścił w sieci obraźliwy wpis już nie tylko organom państwa, ale także osobom fizycznym, prawnym lub jednostkom nieposiadającym osobowości prawnej.

W sprawie będącej przedmiotem postępowania przed Naczelnym Sądem Administracyjnym Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie podkreślił, że tzw. ekscesy sieciowe coraz częściej naruszają dobra osobiste. „Zbyt łatwo, zbyt wiele teoretycznie anonimowych osób wyraża swoje poglądy na forach internetowych, krzywdząc innych”. W rozpoznawanej sprawie osoba pokrzywdzona zwróciła się do administratora



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

portalu o przekazanie adresów IP w celu dochodzenia swoich praw przed sądem poprzez wniesienie powództwa o naruszenie dóbr osobistych. Zarówno administrator portalu, jak i Generalny Inspektor Ochrony Danych Osobowych odmówili udzielenia żądanych informacji, zasłaniając się obowiązkiem ochrony tajemnicy telekomunikacyjnej. Według sądu uzasadnienie podane przez uczestnika postępowania w postaci zamiaru skierowania sprawy do sądu (i w związku z tym koniecznością wskazania danych sprawcy) stanowi wystarczającą przesłankę udostępnienia danych osobowych i nie może być kwalifikowane jako naruszenie tajemnicy telekomunikacyjnej. W orzecznictwie wskazano, że internauta wypowiadający się anonimowo, w sposób naruszający dobra innych podmiotów nie może podlegać szczególnej ochronie. Dane osobowe wirtualnych napastników nie są bowiem dobrem, które ustawodawca miał zamiar chronić w pierwszej kolejności. W odniesieniu do obraźliwych komentarzy należy pamiętać, że podmiotem, który może zostać pociągnięty do odpowiedzialności za niestosowne wpisy, jest także administrator portalu, o ile monitoruje on treść forum i może edytować oraz usuwać wpisy użytkowników.



*Drożej koleżance,
Marzenie Siwec
oraz jej Najbliższym*

*Szczere wyrazy współczucia
i słowa wsparcia w trudnych chwilach*

**PO ŚMIERCI
MAMY**

*Składa zarząd oraz pracownicy
Saltus Ubezpieczenia*

RZECZY POSPOLITE

Słowa na wiatr

Jednym z dawnych, najprostszych wyznaczników tego, że ktoś jest (lub nie jest) człowiekiem honoru, była wierność wypowiedzianemu Słowu. Cóż Słowo znaczy i jaką ma wagę, nie trzeba przekonywać tych, którzy wierzą. Kościół jest zbudowany na Słowie, które było, jak mówi Ewangelia św. Jana, „na początku”, przy czym użyty termin można tłumaczyć nie tylko jako „słowo”, lecz także „porządek”, „kosmiczny rozum”, i – jak przekonują egzegeci – odnosi się ono do Jezusa.

W epoce napoleońskiej polscy żołnierze, którzy trafiali do niewoli brytyjskiej, byli poddawani dwóm porządkom dotyczącym uwięzienia. Szeregowców wtrącano do więzień. Natomiast oficerowie przebywali po prostu w miastach wyznaczonych im przez władze angielskie i – ponieważ zobowiązywali się własnym słowem – mogli się swobodnie tam poruszać, jednak bez możliwości wyjazdu. Uznawano, że szlachectwo oficerów jasno implikuje, iż gdy dali słowo, znaczy to, że go dotrzymają. W XIX w. żywe było poczucie tego, czym jest Honor. Honor był konkretem, a nie (jak to jest obecnie) bliżej niezdefiniowaną



**Tomasz
Łysiak**

staroświecką wartością, która... tak naprawdę nie wiadomo, czym do końca jest.

Księżę Józef Poniatowski, któremu „Bóg powierzył honor Polaków”, wyniesiony (jako jedyny nie-Francuz) przez Bonapartego do rangi marszałka, ginąc w nurtach Elstery, kończył życie tak, iż ów Honor stał się najtrwalszym jego pomnikiem nagrobnym.

On także wiedział, czym jest danie Słowa.

Niestety teraz się to strasznie zdezauduowało. Cóż „słowo” znaczy? Jak szekspirowskie „słowa, słowa, słowa”, potem zgrabnie podchwycone przez Stanisława Wyspiańskiego, u którego tej frazy w „Weselu” używa Poeta, zwracając się do Maryny – słowo służy już tylko pustej gadaninie. Słowo już się nie liczy. W różnych zresztą obszarach i formach – od słów publicystów i polityków po słowa zwykłych ludzi w sklepie czy w kawiarni. Słowa teraz rzuca się już tylko na wiatr. Smutny ten fakt powoduje, iż gdybyśmy obecnie trafili do niewoli brytyjskiej, niestety prawie wszyscy siedzielibyśmy w więzieniu i tylko nieliczni chodziliby swobodnie po Londynie czy Yorku.

Zboczenie nienormatywne

„Dzieci to nie książeczki do kolorowania” – twierdzi Khaled Hosseini, amerykański pisarz, autor bestsellerowej powieści pt. „Chłopiec z latawcem”. Sporo kontrowersji wzbudziła ta jego książka, m.in. z powodu oskarżycielskiego wątku pedofilskiego. Są jednak i tacy, którzy usiłują dzieci kolorować, i to na tęczowo. Pewna amerykańska nauczycielka podstawówki w Lexington uraczyła uczniów przykładem holenderskiej bajki „King & King” o miłosnym afekcie dwóch królewiczów. Zeżłeni rodzice zażądali wyrzucenia wychowawczyni ze szkoły. I co...? Choć książkę tę oprotestowało także Amerykańskie Stowarzyszenie Biblioteczne, lokalne władze oświatowe poparły nauczycielkę: „To nie rodzice będą decydować o doborze lektury dla uczniów”, rzucił tamtejszy inspektor oświaty.

I kolorowanie trwa. Europa jest pod tym względem w światowej awangardzie. Duńska telewizja publiczna DR Ultra emituje program pt. „Ultra zrzuca ubrania”, a w nim zaproszone dzieci w wieku 11–13 oglądające na żywo tych, którzy te ubrania rzeczywiście zrzucają: niebieskowłosą grubaszkę na golasa, za to z obrożą z kółkami na szyi, wytatuowanego od stóp po czubek głowy, naszpikowanego piercingiem tu i „ówdzie”, z kółkami ze swastyką w uszach, czy jakiegoś... – mniejsza



**Piotr
Cywiński**

z tym, wrażliwy jestem, więc kończę ten opis, bo mi się zbiera... Jak uzasadniają realizatorzy, ma to być „show edukacyjny”, aby dzieci zobaczyły „naturalne ludzkie ciało”. Nieletni widzowie mogą przy tym pytać pokazywaczy, o co zechcą. Kiedyś takich nazywało się ekshibicjonistami – wedle słownika „dotkniętymi zboczeniem seksualnym, polegającym na obnażaniu narządów płciowych w obecności obcych osób”, w tym „demonstrowania np. masturbacji”, ale dziś zboczeń już nie ma. Są jednostki, a nawet środowiska „nienormatywne”, onanizmu zaś dzieci mogą się już uczyć zbiorowo w niektórych szkołach.

Duńska telewizja reklamuje swój „show” jako „najlepszy program dla dzieci”. Ponoć chcą go kupić inne kraje. Do naszej skostniałej TVP jeszcze nie dotarło, że świat się zmienia. Ale nasz nauczycielski stan zaczyna rozumieć, co znaczy nowoczesna dydaktyka. Pedagodzy jednego z krakowskich liceów napisali list przeciw jakoby „rosnącej fali nienawiści” do osób LGBT i wzywali kolegów po fachu, by podejmowali podobne inicjatywy.

„Dziecko to taki sympatyczny początek człowieka” – żartuje amerykański humorysta Don Herold. Ale przecież może być jeszcze sympatyczniejszy ten początek, wystarczy go pokolorować...

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

Satysfakcja norki
jest moją satysfakcją!



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL

TEL. (22) 616 36 00

UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSCZ, MAREK BUDZIŚ, ADAM GIESIELSKI, PIOTR CYWINSKI, LESZEK DŁUGOŚ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, BRYSZYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARŃOWSKI, MICHAŁ KARŃOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, Cezary KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.

PREZES: ROMUALD ORZEŁ

UL. LEGIONÓW 126-128,

81-472 GDYNIA

REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCOWSKA,
MARIOLA BARCOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, JANUSZ ZYCHOWICZ
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA LABECKA@FRATRIA.PL,
[BARTŁOMIEJ SZYPERSKI]
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:

TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL

REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE

WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:

91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,

W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO

WYSŁĘKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:

ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA

E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE

WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

AUGUSTYN MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZAŁSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PIŻA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBINSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIELIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

Druk: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:

REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL

AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL

MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).

REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.

OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU

POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.

BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH

PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST

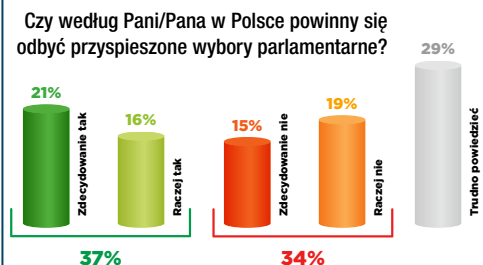
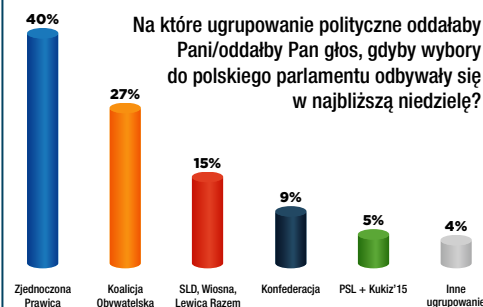
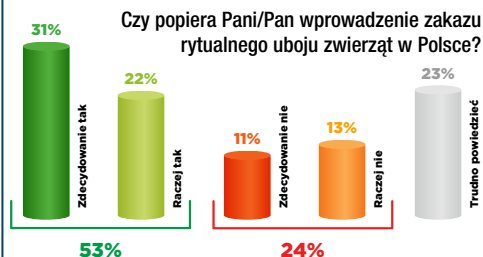
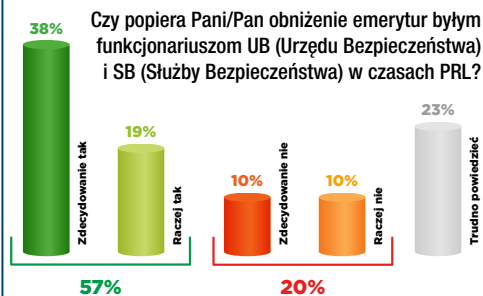
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNA,

ALINA SHEHENJA / SHUTTERSTOCK.COM, SHUTTERSTOCK

FOR NA OKŁADCE: A WIKTOR 3X A SKWARCZYŃSKI, FREDERIK LEGRAND - COMEO / SHUTTERSTOCK.COM,
DROP OF LIGHT / SHUTTERSTOCK.COM, MACIEJ KOPNIECKI / SHUTTERSTOCK.COM,
ALINA SHEHENJA / SHUTTERSTOCK.COM, SHUTTERSTOCK



pracownia
Social Changes
dla
wPolityce.pl



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1058.

Zakres czasowy badania 18–21 września 2020 r.

Polska, zmartwienie Putina

Rosyjskie elity z niepokojem patrzą na silną Polskę, pod rządami Zjednoczonej Prawicy umacniającą swoją pozycję w Europie. Obawiają się też polsko-amerykańskiego sojuszu oraz projektu Międzymorza, który skutecznie może zablokować odbudowę rosyjskiego imperium



MAREK BUDZISZ

Agencja RIA Nowosti, poważna skądinąd rosyjska instytucja, dzień po spotkaniu Putina i Łukaszenki w Soczi zamieściła depeszę, w której zestawiała obok siebie dwie grafiki przedstawiające sąsiadów Polski z roku 1990 i 2020. Anonimowy autor tego zestawienia zwrócił uwagę na fakt, który najwyraźniej zainteresował dziennikarzy agencji, że żadne z państw, z którym Polska graniczyła w 1990 r., obecnie już nie istnieje. Rozpadły się ZSRR i Czechosłowacja, a NRD odeszło w niebyt. „Gdybyśmy prowadzili śledztwo w sprawie morderstwa, wskazałbym...” – napisał żartobliwie (ale czy na pewno?) jeden z internautów, którego przywołują RIA Nowosti.

Andriej Razumowski, dziennikarz „Izwestii”, mniej skłonny do żartów, najzupełniej poważnie twierdzi, że polityka zagraniczna Polski ostatnich lat ma w gruncie rzeczy jeden cel, bo to przecież „nie sekret – jak pisze – że wielu w Polsce nie kryje się z nostalgią za czasami I Rzeczypospolitej”. W jego opinii Warszawa wcale nie pogrzyżyła się we wspomnieniach po dawnych dniach imperialnej chwały, ale aktywnie zmierza do budowy „ponadpaństwowego związku” (bo tym w jego opinii jest projekt Międzymorza), w którym nastąpiłoby polityczne zjednoczenie Polski, Ukrainy, Białorusi, państw bałtyckich, Mołdawii, Węgier, Rumunii i krajów wywodzących się z upadłej Jugosławii. Takim monstrum, środkowoeuropejskim gigantem, którego potencjał zarówno ludnościowy, jak i gospodarczy, o wojskowym nie wspominając, byłby większy od rosyjskiego, jak sądzi dziennikarz, rządziłiby z Warszawy Polacy. Na tej samej nucie gra w gruncie rzeczy Aleksander Łukaszenka, strasząc Putina NATO-wską, a w praktyce polską i litewską agresją wobec Białorusi.

„Izwestia” cytują w tym kontekście wypowiedź Andrieja Sannikowa, białoruskiego opozycjonisty, obecnie znajdującego się w więzieniu, który na warszawskiej konferencji OBWE w październiku 2016 r. miał powiedzieć, że realizacja planu Międzymorza mogłaby pomóc tym państwom, które powstały po rozpadzie ZSRR, a nie zdążyły wejść do Unii Europejskiej, w ostatecznym uniezależ-





nieniu się od Rosji. Najpierw, jak miał mówić Sannikow, należy „poradzić sobie” z reżimem Łukaszenki. I dlatego zarówno dla reżimu w Mińsku, jak i niemałej rzeszy rosyjskich polityków wszystko jest jasne i przejrzyste. Polska, która odgrywa aktywną rolę, cementując krytykę Unii wobec Łukaszenki, właśnie przystąpiła do fazy „radzenia” sobie z białoruskim dyktatorem.

JAK MYŚLĄ ELITY

Możemy się śmiać z paranoicznego wymiaru myślenia rosyjskich elit, ale to, że wszędzie widzą oni antyrosyjskie spiski i zorganizowane „operacje”, jest faktem. Sekretarz rosyjskiej Rady Bezpieczeństwa Nikołaj Patruszew, uchodzący za arcyjastrzębia, powiedział w trakcie niedawnego spotkania państw Szanghajskiej Organizacji Współpracy: „Trzeba przyznać, że nawet w czasach pandemii i w przededniu listopadowych wyborów w Stanach Zjednoczonych Amerykanie i ich sojusznicy nie przestają narzucać swojej wizji przyszłego porządku światowego w oparciu o znane im tylko »reguły«.

Narasta konfrontacja, nieuczciwa konkurencja, narasta presja polityczna, nakładane są sankcje gospodarcze na kraje prowadzące niezależną politykę zagraniczną”.

Patruszew, mówiąc o amerykańskich sojusznikach, ma na myśli również Polskę, która jest zwolennikiem twardej linii wobec Moskwy, wzmacniania wojskowej obecności NATO na Wschodzie oraz utrzymania sankcji wobec Rosji. W jego opinii kolektywny Zachód, wykorzystując kryzys gospodarczy, w tym malejące przychody ze sprzedaży węgłowodorów, co już doprowadziło do zapowiedzi cięć w rosyjskim budżecie wojskowym, ma zamiar rozegrać swą geostrategiczną partię szachów. Jednym z jego celów jest doprowadzenie do tego, aby od Moskwy odpadli jej ostatni sojusznicy – na zachodzie Białoruś, a na wschodzie – państwa Azji Środkowej.

Jānis Bērziņš, wybitny lotewski ekspert ds. strategii wojskowej, pracujący w Stanach Zjednoczonych, jest zdania, że poglądy Rosjan na współczesne konflikty zbrojne są zasadniczo odmiennie od tego, jak myślimy o wojnie na



Wojskowa „pięść” na wschodnim froncie NATO nie powstanie bez udziału Polski, co więcej, to polscy oficerowie i żołnierze muszą stanowić jej trzon. Stany Zjednoczone z chęcią pomagają w tworzeniu tych sił, bo to pozwoli się im skupić na geostrategicznej rywalizacji z Chinami

Fot. MON

Zachodzie. W jego opinii granica między stanem wojny a pokoju w myśleniu rosyjskich elit strategicznych już jakiś czas temu uległa zatarciu, jeśli w ogóle występuje. Dziś wojną jest wszystko, co pozwala złamać opór przeciwnika – informacja, relacje gospodarcze, operacje wywiadowcze czy nęcące projekty inwestycyjne. To, co różni klasyczne środki zbrojne, kiedy słychać huk dział, od współczesnych działań wojennych, to jedynie stopień zastosowania przemocy. Po co wytaczać ciężkie działa, zdają się myśleć rosyjskie elity, jeśli te same cele polityczne można osiągnąć innymi sposobami.

Nie oznacza to oczywiście, że magazyny w koszarach pokrywają się pajęczynami, mamy tu raczej do czynienia z rachunkiem sił i środków, poszukiwaniem tańszych sposobów prowadzenia wojen. I ten własny sposób rozumowania rosyjskie elity, zapewne nie do końca świadome, projektują na innych, w tym na Polskę. Ich zdaniem wszystkie polskie inicjatywy, propozycje i działania są w gruncie rzeczy elementami jednej „wielkiej strategii” – wskrzeszenia I Rzeczypospolitej.

GONIĆ POLSKĘ

Jeśli wszystko, w tym to, co przywykliśmy nazywać soft power, jest wojną, to jak w tym kontekście wygląda porów-

nanie skuteczności polityki rosyjskiej i polskiej? Z perspektywy Moskwy nie najlepiej.

Oleg Dieripaska, znany rosyjski oligarcha, uchodzący za przyjaciela Władimira Putina, z pewnością częsty gość na Kremlu, powiedział w czerwcu w wywiadzie dla rozgłośni radiowej Business FM coś, co nie zostało w Polsce – a szkoda – usłyszane. Otóż jego zdaniem rosyjska gospodarka już zdecydowanie zbyt długo pozostaje „na jałowym biegu”. Skutki tego marazmu z perspektywy przyszłości państwa rosyjskiego mogą być, w jego opinii, opłakane, tym bardziej że ewentualny sukces wyborczy Joego Bidena będzie oznaczać prawdopodobnie wprowadzenie „piekielnych sankcji” wymierzonych w Rosję, co z pewnością nie poprawi jej sytuacji. 51 proc. Rosjan, w opinii Dieripaski, obecnie osiąga dochód roczny w wysokości nieprzekraczającej 370 tys. rubli. To na tyle mało, że rosyjski rynek wewnętrzny nie funkcjonuje dobrze, a gospodarka się nie rozwija. Oligarcha mówi również, że statystyczny Rosjanin winien osiągać dochody nie mniejsze niż ludzie pracujący i mieszkający w Polsce, a obecnie jest to rocznie 15 tys. euro. I to jest, w jego opinii, zadanie rosyjskich elit na najbliższe lata – dogonić Polskę, czyli powiększyć, jak mówi, trzykrotnie dochody statystycznego Rosjanina.

Polska jawi się w tym kontekście nie tylko jako kraj gospodarczego sukcesu, wzór do naśladowania dla rosyjskich elit, lecz również rosnący w siłę, budzący coraz większy respekt i atrakcyjny punkt odniesienia dla narodów naszej części Europy. W tej rywalizacji na atrakcyjność swojego modelu rozwoju Rosja – w oczach tamtejszych elit, nawet jeśli tak jak Dieripaska nie mówią tego głośno – przegrywa właśnie ze słowiańską i bliską kulturowo Polską. A to może pociągać za sobą bolesne z moskiewskiej perspektywy skutki.

Już obecnie rosyjscy demografowie alarmują, że bez imigracji, co najmniej 500 tys. osób rocznie, Federacja Rosyjska w ekspresowym tempie zacznie się wyludniać, co odbije się nie tylko na jej perspektywach wzrostu gospodarczego, bo rośnie liczba emerytów, a maleje pracujących, lecz również nastąpią niekorzystne z punktu widzenia rdzennych Rosjan zmiany profilu narodowościowego kraju. W rodzinach muzułmańskiego południa nie odnotowano bowiem problemów z przyrostem naturalnym. A jak konkurować z Polską o ściągnięcie wykształconych, młodych i ambitnych pracowników z państw postsowieckich, kiedy poziom wynagrodzeń, nie mówiąc już o jakości życia, jest dziś praktycznie niemożliwy do nadgonienia?

Rosjanie tradycyjnie narzekają na swoją soft power, ubolewają nad tym, że ich „model rozwojowy” przestaje być atrakcyjny, spada w świecie, a nawet w sąsiednich państwach popularność języka rosyjskiego, przeważają, jak to oni nazywają, „nastroje rusofobiczne”. Nawet Czajkowski, Czechow czy Konczalowski nie są w stanie odwrócić niepokojących trendów.

Skonfrontowanie własnych aspiracji w tym względzie, ponoszonych nakładów i wysiłków z realnymi osiągnięciami doprowadziło do zmiany na stanowisku Rossotrudnicztwa, państwowej agencji odpowiadającej za komunikację i wspieranie Roskiego Miru. Jej szefem został Jewgienij Primakow, dziennikarz, deputowany do Dumy i wnuk byłego premiera Federacji Rosyjskiej. Zmiany te mają w rezultacie prowadzić do zdynamizowania rosyjskiej soft power, ale na razie Moskwa musi się godzić z tym, że na tym polu nie jest najlepiej.

Najlepszym tego przykładem są edukacyjne wybory białoruskiej młodzieży. Zdaniem Moskwy powinna ona studiować w Rosji, jej ściągnięciu ma służyć specjalny budżet stypendialny, który corocznie zasilany jest kwotą 180 mln rubli, czyli 2,5 mln euro. Ale wyniki są dalekie, jak argumentują rosyjskie media, od zadowalających. Z oficjalnych danych rosyjskich uczelni wynika, że 1 października 2019 r. studiowały u nich 10 653 osoby z Białorusi, z których 3588 otrzymywało pomoc w ramach wspomnianego rosyjskiego rządowego funduszu stypendialnego. Nieco inne liczby przywołuje białoruski portal tut.by, według którego w Rosji w roku akademickim 2018/19 studiowało 13 216 Białorusinów, ale to, na co zwraca uwagę, to dramatyczny spadek tej liczby – na przełomie lat 2013/14 na rosyjskich uczelniach kształciło się bowiem niemal 25 tys. przybyszów z Białorusi.

Odmienna sytuacja jest w przypadku Polski, w której jeszcze osiem lat temu studiowało niewiele ponad 2 tys. Białorusinów, a w ubiegłym roku liczba ta przekroczyła 7 tys. Zapowiedziane przez rząd Mateusza Morawieckiego

zmiany polegające na wprowadzeniu wielu ułatwień dla przybyszów z Białorusi, w tym zniesienie opłat za wizy, może w najbliższych latach te trendy jeszcze zmienić na korzyść Polski. Podobnie jak przeprowadzka białoruskiego sektora IT, który jednoznacznie poparł demokratyczne protesty w ojczyźnie, co naraziło go na represje. Zapowiedziana przez Polskę budowa na wschodzie kraju „krzemowej doliny” obliczonej na przyciągnięcie białoruskich programistów i firm z tego sektora, który wytwarzał niemal 6 proc. tamtejszego PKB, może jeszcze wzmocnić atrakcyjność Polski.

Inny element naszej soft power jest chyba najslabiej w Polsce rozumiany

Oleg Dieripaska, znany oligarcha, stawia rosyjskim elitom Polskę za wzór. Mówi, że statystyczny Rosjanin winien osiągać dochody nie mniejsze niżli ludzie pracujący i mieszkający w naszym kraju. Bez tego rosyjska gospodarka nie będzie się rozwijać, a państwo pozostanie na jałowym biegu

i doceniany. Ale znów posłużmy się przykładem. W maju 2018 r. władze Kaliningradu postanowiły wypowiedzieć wojnę ulicznym sprzedawcom handlującym towarami z Polski. Bo trzeba wiedzieć, że tak jak w wielu polskich miastach zobaczyć można szyld „chemia z Niemiec”, tak i podobną reputacją cieszą się w rosyjskiej enklawie polskie towary. W mieście Kanta, jak relacjonowała lokalna telewizja, handluje się tym, co można przywieźć z Polski w bagażnikach samochodów, ale są też całe ulice straganów, których właściciele

wyspecjalizowali się w sprzedaży importowanych z naszego kraju i objętych sankcjami towarów. Akcja zakończyła się niepowodzeniem, mimo że lokalna policja nakładała każdego dnia na handlujących mandaty po 4,6 tys. rubli (65 euro według ówczesnego kursu), co w rosyjskich realiach nie jest małą kwotą. Jeden ze sprzedających powiedział nawet indagującej go telewizyjnej dziennikarce, że mimo kar i najsć policji będzie sprzedawał towary z Polski, bo ludzie zwyczajnie ich potrzebują.

NIEMIECKI ODWRÓT

Wróćmy jednak do kwestii wielkiej polityki i spraw wojskowych, bo te obszary znacznie bardziej zaprzątają uwagę Kremla i rosyjskich elit niżli codzienne bolączki obywateli Rosji. Tutaj też, z rosyjskiego punktu widzenia, sprawy nie mają się najlepiej. Dmitrij Trenin, dyrektor moskiewskiego Centrum Carnegie, jest zdania, że relacje Rosji i Niemiec wchodzą właśnie w swą kryzysową fazę. W jego opinii kończy się właśnie to, co określano było mianem Ostpolitik, czyli polityki będącej próbą budowy specjalnej, pragmatycznej, skoncentrowanej na szukaniu obopólnych korzyści płaszczyzny współpracy między obydwojema krajami. Niemcy, w jego opinii, nie chcą być już rzecznikiem Rosji w Europie, nie chcą rozumieć ani tłumaczyć geostrategicznych planów Kremla, nie mają chęci wgryzać się w tajniki rosyjskiej duszy ani nie liczą na wielkie korzyści będące wynikiem politycznej bliskości między Berlinem a Moskwą. „Na poziomie retoryki – ocenia Trenin – oznacza to fundamentalny sprzeciw wobec polityki zagranicznej i wewnętrznej Kremla, ostrą krytykę pewnych konkretnych kroków Moskwy i wielką solidarność w tym sensie z krajami Europy Wschodniej. Na poziomie ekonomicznym wielu spodziewa się porzucenia projektu gazociągu Nord Stream 2. W każdym razie wydaje się, że era dużych rosyjsko-europejskich projektów energetycznych dobiegła końca. Na szczęblu dyplomatycznym prawdopodobne jest znaczne

ograniczenie oficjalnych kontaktów i być może zawieszenie dialogu na najwyższym szczeblu". W praktyce oznacza to jego zdaniem, że europejską politykę wobec Rosji będą kształtowały Warszawa i państwa bałtyckie, a Berlin będzie bardziej skłonny wsłuchiwać się w opinie niechętnie nastawionych do Rosji państw naszego regionu niżli głosy płynące z Moskwy.

Spoglądając z perspektywy kilku ostatnich lat, polityczna skuteczność Polski okazała się większa, niż ktokolwiek mógł w Moskwie przypuszczać. Niezależnie od iskrzenia na liniach Warszawa–Berlin czy Warszawa–Paryż i sporej grupy zwolenników resetu, zwłaszcza wywodzących się ze „starej Europy”, Moskwie nie tylko nie udało się doprowadzić do zniesienia sankcji i narzucenia odpowiadających jej warunków pokoju na wschodzie Ukrainy, lecz dziś, jak napisał Trenin, „musi walczyć o to, kto będzie jej sąsiadem pod Smoleńskiem” i obserwuje stopniowy zmierzch niemieckiej Ostpolitik. Trudno zatem mówić, aby Rosja w swej polityce europejskiej odniosła w ostatnich latach jakiś oszałamiający sukces. A Polska?

DOKTRYNA PIŁSUDSKIEGO

Modest Kolerow, rosyjski historyk i lider środowiska skupionego wokół Agencji Regnum, mogącego uchodzić za jeden z elementów szeroko pojętego konserwatywnego skrzydła obozu putinowskiego, powiedział, przy okazji zorganizowanego przez siebie w lutym tego roku „okrągłego stołu” poświęconego polityce Polski, że „Polski imperializm uzbrojony w narzędzie, jakim jest polityka historyczna, i elastyczną doktrynę Piłsudskiego–Giedroycia, w myśl której Polska nie musi inkorporować obszarów kresowych, ale wystarczy, że będzie je kontrolowała i uczyni z nich państwa-protektoraty, to dla Rosji poważny przeciwnik, wobec którego nie mamy odpowiedzi”. Co ciekawe, zdaniem redaktora naczelnego Regnum powstrzymywanie tego polskiego imperializmu może nastąpić jedynie siłami Ukrainy i Białorusi,

ale to musi oznaczać rewizję rosyjskiej polityki wobec tych krajów. Ale do takiej przemyślanej i skutecznej akcji Rosja, zdaniem Kolerowa, też nie jest przygotowana.

Dруга konstatacja Kolerowa jest następująca – fundament polskiej polityki historycznej jest w swej istocie antyrosyjski. Jeśli idzie o współczesną polską ideę imperialną, to Kolerow jest zdania, a powołuje się przy tym na nieoficjalne rozmowy z przedstawicielami polskich elit, że Warszawa uważa, iż Rosja, próbując odzyskać

Dla rosyjskich elit strategicznych dziś wojną jest wszystko, co pozwala złamać opór przeciwnika – informacja, relacje gospodarcze, operacje wywiadowcze czy nęcające projekty inwestycyjne. To, co różni klasyczne środki zbrojne od nowoczesnych działań wojennych, to jedynie stopień zastosowania przemocy

wpływy na Ukrainie, ostatecznie w planie historycznym tam ugrzęźnięcie. W efekcie politycznie i ekonomicznie się „wykrwawi”, bo to oznacza choćby zablokowanie możliwości rosyjskiej polityki europejskiej. Polska nie jest gotowa rozmawiać o „rozbiorze” czy podziale wpływów z Rosją na Ukrainie ani na Białorusi, z tego prostego powodu, że uważa, iż w ostatecznym historycznym rachunku obydwa te państwa będą bliższe Polsce niżli Rosji. Nowoczesny polski imperializm, odnowiona idea Piłsudskiego i Giedroycia, polega jego zdaniem na wykorzystaniu we własnych interesach ekonomicznych społecznej dynamiki państw buforowych (pracownicy, edu-

kacja, związki gospodarcze) oraz narzuceniu światopoglądowej, mentalnej kontroli tamtejszym elitom, które na porządek regionalny i rolę Rosji będą patrzeć przez polskie okulary.

AMERYKAŃSKA PERSPEKTYWA

Rosyjskie elity uważnie obserwują też ewolucję amerykańskiego systemu sojuszniczego i wzrastającą w nim rolę Polski. Tradycyjnie przywiązane do rozwiązań siłowych są zdania, że to „twarde” wojskowe argumenty bardziej się liczą w ostatecznym rachunku niżli te trudno uchwytne, z kategorii soft power. Ale i w tym wypadku ich uwadze nie mógł umknąć choćby ostatni raport przygotowany pod kierunkiem gen. Bena Hodgesa, byłego dowódcy sił amerykańskich w Europie, w którym padają dwie kluczowe z tej perspektywy tezy. W myśl pierwszej potencjały wojskowe, gospodarcze i demograficzne państw Europy Wschodniej i Północnej, od Norwegii do Rumunii, które podobnie odczytują rosyjskie zagrożenie, są zupełnie wystarczające, aby zbudować siły zbrojne zdolne odeprzeć każdą rosyjską agresję.

Dруга teza, formułowana przez amerykańskich strategów, jest nie mniej istotna. Otóż ich zdaniem taka wojskowa „pięść” na wschodnim froncie NATO nie powstanie bez udziału Polski, co więcej to polscy oficerowie i żołnierze muszą stanowić jej trzon. Stany Zjednoczone ze swej strony będą z radością witać tego rodzaju zmiany i pomagać w ich urzeczywistnieniu, bo to pozwoli im się skupić na kierunku azjatyckim, z punktu widzenia geostrategicznej rywalizacji z Chinami ważniejszym.

Jeśli zatem w najbliższych latach na wszystkich polach – politycznym, gospodarczym, demograficznym i wojskowym – Polska zrealizuje swe długofalowe cele, to Moskwie wyrośnie w regionie nowy groźny rywal. Nie mający żadnych kompleksów, a tym bardziej sentymentów wobec Rosji, Władimir Putin ma zatem w swym kremlowskim gabinecie o czym rozmyślać.



Trójmorze ma potencjał przyciągania

Mamy do czynienia z wizją, która zaczyna się materializować, i to jest rzecz więcej niż cenna. Co ważne, Trójmorze to zamysł mający doprowadzić do autentycznej spójności Unii Europejskiej. To jest umacnianie tej części Europy, która ma bardziej optymistyczne, bardziej ambitne, głodne sukcesu społeczeństwa

*Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z prof. **Zbigniewem Rauem**, ministrem spraw zagranicznych*

Pana nominacja na funkcję ministra spraw zagranicznych była dla wielu obserwatorów zaskoczeniem, mimo że kierował pan komisją sejmową zajmującą się tą dziedziną. Jak to się stało, że to właśnie pan zastąpił ministra Jacka Czaputowicza? Czy to był pana cel, ambicja, marzenie?

Zbigniew Rau: Marzenia oczywiście mam, ale nie dotyczą one mojego udziału w polityce, ale raczej realizacji pewnych koncepcji. Natomiast jeśli

chodzi o funkcje publiczne, z wyjątkiem jednej, to o żadną z nich nie zabiegałem. Byłem senatorem, wojewodą, teraz jestem ministrem, ale to za każdym razem propozycje, które do mnie przychodziły.

Zapewne nie było to źródłem cierpienia?

Nie, przyjmowałem je z satysfakcją. Natomiast jeśli chodzi o komisję spraw zagranicznych, to obejmując po raz pierwszy mandat posła, w wieku 64 lat,

musiałem się zastanowić, co chcę robić. I dlatego byłem zainteresowany tym stanowiskiem, tym bardziej że jako senator w latach 2005–2007 zajmowałem się relacjami międzynarodowymi, pracowałem w senackiej komisji spraw zagranicznych, w Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy.

Czy wcześniej, pracując na uczelni jako naukowiec, zajmował się pan sprawami międzynarodowymi?

Fot. Andrzej Wiktor

Nie były w centrum moich zainteresowań naukowych, ale nie były też mi obojętne. Interesowałem się wizją Europy w ciągu ostatnich lat. Tym, czym ona jest, z czego wyrasta i jak ewoluuje. Jaka jest pozycja Polski w tym zmieniającym się układzie sił. Interesowało mnie zwłaszcza nasze najbliższe otoczenie, coś, co dziś nazywamy Trójmorzem, a co ma swoje historyczne odniesienia, choćby takie jak Państwo Wielkomorawskie, monarchie Jagiellonów. Refleksja na temat tego, czym byliśmy, czym jesteśmy i czym będziemy w Europie, zawsze była dla mnie ważna.

Czym zatem dziś jesteśmy?

Polska, wraz ze swoimi sąsiadami, wraca do swojej najbardziej znaczącej tożsamości. Przywołam tu bliskiego mi francuskiego myśliciela Alexisa de Tocqueville'a, który wskazywał, że tożsamość europejską wyznaczają dwie zasadnicze linie podziału. Pierwsza to ta, która rozdziela państwa o tradycji absolutystycznej – Francję, państwa niemieckie, i te państwa, które albo odrzuciły taką pokusę, np. Anglię, albo jej nigdy nie przyjęły. Tocqueville wskazywał tu zwłaszcza na Polskę i Węgry. W czasie swoich podróży nigdy do nas nie dotarł, ale to o nas wiedział.

To pierwsza linia podziału. A druga?

Tocqueville dodawał do tego podziału na metropolie i peryferie. Te drugie to zwłaszcza państwa, które na jakimś etapie straciły niepodległość. Doskonale znał przykład Irlandii, w której spędził kilka miesięcy. Widział, że narzucony tam system angielski, skopiowany w najdrobniejszych szczegółach, po prostu nie działał – był obcy, narzucony, skorumpowany, wtórny. Elity przeszły na stronę Anglików, reszta narodu została zepchnięta do roli wręcz służebnej. To samo przytrafiło się naszemu regionowi po bitwie pod Mohaczem na Węgrzech w 1526 r., po bitwie pod Białą Górą w Czechach w 1620 r., częściowo po upadku I Rzeczypospolitej. Teraz wracamy do daw-

nych tożsamości, tam poszukujemy inspiracji.

Ale swego rodzaju zagrożenie absolutystyczne nie zniknęło. Próbuje się narzucać narodom i państwom konkretne rozwiązania i wzorce, właściwie nie pytając ich o zdanie, pozorując dyskusję.

Absolutyzm bardzo krytycznie podchodził do polskiego dziedzictwa, do polskich tradycji i wolności, i to nie jest wyłącznie przeszłość. Mam teraz doktoranta ze Stanów Zjednoczonych, który zwrócił mi uwagę, że Wolter, symbolizujący kontynentalne oświecenie, z wielkim szacunkiem odnosi się do parlamentaryzmu brytyjskiego. Ten sam Wolter, gdy patrzy na

O pozycji Polski w świecie decyduje nasze miejsce w tej części Europy. To, jak sobie układamy relacje z naszymi sąsiadami, z tymi narodami, które znamy od tysiąca lat. To jest rzecz absolutnie podstawowa

co prawda zdegenerowany wówczas, ale przecież istniejący od dawna parlamentaryzm polski, to kompletnie nim gardzi, i z entuzjazmem wita pierwszy rozbiór Polski. Ciekawe, że Amerykanin widzi to tak czytelnie. Może właśnie dlatego, że nie jest z Europy. Wnioski każdy może wyciągnąć sam.

Jakie z tego wypływają wnioski dla pana programu w polityce zagranicznej obecnej Rzeczypospolitej?

Bez wątpienia o pozycji Polski w świecie decyduje nasze miejsce w tej części Europy. To, jak sobie układamy relacje z naszymi sąsiadami, z tymi narodami, które znamy od tysiąca lat. To jest rzecz absolutnie podstawowa. Dlatego tak cenna jest dla mnie formuła unii lubelskiej: „Wolni z wolnymi, równi

z równymi”. To klucz do przyszłości. Ważne jest także, że wszyscy wokół mamy dość podobne doświadczenia i problemy. Łatwiej nam siebie nawzajem zrozumieć.

Czy jednak stanowimy wspólnotę? Był czas, że wiele państw wstydziło się swojej wschodniej czy środkowej europejskości, one chciały być na Zachodzie.

Okres komunizmu bardzo radykalnie nas od siebie oddzielił. To, że po upadku komunizmu zaczęliśmy patrzeć na Zachód, a nie na siebie nawzajem, było w pełni zrozumiałe. Nie mogło być inaczej. Państwa zachodnie były naszym naturalnym partnerem w procesie odrzucania tego, co oferował komunizm. Im jednak dłużej jesteśmy częścią wspólnoty zachodnich, im dłużej należymy do instytucji zachodnich, tym jasniej widzimy, że jednak jesteśmy trochę inni, że występują pewne uzasadnione partykularyzmy regionalne. Że mamy inną pozycję w sferze bogactwa, poziomu życia, infrastruktury, konkurencyjności i że z tego wypływają pewne wnioski.

Czyli to sojusz biedniejszych?

Nie. To są kraje, które straciły niepodległość przynajmniej dwukrotnie w swoich dziejach.

To są jednak doświadczenia bardzo mocne, które mają znaczenie choćby w podejściu do kwestii bezpieczeństwa, odbieranej bardziej dosłownie niż na Zachodzie. Pamiętamy, że gdy nasi potężni sąsiedzi z sobą walczyli, to walczyli na naszej ziemi. A gdy zawierali z sobą pokój, to dzielili się naszymi ziemiami, które stawały się prowincjami. Bezpieczeństwo jest więc kwestią absolutnie fundamentalną.

Centra polityczne Europy Zachodniej nie ukrywają, że niechętnie patrzą na tego typu emancypację Europy Środkowej. Traktują ją jako wyzwanie rzucone tzw. integracji.

Chcę jasno stwierdzić, że naszą naturalną przestrzenią do działania i rozwoju jest Unia Europejska. Co do tego nie ma sporu. Skoro jednak jesteśmy

już w Unii kilkanaście lat, skoro coraz lepiej poznajemy formalne i nieformalne – często ważniejsze – mechanizmy działania, to trudno się dziwić, że chcemy realizować swoje interesy. To wynika także z refleksji, że dzięki UE i NATO możemy dużo więcej. A to z kolei oznacza zobowiązanie do prowadzenia bardziej podmiotowej polityki.

Zmiana ministra spraw zagranicznych to bardzo często także korekta linii politycznej. W czym pana polityka będzie się różniła od tego, co robił minister Czaputowicz?

Odpowiem tak: gdybyśmy dziesięć lat temu rzucili gdzieś hasło „Trójmorze”, nikt by nie wiedział, o co chodzi. Oczywiście były różne pomysły w dziejach naszego kraju i regionu na federacje, konfederacje, i w kraju, i na emigracji. Teraz jednak mamy do czynienia z wizją, która zaczyna się materializować, i to jest rzecz więcej niż cenna. Co ważne, to jest zamysł mający doprowadzić do autentycznej spójności Unii Europejskiej. To jest umacnianie tej części Europy, która ma bardziej optymistyczne, bardziej ambitne, głodne sukcesu społeczeństwa. Podobnie wschodnia flanką NATO wzmacnia cały pakt obronny.

Pytanie, czy inne kraje regionu również widzą swoją szansę w koncepcji Trójmorza. Czy nie jest tak, że brakuje chętnych do pociągnięcia tego projektu z całą mocą? Może Rumunia?

Rumunia jest rzeczywiście ważnym dla nas krajem. Spójrzmy jednak na to inaczej, od strony choćby projektów infrastrukturalnych. Owszem, każdemu zależy na czymś nieco innym, ale ta mozaika oczekiwań tworzy jednak pewną całość. W interesie nas wszystkich jest, by szlaki komunikacyjne biegły nie tylko z zachodu na wschód, lecz i z północy na południe. Żeby z Tallina do Salonik dało się dojechać równie szybko jak z Göteborga do Barcelony. To chcemy zmienić.

Słychać, że Trójmorze naprawdę niepokoi niektóre potężne stolice. Ile w tym prawdy?

Na pewno ta koncepcja budzi często dystans, zarówno intelektualny, jak i operacyjny. Należy przyjąć, że wynika to wyłącznie z niezrozumienia dobrodziejstw tego projektu. Traktujmy to jako zobowiązanie do wyjaśniania tej kwestii.

Czy wyobraża pan sobie rozszerzenie Trójmorza poza ramy Unii Europejskiej?

Nie. Zachowując minimum uczciwości intelektualnej, trudno sobie to wyobrazić. Widzimy jednak, że ten projekt ma potencjał przyciągania.

Jak ważne dla przyszłości Trójmorza będą jesienne wybory w Stanach Zjednoczonych? Prezydent Trump wspiera ten projekt.

Przenikliwość prezydenta Trumpa polegała na tym, że dostrzegł szansę na współpracę z „koalicją chętnych”, która się pojawiła. Trójmorze to jest nowy podmiot, coraz bardziej świadomy swoich celów, choć bardzo różnorodny, będący syntezą, wspólnym mianownikiem różnych interesów. Ale prezydent Stanów Zjednoczonych nie był inspiratorem tej inicjatywy.

Jest też Grupa Wyszehradzka, cenniona przez wszystkie zaangażowane stolice i coraz bardziej dostrzegana przez Zachód. Ale właśnie V4 pokazuje, że po osiągnięciu pewnego poziomu współpracy regionalnej trudno pójść dalej.

Czy to w relacjach z państwami V4, czy w kontekście bardzo bliskich kontaktów z państwami bałtyckimi widzimy różnorodność oczekiwań co do ich instytucjonalizacji. Siłą jest wspólna zgodność na poziomie funkcjonalnym w różnych ważnych sprawach, natomiast jest rzeczą absolutnie naturalną, że każdy wyznacza pole swojego zainteresowania i współpracy. Użyteczność Grupy Wyszehradzkiej jest widoczna zwłaszcza w chwilach kryzysów, w chwilach decydujących. Wówczas uzmysławiamy sobie wspólnotę interesów, oczywiście nie wszystkich. Ale też jest sfera mniej widoczna – sfera codziennej współpracy różnych ministerstw i organizacji. W tej dziedzinie naprawdę idziemy do przodu.

To jest proces ewolucyjny i w tym tkwi jego siła, jego autentyzm. To lepsze niż podpisywanie pięknych deklaracji, które później pozostają martwe.

Przywołał pan wcześniej unię lubelską, której ważną częścią były ziemie obecnej Białorusi. Na ile to, co dzieje się za naszą wschodnią granicą, może zmienić sytuację geopolityczną regionu?

Spółeczeństwo białoruskie imponuje nam dzisiaj pełną determinacją obroną wspólnych europejskich wartości, a więc godności, wolności, praw człowieka, demokracji. Nie wiemy jednak, gdzie dokładnie jest nasz sąsiad. Przywołując polskie doświadczenia: czy to rok 1979, 1980, czy może 1989? Może zabrzmi to górnolotnie, ale gdy raz się uchyli drzwi do wolności, to nie da się ich już całkowicie domknąć. W naszej części świata tak to działa. Stąd bierze się nasze zaangażowanie, zresztą zgodne z oczekiwaniami społeczeństwa polskiego.

Wręczał pan nagrodę Światłanie Cichanouskiej w Karpaczu. Jakie wrażenie zrobiła na panu osoba, która jest twarzą tego zrywu, tej rewolucji.

To na pewno mało rewolucyjna twarz, tak to ujmę. Nie ulega wątpliwości, że ruch ten to dopiero załążki społeczeństwa obywatelskiego. Nie ma tam jednego programu politycznego, nie ma jednoznacznego przywództwa. Nie ma tam Stoczni Gdańskiej, do której można pojechać i porozmawiać, nie ma ekspertów. Ale z drugiej strony to nie jest słabość tego ruchu, bo to z kolei sprawia, że jest on bardzo inkluzywny, że mieszczą się w nim i ci, którzy noszą flagi białoczerwono-białe, i ci, którzy wolą flagę oficjalną. Ruch protestu starannie unika przemocy, nie stłukł chyba ani jednej szyby. I to jest wielka wartość. Teraz pytanie brzmi, w jaki sposób można ten wolnościowy kapitał zagospodarować. Jestem przekonany, że wcześniej czy później dojdzie do dialogu władzy ze społeczeństwem, ale nie wiem, ile trzeba będzie czekać i jaki będzie koszt.

Pozycja władz w Mińsku w przewidywalnej przyszłości będzie jednak bardzo słaba?

Nie ulega wątpliwości, że reżim Aleksandra Łukaszenki, który do tej pory korzystał z domniemanej akceptacji społecznej, nie może się już posługiwać tym typem legitymizacji. Nie może też uchodzić w takim stopniu jak dotąd za gwaranta istotnej odrębności Białorusi od Rosji. Pozycja Łukaszenki w relacjach z Moskwą jest dziś bardzo słaba. Mamy w istocie do czynienia z hybrydową interwencją rosyjską. Np. w mediach państwowych dziennikarzy białoruskich zastąpili przybysze z Rosji. Tak jest w wielu dziedzinach. Paradoksalnie nie zmienia to faktu, że Białorusini są jedynym społeczeństwem w naszej części Europy, w którym obecne są na tak dużą skalę sentymenty prorosyjskie. Z perspektywy Federacji Rosyjskiej to z pewnością atut, którego nie warto tracić.

Prezydent Łukaszenka twierdzi, że to zagranica – Polska, Litwa, Czechy, USA – inspirują te protesty.

Zarzuty są absurdalne. I pani Cichanouska, i pan Aleksander Milinkiewicz, i inni opozycjoniści białoruscy zapewnili mnie, że nikt w to nie wierzy. Pamiętamy tę retorykę, która choćby w PRL każdą niezależną inicjatywę przypisywała obcej inspiracji. To jest to samo.

Co zrobi Polska po zaprzysiężeniu Aleksandra Łukaszenki na kolejną kadencję? Niektórzy mówią, że prezydentem elektem jest Cichanouska.

Rozmawiając z moimi partnerami w Unii Europejskiej, nie widzę jakiegokolwiek woli uznawania Aleksandra Łukaszenki za prawomocnie wybranego prezydenta. Na pewno Polska nie będzie należeć do państw, które za tym by się opowiadały. Nie ma powrotu do tego, co było. Ale też pamiętajmy, że Łukaszenki nie można traktować jako szeregowego dyrektora kolchozu. To jednak polityk, który przetrwał ćwierć wieku, i to mając naprzeciwko siebie i Jelcyna, i Putina. Przez ostatnie pół roku prezentuje się jednak bardzo autystycznie, ale to już inna sprawa.

Dlaczego bunt na Białorusi wybuchł właśnie teraz? Bo kiedyś musiał?

Zapewne tak, kiedyś to musiało się zdarzyć. W ostatnim czasie dużo się dowiedzieliśmy o społeczeństwie białoruskim. To społeczeństwo nowoczesne, wyrafinowane, otwarte na świat, świadome siebie. Protesty rozpoczęli młodzi ludzie, znający świat

Chcę jasno stwierdzić, że naszą naturalną przestrzenią do działania i rozwoju jest Unia Europejska. Skoro jednak jesteśmy już w UE kilkanaście lat, skoro coraz lepiej poznajemy formalne i nieformalne – często ważniejsze – mechanizmy działania, to trudno się dziwić, że chcemy realizować swoje interesy

i z podróży, i z internetu. Czasy ich dziadków, sowiecka Białoruś, to daleka przeszłość.

Polska prowadzi aktywną politykę, buduje różne struktury regionalne, rozwija kontakty. Ale np. w Parlamencie Europejskim czy w mediach prezentowana jest w sposób zakłamany, nierzadko opisuje się nas jako reżim niemalże taki jak na Białorusi. Czy ma pan pomysł, jak walczyć z tym zjawiskiem?

Parlament Europejski trzeba traktować jako coś osobnego. Parlamentarzyści mają tendencję do komunikowania się ze swoim najbardziej wyrazistym wyborcą i dlatego często sięgają po język radykalny. Szerszym problemem jest brak woli ogłędu naszej rzeczywistości. Przyjmuje się pewne klisze, później powielane przez media, często piszące pod tezy naszej opozycji, i nikt nie sprawdza, jak jest naprawdę. W Niemczech, które znam osobiście, kiedyś różne

tytuły prasowe miały różne stanowiska w różnych polskich sprawach. Dziś wszyscy zdają się pisać to samo. To jest bardzo dziwne, niepokojące zjawisko.

Czy będzie się pan starał podnieść sprawę reparacji od Niemiec za zbrodnie i zniszczenia z okresu II wojny światowej?

Kwestie polskiej tożsamości ukształtowane przez reminiscencje II wojny światowej są absolutnie oczywiste. I w debacie publicznej to się często ujawnia, a czasem i dominuje. Trudno, żeby te kwestie nie obejmowały spraw, o których panowie mówią.

To odpowiedź, którą z pewnością pochwaliby sir Humphrey Appleby z doskonałego brytyjskiego serialu „Yes Minister”.

Znam i bardzo lubię ten serial [śmiech].

Czy będą zmiany w MSZ? Czy będzie pan chciał dopuścić trochę świeżej krwi do aparatu dyplomatycznego?

Jest niezwykle ważne, żeby dokończyć pewnego rozróżnienia. Po pierwsze, powinniśmy mieć apolityczną służbę zagraniczną, a więc profesjonalnie przygotowywanych urzędników, od których oczekuje się większego poświęcenia, dyspozycyjności, dyscypliny, dyskrecji, odpowiedzialności na placówce zagranicznej niż od innych kategorii służby cywilnej, oferując w zamian pewne przywileje. Po drugie, są ci, którzy z politycznej nominacji biorą odpowiedzialność polityczną za politykę zagraniczną. Jeśli wszyscy uznamy ten podział, będzie dobrze.

Chce pan powiedzieć, że profesjonaliści urzędnicy nie mogą przejmować roli osób odpowiadających politycznie za politykę zagraniczną?

Sprawa jest prosta: są eksperci, są fachowcy, którzy wykonują polecenia polityczne. Za kształt polityki zagranicznej odpowiadają minister i wice-ministrowie. Mieszanie tych porządków jest rzeczą bardzo szkodliwą. 



Premier ze wspomaganie

Rzecz idzie tu o kwestię znacznie bardziej politycznie doniosłą, mianowicie o ustalenie przyszłej sukcesji władzy w Prawie i Sprawiedliwości



JAN ROKITA

Projekt wejścia lidera PiS w skład gabinetu Morawieckiego dość istotnie zmienia polityczny charakter tego rządu. Nietrudno zresztą zauważyć, że tego rodzaju konstrukcja w sposób oczywisty nawiązuje do precedensu trwałej obecności Piłsudskiego w roli ministra spraw wojskowych we

wszystkich rządach, od zamachu majowego 1926 r. aż po śmierć w 1935 r., z wyjątkiem kilku miesięcy kryzysu zdrowotnego i pobytu na Maderze.

OBSZARY WPŁYWÓW

Zarówno w tamtym historycznym, jak i w obecnym przypadku taka konstrukcja rządu niesie dwie fundamentalne konsekwencje dla modelu sprawowania władzy. Po pierwsze, oznacza podział gabinetu na dwie strefy wpływów: tę, którą zastrzega sobie jako własne dominium przywódca obozu, oraz całą resztę, która może być zarządzana przez premiera. W przypadku Piłsudskiego zastrzeżony

obszar dominium był węższy, niżli ten, jaki planuje przejąć Kaczyński, gdyż Marszałek wyłączał ze strefy „premierowskiej” tylko armię, żywiąc skrajną nieufność co do wpływu demokratycznej polityki na wojsko.

Obecnie zaś, jeśli formułowane zapowiedzi spełnią się w najbliższych dniach, Kaczyński będzie kierować armią, sprawami wewnętrznymi, administracją, służbami specjalnymi oraz prokuraturą i sprawiedliwością. Rzecz jasna, jeśli wziąć pod uwagę, że ani Błaszczak, ani Kamiński nie są politykami podmiotowymi i nie mają własnego zaplecza, kluczowy dla dalszego działania rządu okaże się zapewne nadzór lidera partii nad

Ziobrą, gdyż tylko on posiada zarówno talent polityczny, jak i realny potencjał, umożliwiający prowadzenie własnej podmiotowej polityki.

Z kolei obszar dominium premiera kurczy się do kwestii gospodarczo-społecznych oraz międzynarodowej dyplomacji, czyli stref, w których Kaczyński miał zawsze poczucie niskiej kompetencji i niedostatku kwalifikacji.

Ustrojowo ważniejsza jest jednak druga konsekwencja takiej konstrukcji gabinetu. Obecność lidera, który (co w tej sprawie kluczowe) jest zarazem jedynym niemożliwym do zakwestionowania politycznym autorytetem całego obozu władzy, oznacza systemową obecność wewnątrz rządu mocnego czynnika rozjemczego, zdolnego przecinać różnice zdań i konflikty, nawet jeśli będą one wykraczać poza zastrzeżoną strefę osobistego dominium Kaczyńskiego. Co prawda Morawiecki jako szef rządu ma silne formalne narzędzia zwierzchnictwa nad ministrami, jakie daje mu system „rozporządzeń atrybucyjnych” oraz ustawa o Radzie Ministrów, czyli trwale i doniosłe owoce tzw. reformy Pola z 1997 r., ale w politycznych realiach nie wystarczają formalne prerogatywy, bo trzeba jeszcze wystarczającej politycznej woli i mocy, aby z nich w pełni korzystać.

Tymczasem Morawiecki cierpi ciagle na pewien deficyt politycznego autorytetu, czego dowodziły wielokrotnie powtarzające się kolizje i starcia wewnątrz rządu, zwłaszcza nierozstrzygalne klikowe walki o stanowiska w państwowych spółkach oraz publiczne polemiki pomiędzy ministrami pochodzącymi (mimo formalnych podziałów partyjnych) tak naprawdę z jednego obozu politycznego i wybranych z jednej listy wyborczej. To, co było dotąd najbardziej zaskakujące, to fakt, iż premier często bywał po prostu stroną w tych sporach w stosunku do podległych mu formalnie ministrów. W efekcie już od dawna narady i negocjacje w momentach kluczowych decyzji politycznych, na przykład w trakcie majowego kryzysu wokół wyborów prezydenckich, musiały się toczyć nie wewnątrz gabinetu, ale w salkach partyjnej siedziby przy

Nowogrodzkiej. Opozycja miała sporo racji, krytykując taki odformalizowany model kierowania państwem „z tylnego siedzenia”.

PLAN SUKCESJI

Co prawda owo „siedzenie” Kaczyńskiego nadal pozostanie w pewnym sensie „tylne”, ale ów „tył” będzie jednak teraz o wiele bliżej „przodu”. A co najistotniejsze – zyska również atrybuty formalne i państwowe, jeśli istotnie (jak brzmią zapowiedzi) lider partii będzie teraz wicepremierem i szefem istotnego rządowego komitetu. Jest całkiem jasne,

Widać już wyraźnie, że norki, psy łańcuchowe i koszerne przemysł mięsny stały się mocno przypadkowymi uczestnikami gry o nowy model władzy

dłaczego Kaczyński nie chce przejąć roli premiera, tak by w pełni zinstytucjonalizować swoją rolę. Zapewne nie tylko dlatego, że (mówiąc kolokwialnie) podobnie jak Piłsudskiemu niemal wiek temu „nie chce się” zajmować od świtu do zmroku rządową biurokracją i absorbuje ją swoimi czynnościami protokołarnymi. Jak można bowiem sądzić, rzecz idzie tu o kwestię znacznie bardziej politycznie doniosłą, mianowicie o ustalenie przyszłej sukcesji władzy w PiS. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że Kaczyński ma już wybranego swojego „Waleręgo Sławka”, którym jest Morawiecki. Jeśli tak właśnie jest, to usunięcie premiera bez względu na tłumaczenia, jakie by temu towarzyszyły, przekreślałoby realność planu sukcesyjnego i dodawało tylko wigoru tym, którzy (tak jak prokurator generalny) liczyli do tej pory na doprowadzenie do zmiany personalnej preferencji przywódcy.

Wydaje się zatem, że na nową konstrukcję rządową należy patrzeć także z tej „sukcesyjnej” perspektywy. Ka-

czyński decyduje się na model, który można by zdefiniować, jako „gabinet Morawieckiego ze wspomaganiami”. Jeśli więc w praniu, czyli w efekcie realnej rządowej współpracy premiera z liderem partii, sukcesyjne preferencje tego ostatniego nie wykołują się w jakichś konfliktowych okolicznościach, to rola Kaczyńskiego wewnątrz gabinetu polegać będzie także na tym, aby utwierdzić polityczny autorytet Morawieckiego w całym obozie, tak by za trzy lata jego sukcesja była oczywista i niekwestionowana. Patrząc z czysto instytucjonalnej perspektywy, taka rola lidera partii byłaby czynnikiem „pro-państwowym”, gdyż wzmocniając premiera, umacniałaby tym samym quasi-kanclerskie mechanizmy władzy, trudne do przecenienia na przyszłość, jeśli na serio myśleć o perspektywie sprawniejszego rządzenia państwem polskim.

Teraz widać już wyraźnie, że norki, psy łańcuchowe i koszerne przemysł mięsny stały się mocno przypadkowymi uczestnikami gry o nowy model władzy, gry (podkreślny to) wywołanej i prowadzonej przez Kaczyńskiego. Spektakularne deklaracje pisowskich polityków (zwłaszcza Suskiego i Mazurek), iż koalicji z ziobrystami i gowinowcami „już nie ma”, a prokurator generalny powinien „szybko pakować swoje biurko”, nie były opisem politycznej rzeczywistości, ale celowym chwytem perswazyjnym, mającym zastraszyć każdego potencjalnie nieposłusznego wobec Kaczyńskiego. Istotę sprawy bezceremonialnie ujął na Twitterze oficer ordynansowy lidera, przestrzegając parlamentarzystów obozu władzy: „Nie wyginajcie się, bo skończycie jak LPR, Migalski albo Kowal”.

NORKI, CZYLI CASUS BELLI

W ciągu ostatnich miesięcy trudno było zresztą nie odnosić wrażenia, że co najmniej od kryzysu majowego obóz władzy dryfuje w jakimś nieznanym kierunku, pod zmęczonym i chwiejnym przywódcą i premierem niepanującym nad swoim gabinetem. Głośne walnięcie pięścią w stół przez lidera ma więc szansę okazać się symptomem jakiegoś przegrupowania i nowego porządku.

A pretekstu – jak wiadomo – dostarczyły dwie ustawy, obie zresztą w najwyższym stopniu (czy aby nie celowo?) kontrowersyjne, za sprawą których nastąpiła publiczna teatralizacja konfliktu. To jasne, że Kaczyński nie chciał na ostrzu noża postawić projektu „Bezkarność+” (jak sarkastycznie nazwali go jego przeciwnicy), zwłaszcza że o niepopularną społecznie ideę „urzędniczej abolicji” miałby toczyć spór z bezlitosnym prokuratorem generalnym. I tak, w sposób nieomalże absurdalny, to właśnie norki zostały wybrane jako casus belli, gdyż (co od początku było jasne, a potwierdziły prędko zrobione sondaże) każdy projekt, który zostanie dziś przedstawiony opinii jako płynący z miłości do futrzaków musi zyskać entuzjastyczną aprobatę mas, pod tym względem w całej Europie coraz bardziej zdzienniałych. W ten sposób futrzaki wtargnęły do polskiej politycznej historii, niczym jakieś równie przypadkowe gęsi kapitolinśkie do dziejów republiki rzymskiej.

Niemniej jednak nie można obojętnie przejść wobec tych wszystkich nonsensów, jakie zostały wypowiedziane na ten temat w zbożnym celu przywrócenia rozkładającej się dyscypliny politycznej wewnątrz obozu władzy. Rekordy pobił zapewne poseł Suski, z autoironicznym uśmiechem na ustach przekonujący nas do tego, iż „ktoś, kto ma spojrzenie życzliwe dla okrucieństwa, nie może w szczególności być ministrem sprawiedliwości”, a także, że ustawa futerkowa przesądza o „moralnej zdolności do rządzenia”. Z pewnym rozbawieniem można było zresztą obserwować, jak politycy i publicyści chcący zmanifestować subordynację względem Kaczyńskiego prześcigali się w opowiadaniu sloganów na temat miłości do futrzaków. Z ministra rolnictwa Ardanowskiego, który skądinąd i tak miał być ponoć odwołany, zrobiono niemal potwora, podczas gdy ów najzupełniej racjonalnie (biorąc pod uwagę urząd, jaki pełni) wystąpił w obronie całego kompleksu

rolnictwa, przemysłu oraz eksportu mięsnego i futrzarskiego, bezsensownie niszczonego w okresie gospodarczej recesji, w interesie zagranicznej (zwłaszcza wschodniej) konkurencji. Niestety polityczna rola, jaką lider PiS postanowił nagle nadać futrzakom, wypaczyła wszelką debatę na ten temat, sprawiając, że każdy głos krytyki był natychmiast czytany jako anarchiczne przeciwstawianie się próbom zaprowadzenia porządku albo niemal wojna osobiście wypowiedziana Kaczyńskiemu.

Pozostaje jeszcze nadzieja, że po tym, jak przywódca z sukcesem przeprowadzi obecną operację zaprowadzania porządku oraz ustali nową konstrukcję rządu, przyjdzie jeszcze czas na powrót do racjonalności także w materii futrzaków. „Niezadowolenie, a nawet gniew” z powodu szkód rolniczych, o którym wspominał prezydent Duda, zapowiada być może w owym nawrocie do ekonomicznej racjonalności jakąś rolę głowy państwa.

REKLAMA

DZIĘKUJEMY, ŻE BYLIŚCIE Z NAMI W GDYNI I NA FESTIWALNNW.PL



MIĘDZYNARODOWY XII FESTIWAL FILMOWY NNW

NIEPOKORNI NIEZŁOMNI WYKLĘCI



Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy
w Miastach Gdynia i Nowy Sącz



A large photograph of Jarosław Kaczyński, leader of the Law and Justice party, sitting at a podium with a microphone. He is wearing a dark suit, a light pink shirt, and a pink tie. Behind him are the Polish flag (white and red) and the European Union flag (blue with yellow stars).

Więcej rządu w rządzie

Wyjście Zjednoczonej Prawicy z kryzysu okazało się niemożliwe bez Jarosława Kaczyńskiego, najpewniej w roli superintendenta w rządzie

Kluczem do kryzysu, który dotknął Zjednoczoną Prawicę, jest cel rekonstrukcji rządu, a nie jakaś konkretna ustawa, choćby najbardziej kryzysogenna, np. o ochronie zwierząt. A celem było uczynienie rządu prawdziwym centrum decyzyjnym: spójnym, efektywnym, sprawczym. Nie klubem dyskusyjnym, i to bez zobowiązań, ale sprawną maszyną. Taki model funkcjonowania rządu, w dodatku okrojonego, czyli bardziej zwartego, wyklucza dotychczasową federacyjność (federację ministerstw). Federacyjność była na ręce koalicjantom Prawa i Sprawiedliwości, gdyż mogli oni zachować daleko idącą samodzielność w rządzie i umacniać swoje partie. Rzeczywiście w wyborach w 2019 r. partie koalicyjne były już silniejsze niż cztery lata wcześniej. A skoro tak, to politycy tych ugrupowań (ministrowie, posłowie) zaczęli demonstrować poczucie siły, powołując się na wybory właśnie. Rekonstrukcja miała wzmocnić premiera Mateusza Morawieckiego i pozwolić mu samodzielnie kontrolować rząd – tym razem już unitarny, a nie federacyjny.

Komplikacje w negocjacjach na temat rekonstrukcji i nowej umowy koalicyjnej wynikały z tego, że model rządu unitarnego osłabiał zarówno szefów Solidarnej Polski, jak i Porozumienia, osłabiał też same te partie. Dawał dużo większą władzę oraz możliwości premierowi, wciąż słabo zakotwiczonemu w największej partii koalicyjnej, nie piastującemu funkcji wiceprezesa PiS. I to słabe zakotwiczenie



STANISŁAW JANECKI

było też powodem coraz śmielszego „brykania” koalicjantów. Rekonstrukcja miała to wszystko zmienić, obiektywnie osłabiając koalicjantów i ich liderów. I to są realne przyczyny konfliktu, a nie jest nim pretekst, czyli Ustawa o ochronie zwierząt. Wyjście z kryzysu okazało się niemożliwe bez samego Jarosława Kaczyńskiego, najpewniej w roli superintendenta w rządzie. I nie wynika to

z jego chęci znalezienia się w rządzie, lecz z niemożności dyscyplinowania stron bez jego autorytetu i pozycji politycznej. Alternatywą był tylko rząd mniejszościowy.

BUNT I SAMOWOLKA

Przez pierwszą kadencję rządów Zjednoczonej Prawicy Solidarna Polska i Porozumienie wzmacniały się, dbając o kariery swoich ludzi, co w partiach jest zasadą uniwersalną (nie tylko w Polsce). Warto więc było być aktywnym, mieć pomysły, być w mediach właściwie na każde życzenie. Ale zawsze istnieje granica ekspansji mierzona realnymi politycznymi wpływami i poparciem wyborców, nawet jeśli liderzy nie przyjmują tego do wiadomości. Federacyjny charakter rządu ekspansję umożliwiał, a to przekładało się na rośnięcie w siłę. Aż powstał problem, czy to jest funkcjonalne dla całości. Od maja 2020 r. mieliśmy pelzający kryzys w koalicji rządzącej, przekładający się także na skuteczność rządu. Dlatego powstał plan rekonstrukcji, zmieniającej zarówno funkcjonowanie

Fot. Andrzej Wiktor

rządu, jak i zasady koalicyjnej współpracy. Gdy ujawniły się kłopoty, Jarosław Kaczyński powiedział: „Sprawdzam”. Pierwszym takim testem był termin wyborów parlamentarnych i wtedy doszło do kryzysu z Porozumieniem i Jarosławem Gowinem w głównych rolach. Kryzys rozwiązano, ale zadra pozostała. Drugim testem była Ustawa o ochronie zwierząt oraz projekt przepisów o odpowiedzialności urzędników działających w stanie wyższej konieczności. I tu w głównej roli wystąpili Zbigniew Ziobro oraz Solidarna Polska. W obu wypadkach mieliśmy festiwal wzmoczonej asertywności koalicyjantów, i to takiej, która zaczęła zagrażać koalicji.

Kryzys postępujący od maja 2020 r. dotknął też część PiS. Politycy tej partii nie mają wątpliwości, że było to także spóźnione echo zmiany premiera, co nastąpiło pod koniec 2017 r. Część członków i działaczy PiS z tą zmianą się nie pogodziła, co znalazło spóźniony wyraz w przyłączeniu się do buntu mniejszych koalicyjantów. Może dlatego, że akurat wtedy w mediach zaczęto kojarzyć Beatę Szydło ze Zbigniewem Ziobrą i działo się to niezależnie od intencji byłej premier. Zostało to odczytane również jako swego rodzaju wotum nieufności wobec premiera Morawieckiego, choć nie on był motorem ani autorem ustawy. W tle było jednak widać ślady sporu o pozycję Mateusza Morawieckiego, także po rekonstrukcji rządu. W efekcie dało to 15 głosów posłów PiS, którzy byli przeciw Ustawie o ochronie zwierząt.

Jarosław Kaczyński nie mógł oczywiście dopuścić do tego, żeby i w PiS doszło do samowolki, bo to oznaczałoby, że obóz rządzący jest w rozsypce na chwilę przed zamierzoną konsolidacją. Zapewne dlatego różni politycy PiS zaczęli wtedy mówić o rządzie mniejszościowym czy przyspieszonych wyborach. Projekt rekonstrukcji rządu oraz związane z tym zmiany funkcjonowania koalicji stałyby się w tym momencie bezprzedmiotowe. Albo zachowano by status quo, co niczego nie rozwiązywało, albo wszystko zmierzałoby do nowych wyborów i nowego rozdania, co wiązałoby się z wielkim ryzykiem, mimo słabości opozycji, szczególnie Platformy Obywatelskiej.

JESZCZE GŁĘBSZA REKONSTRUKCJA

Okazało się, że obecnie nie da się przeprowadzić rekonstrukcji i zmian w funkcjonowaniu koalicji rządzącej bez osobistego udziału Jarosława Kaczyńskiego. W założeniu rekonstrukcja miała zdecydowanie wzmocnić premiera Morawieckiego. I on będzie wzmocniony, jednak najprawdopodobniej przy pomocy pośredniego ogniwa, czyli Jarosława Kaczyńskiego, choć charakter tego pośredniego ogniwa może jeszcze ewoluować. To jest potrzebne, żeby mitygować koalicyjantów oraz zakończyć federacyjny etap funkcjonowania rządu na rzecz etapu unitarnego. W wariacie z Jarosławem Kaczyńskim jako wicepremierem wszystko mogłoby być korygowane od razu na poziomie Rady Ministrów, a wręcz na konkretnym posiedzeniu. I skończyłby się wyścig o informowanie prezesa PiS, jako lidera całego obozu, o tym, co się dzieje w rządzie. Informowanie subiektywne. To mogłoby bardzo znacznie podnieść efektywność i sprawność rządu. Bodaj najważniejsza jest jednak kontrola i koordynacja pracy resortów obrony, spraw wewnętrznych oraz sprawiedliwości. Resortów kluczowych

dla bezpieczeństwa Polski w kryzysowych czasach, także ze względu na to, co się dzieje na Białorusi oraz w Rosji Putina, a także w relacjach z Unią Europejską i NATO. Te trzy ministerstwa i podległe im służby nie mogą sprawiać żadnych kłopotów, a tym bardziej prowadzić całkiem autonomicznej polityki.

Paradoksalnie obrona przed rekonstrukcją i konsolidacją władzy najpewniej doprowadzi do głębszej rekonstrukcji i większej konsolidacji. Tym będą bowiem te dwa procesy z osobistym udziałem Jarosława Kaczyńskiego, niezależnie od ostatecznej formy tego udziału. Coś, co miało być sposobem na osłabienie Mateusza Morawieckiego, w efekcie go wzmocni,

Kaczyński uważa, że wcześniej za dużo było w rządzie gier i kombinacji typowych dla partii, a za mało zarządzania typowego dla egzekutywy, dlatego to musi się zmienić

choć oczywiście będą głosy, że wręcz przeciwnie, skoro w rządzie znalazłby się lider całego rządzącego obozu. I to do niego odnosiliby się ministrowie, a nie do premiera. Znając Jarosława Kaczyńskiego, można się jednak spodziewać, że nie będzie on obchodził premiera, a wręcz zmuszał ministrów do orientowania się na niego. Właśnie dlatego, żeby nie powstało wrażenie, że jest dwóch premierów, a ten formalnie ważniejszy jest mniej ważny. Koalicjanci, ale także politycy PiS będą przekonywani do tego, że mają się przyzwyczaić do myśli, iż nie da się obejść czy ignorować Mateusza Morawieckiego, jeśli rząd ma być sprawny i skuteczny. Każdy powinien się zająć wypełnianiem swoich obowiązków zamiast ustawiania całego rządu i koalicji. Jarosław Kaczyński uważa, że wcześniej za dużo było w rządzie gier i kombinacji typowych dla partii, a za mało zarządzania typowego dla egzekutywy, dlatego to się musi zmienić.

Niektórzy politolodzy, np. prof. Sławomir Sowiński, uważają, że na pozycji lidera obozu rządzącego Jarosław Kaczyński miał większe możliwości kontrolowania obozu władzy, niż może mieć, będąc członkiem rządu. Tyle tylko, że nie dało się zrealizować wariantu bez Jarosława Kaczyńskiego, jeśli coś ma się radykalnie zmienić w funkcjonowaniu rządu i koalicji. Co nie znaczy, że jeśli prezes PiS wejdzie do rządu, musi tam być aż do końca kadencji. Wszystko zależy do tego, na ile się wzmocni, także w strukturach PiS, popierany przez niego Mateusz Morawiecki i jak szybko w rządzie znikną federacyjne przyzwyczajenia, czyli traktowanie ministerstw jak samodzielnymi księstwami. Poprzedzający zmiany kryzys oraz jego głębokość uświadomiły tylko, że rekonstrukcja jest niezbędna. Chodzi tylko o to, żeby była skuteczna, czyli uczyniła rząd prawdziwą egzekutywą, a szefa rządu niemalowanym premierem.



Europa szykuje się na drugą falę COVID-19

Sytuacja gospodarcza i społeczna w większości państw europejskich nie pozwala powrócić jesienią, nawet w obliczu wzrostu liczby infekcji, do podobnej co wiosną skali wprowadzonych obostrzeń



MAREK BUDZISZ

Swiatowa Organizacja Zdrowia alarmowała niedawno, że notuje kolejną falę wzrostu liczby dziennych infekcji COVID-19, co zdaniem niektórych ekspertów może świadczyć

o tym, że nadchodzi oczekiwana jesienna fala pandemii. Premier Izraela Benjamin Netanjahu, w którym dziennie notuje się powyżej 6 tys. nowych przypadków, już poinformował o przywróceniu niektórych ograniczeń znanych z poprzedniego lockdownu. Podobne działania podjęły władze Autonomii Palestyńskiej. Mają one obowiązywać przez najbliższe trzy tygodnie i ograniczać ruchliwość ludzi do strefy maksymalnie 500 m od miejsca ich zamieszkania. Podobna zła sytuacja jest w Europie. Nawet w państwach naszego regionu – na Węgrzech i w Czechach

– notuje się skokowy wzrost liczby zarażonych. W Pradze doprowadziło to nawet do dymisji ministra zdrowia, który publicznie wspominał o potrzebie przywrócenia restrykcyjnych regulacji znanych z pierwszej fali pandemii.

SPÓŁECZNY SPRZECIW

Niezależnie jednak od tego, jak oceniamy zasadność wprowadzonych obecnie restrykcji, różnica między tym, co działo się wiosną, a dzisiejszą sytuacją jest zasadnicza. Ludzie, a przynajmniej



Fot. Andrzej Wilk

spora ich część, nie mają zamiaru stosować się do narzucanych im ograniczeń, o cierpliwym, a nawet stoickim znoszeniu niedogodności możemy zapomnieć. Obecnie informacje o przywróceniu niedogodności związanych z pandemią społeczeństwa przyjmują z niechęcią, zniescierpliwieniem, czasami ze złością. Zmienił się społeczny klimat, a to oznacza, że stare metody stosowane przez rządy wiosną są dziś nie do powtórzenia. W Izraelu decyzja rządu wywołała wściekłość społeczności religijnych, zarówno muzułmańskiej, jak i judaistycznej, której liderzy są zdania, że w obecnych warunkach lockdown oznacza w gruncie rzeczy tłumienie wolności sprawowania kultu, zwłaszcza w obliczu przypadających niedługo uroczystości religijnych ważnych dla obydwu grup wyznaniowych.

W stolicy Hiszpanii, Madrycie, lokalne władze w obliczu informacji o wzroście fali infekcji wprowadziły wiele lokalnych regulacji – można nawet powiedzieć, że punktowych, bo obejmujących niektóre dzielnice. Ale i to wywołało niezadowolenie mieszkańców, którzy wylegli na ulice, argumentując, że ograniczenia nie mają nic wspólnego z walką z powracającą epidemią, za to wiele z rasizmem i prawicowym ekstremizmem. Chodzi o to, że Madryt rządzony jest przez koalicję opozycyjnych partii prawicowych z Partido Popular na czele, a Isabel Ayuso, przedstawicielka lokalnych władz, niefortunny powiedziała publicznie, że notowany wzrost infekcji związany jest ze stylem życia społeczności lokalnych, złożonych w większości z emigrantów w tych częściach miasta, w których życie toczy się po prostu na ulicy. Protestujący przeciw ograniczeniom są zdania, że to nie kwestie medyczne, lecz uprzedzenia i postawa, którą określają oni mianem segregacjonizmu, doprowadziły do nowej fali restrykcji. Ich zdaniem koronnym argumentem, że tak jest w istocie, jest to, iż podobnych regulacji nie wdrożono w dzielnicach zamieszkałych przez bogatą hiszpańską klasę średnią. Obecnie zaczynają się liczyć kwestie polityczne i społeczne, a walka z pandemią najwyraźniej schodzi na drugi plan.

Ostrożność władz Hiszpanii, na różnych zresztą szczeblach i o odmiennych politycznych afiliacjach, we wprowadzaniu nowych obostrzeń można zrozumieć, kiedy zapozna się z najnowszymi danymi na temat spadku tamtejszego PKB. Podobnie zresztą rozumiała jest złość społeczeństwa. W II kwartale br. gospodarka Hiszpanii skurczyła się o 17,8 proc. i jest to spadek najwyższy w Europie. Głównie zresztą z powodu uzależnienia gospodarki kraju od sektorów związanych ze społeczną aktywnością ludzi. Powtórzenie kolejnego lockdownu w przypadku Hiszpanii, w której stopa bezrobocia już i tak przekroczyła 15 proc., a ośrodki pomocy społecznej i banki bezpłatnej żywności alarmują o niespotykanym nigdy wcześniej popycie na ich świadczenia, równałoby się nie kryzysowi, lecz załamaniu gospodarki. I tak już spadek PKB jest czterokrotnie większy niż w cza-

sie ostatniego kryzysu gospodarczego i największy od czasów wojny domowej. Napięcia gospodarcze przenoszą się na polaryzację polityczną i społeczną. Kraj staje na progu może nie wojny domowej, ale poważnych turbulencji.

FINANSE W KRYZYSIE

Ostrożność rządów w aplikowaniu nowych ograniczeń, niezależnie od pocieszających informacji wskazujących na to, że agresywność wirusów powodujących COVID-19 jest wyraźnie mniejsza niż wiosną, jest też o tyle zrozumiała, że nie do końca jeszcze znamy skalę problemów, które wywołane zostały poprzednim lockdownem. Najlepszym przykładem jest tu chicagowski Palmer House Hilton, jeden z największych i najstarszych hoteli w „mieście wiatrów”, w którym nocował swego czasu Oskar Wilde, a Frank Sinatra śpiewał do kotleta w jednym z tam znajdujących się klubów. Obecny właściciel wydał w ostatnich latach 173 mln dol. na jego modernizację, ale to i tak nie pomogło w obliczu załamania się rynku nieruchomości komercyjnych w czasie COVID-19. W minionym tygodniu hotel został przejęty za długi przez bank, ale to, na co warto zwrócić uwagę, związane jest z jego obecną wartością rynkową, szacowaną na 305 mln dol., podczas gdy jeszcze w 2018 r. było to 560 mln, czyli 45 proc. więcej.

Ekonomiści są zdania, że właśnie zaczyna się fala przeceny aktywów służących do zabezpieczenia kredytów, której skali nikt nie jest w stanie sobie wyobrazić, ale z pewnością turbulencje na rynku bankowym będą głębsze niż w czasie poprzednich dwóch kryzysów. Same tylko nieruchomości hotelowe zastawione w bankach w Stanach Zjednoczonych mają wartość 85 mld dol. i sporą część ich wartości trzeba będzie jednorazowo zaliczyć do strat. Wartość akcji europejskiego systemu bankowego, traktowanego jako całość, spadła od początku tego roku o 43 proc., co w części oddaje ocenę przez inwestorów wielkości ryzyka związanego z portfelem kredytowym banków komercyjnych, w którym niemalą część stanowią inwestycje w nieruchomości.

Jeśli teraz rządy zaczęłyby przywracać na masową skalę wiosenne ograniczenia



i turystyka, centra handlowe, biurowce, rynek lotniczy, usługi znów zaczęłyby przeżywać „czarne dni”, to jak na taki rozwój wydarzeń zareagowałby sektor bankowy? Polska nie jest tu wyjątkiem, mimo że jesteśmy jednym z krajów najmniej w Europie dotkniętych następstwami pandemii, bo w pierwszym półroczu skumulowana rentowność naszego sektora bankowego spadła o połowę, co jest spowodowane koniecznością utworzenia rezerw na zagrożone kredyty.

Dobrym przykładem na to, jak społeczeństwa i klasa polityczna reagują na perspektywę nowych ograniczeń związanych z COVID-19, jest Wielka Brytania. Kiedy premier Boris Johnson zapowiedział w minionym tygodniu, w związku z nową falą infekcji i tempem ich przyrostu, przywrócenie części restrykcji, w tym ograniczenia w funkcjonowaniu pubów, obowiązek noszenia maseczek w miejscach publicznych, ograniczenie liczebności przyjęć i wesel do 15 osób oraz powrót do biurowej pracy na dystans, w Partii Konserwatywnej niemal wybuchł bunt części posłów będących zdania, że propozycje zbyt daleko idą. W efekcie rząd został zmuszony do poszukiwania nowych rozwiązań, w tym konsultowania kolejnych posunięć ze szwedzkim epidemiologiem Andersem Tegnellem, „ojcem” wyjątkowej polityki Sztokholmu w pierwszej fazie pandemii. Chociaż wyniki „szwedzkiej strategii” okazały się mniej pociągające, niż pierwotnie oceniano, bo kraj miał kilkukrotnie wyższy wskaźnik zgonów w wyniku COVID-19 niż graniczące z nim państwa, a spowolnienie gospodarcze, jakie odnotowała tamtejsza gospodarka, było co prawda mniejsze niż we Włoszech czy Hiszpanii, za to większe niż w Polsce czy Finlandii, tym niemniej dziś, jak można przypuszczać, rządy bardziej niż wiosną są zainteresowane odpowiedzią na pytanie, w jaki sposób przejść drugą falę COVID-19, nie wprowadzając zbyt daleko idących ograniczeń.

POLITYCZNE REPERKUSJE

Podobnie zresztą jak społeczeństwa znacznie mniej chętnie poddające się ograniczeniom. O narastającym sprze-

ciwie społecznym, ale też mającym wymiar potencjalnie polityczny, bo w demokracjach prędzej czy później znajdują się siły polityczne skłonne „zagościć” to, że znacząca część społeczeństwa uważa, iż nie jest słuchana przez rządzących, świadczą choćby powtarzające się regularnie demonstracje antycovidowskie. Na początku września w wielu niemieckich miastach (w Berlinie, Monachium, Wiesbaden i Hannoverze) przeciwko polityce ograniczeń związanych z pandemią COVID-19 demonstrowało kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Zjednoczyło ich przekonanie, że pan-

Obecnie informacje o przywróceniu niedogodności związanych z pandemią społeczeństwa przyjmują z niechęcią, zniecierpliwieniem, a czasami ze złością wyrażoną w protestach

demia to oszustwo, jak głosiły niesione transparenty. Z podobnymi demonstracjami, choć o mniejszej skali, mieliśmy też do czynienia w Paryżu, Londynie i Warszawie, nie mówiąc o regularnych protestach odbywających się w Stanach Zjednoczonych.

Niedawne wybory lokalne i referendum konstytucyjne we Włoszech, które przyniosły w dość zgodnej opinii komentatorów sukces rządzącej centrolewicowej koalicji, przede wszystkim z tego powodu, że pozwalają mówić o zatrzymaniu zwycięskiego pochodu włoskiej prawicy w lokalnych legislatywach, pokazały, że kapitał zaufania społecznego zdobyty przez rządzących w czasie pierwszej fazy pandemii można spożytkować w celach politycznych. Ale jednocześnie pojawiają się ostrzeżenia, iż powtórka z lockdownu, czemu towarzyszyć z pewnością będzie pogorszenie się sytuacji gospodarczej, może skutko-

wać zmianą nastrojów i odwróceniem sympatii wyborczych.

Sytuacja gospodarcza i społeczna w większości państw europejskich nie pozwala powrócić jesienią, nawet w obliczu wzrostu liczby infekcji, do podobnej co wiosną skali wprowadzonych obostrzeń. Nie ma zresztą takiej potrzeby, bo europejskie rządy, które zdobyły doświadczenia, jakich nie posiadały na początku roku, znacznie lepiej potrafią sobie radzić z zagrożeniami. Jednak, jak dowiodły przykłady Austrii i Czech, nadmierny triumfalizm i wiara we własne siły też nie są dobrym

doradcą. Oba te państwa jako jedne z pierwszych rozpoczęły politykę luzowania ograniczeń w związku z odnotowanym widocznym spadkiem liczby infekcji, ale też jako jedne z pierwszych w sierpniu i wrześniu musiały przywrócić część restrykcji, jako że notować zaczęły rekordowe, niespotykane nawet w najgorętszej fazie pandemii, liczby nowych przypadków. Z podobnym zjawiskiem, choć na nieco mniejszą skalę, zderzyły się władze na Węgrzech, w Rumunii i Grecji. Skłoniło to niektórych zachodnioeuropejskich komentatorów do mówienia, że „cud Europy Środkowej”, jakim była znacznie skuteczniejsza wiosną br. walka

z rozprzestrzenianiem się COVID-19 niż na południu i zachodzie kontynentu, okazał się krótkotrwały. Jednak ich uwagę umknął przypadek Polski, gdzie co prawda również notujemy zauważalny wzrost liczby infekcji, ale na razie nie jest to zjawisko wyrykające się spod kontroli. Strategia punktowej walki z pandemią i wprowadzania lokalnych ograniczeń przyjęta przez Warszawę na razie, zwłaszcza na tle innych państw europejskich, wydaje się skuteczna.

Nawet jeśli wzrośnie liczba potwierdzonych przypadków COVID-19, to kluczowe jest w tym wypadku – a to na razie nam nie grozi – uniknięcie przeciążenia systemu ochrony zdrowia. Umiarkowanie, jakim cechuje się polityka Warszawy wobec COVID-19, w wymiarze epidemiologicznym, społecznym, gospodarczym i politycznym wydaje się przynosić dobre rezultaty. Nie ma zatem żadnych powodów, aby ją zmieniać.



Wściekli na państwo

Na fali wizyty prezydenta Andrzeja Dudy we Włoszech dużo usłyszeliśmy o sukcesie tamtejszego rządu w walce z epidemią. Jednak codzienność mieszkańców Italii nie jest już tak różowa. – Ludzie nie mają za co kupić chleba, a co dopiero zapłacić za wynajem mieszkania – relacjonuje koordynator duszpasterstwa Polaków we Włoszech

Zacznijmy od garści liczb. Według Instytutu Badań Demoskopika z powodu pandemii Włochy straciły w sierpniu 70 proc. zagranicznych turystów, czyli do tego kraju przyjechało 3,6 mln obcokrajowców mniej niż rok wcześniej. Przychody branży turystycznej spadły o 2 mld euro. Sektor ten ucierpiał szczególnie w miastach, takich jak Rzym, Wenecja czy Florencja. W tym ostatnim otwartych jest tylko 40 proc. hoteli. Według szefa wspomnianego instytutu Raffaele Ria w sierpniu ub.r. w Italii było na wakacjach ponad 5 mln cudzoziemców, którzy wydali tu 4 mld euro.



DOROTA ŁOSIEWICZ

Z BIEDY KRADNĄ JEDZENIE

– Turystyka nie funkcjonuje – mówi ks. Jan Głowczyk, administrator kościoła i hospicjum św. Stanisława B.M. w Rzymie, koordynator duszpasterstwa Polaków we Włoszech, w stolicy tego kraju od ponad 30 lat. – W najbardziej intensywnych miesiącach, jak sierpień, wrzesień, październik, nie dało się przejść chodnikiem, tylu było zwiedzających. Teraz spokojnie można jeździć samochodem po mieście, w skle-

pach jest pusto. Wiele hoteli zamknęło działalność do 31 marca 2021 r., a sytuacja wielu rodzin stała się po prostu dramatyczna – dodaje ks. Głowczyk.

Z powodu tej zapaści w turystyce do pracy nie może wrócić Ewa Czuchaj, która we Włoszech mieszka i pracuje od 20 lat. Ma męża, dwójkę dzieci. Przed pandemią pracowała w recepcji jednego z hoteli.

– Nie pracuję od 13 marca. Nie mogę podjąć pracy na czarno, bo wówczas straciłabym rządowe postojowe. Ale tych obiecanych pieniędzy niestety też nie mam. Ostatni przelew dostałam w czerwcu. Żyjemy z oszczędności. Wielu ludzi, którzy jak ja pracowali na kontraktach, czuje się porzuconych przez państwo. W teorii pieniądze są, ale w praktyce ich nie ma – ubolewa pani Ewa. – Na szczęście mężowi, który był przed kryzysem zatrudniony na lotnisku, a jego miejsce pracy jeszcze nie zostało przywrócone, wypłatę przelewa firma, która później dostanie refundację środków od włoskiego odpowiednika ZUS – mówi pani Ewa. – W najlepszej sytuacji są chyba pracownicy ochrony zdrowia, którzy dostali dodatkowe pieniądze, jeśli pracowali w bezpośrednim kontakcie z chorymi na COVID-19. Mogli



liczyć na jednorazową wypłatę tysiąca euro. Poza tym nie stracili pracy jak cała reszta.

– Prowadzimy przy kościele św. Stanisława „Dom Pielgrzyma”, ale teraz nie ma turystów. Nie możemy ponownie wystartować. Państwo nie gwarantuje żadnego wsparcia. 16 osób, które zatrudnialiśmy, jest na postojowym, i to trwa od 12 marca. Wychodzą kolejne dekrety, ale ludzie od 11 czerwca nie dostali ani grosza. Pieniądze przychodzą ze strasznym opóźnieniem – ubolewa ks. Głowczyk. – Państwo miało wypłacać 80 proc. wynagrodzenia, ale rząd odejmuje 40–50 proc., obiecując wyrównania. Pieniądzy ludzie dostają więc bardzo mało i bardzo nieregularnie. Z zazdrością patrzę na polską sytuację, bo przedsiębiorcy dostali wielkie wsparcie od rządu. We Włoszech sytuacja jest po prostu beznadziejna. Ludzie nie mają za co kupić chleba, a co dopiero zapłacić za wynajem mieszkania. Właściciele straszą eksmisjami – relacjonuje koordynator duszpasterstwa Polaków we Włoszech.

W marcu i kwietniu br. w mediach pojawiły się dramatyczne relacje z południa Włoch.

„We Włoszech sytuacja staje się coraz bardziej napięta. Ludziom, którzy pracowali bez umów, brakuje pieniędzy i od kilku dni na południu Włoch zaczęli kraść jedzenie, wychodząc z supermarketów i oznajmiając, że nie stać ich, by zapłacić. Dziś w kilku miejscowościach przy supermarketach ustawiono wojsko, które ma zapobiegać takim sytuacjom” – alarmowała w mediach społecznościowych Laura Zielińska, żona występującego w barwach Napoli piłkarza Piotra Zielińskiego.

Także „La Repubblica” opisywała zajścia w Palermo, gdzie ok. 20 rodzin próbowało opuścić sklep bez zapłacenia za zakupy. „Nie mamy czym zapłacić, musimy jeść!” – tak według gazety, któryś z klientów krzyczał do kasjerów. „Są osoby, które nie mogą pozwolić sobie na zakupy, dlatego przypuściły szturm na market, zabrały jedzenie i nie chciały zapłacić. Upadamy” – relacjonował wówczas portalowi Palermo Today jeden z klientów.

PO POMOC DO CARITASU

Jednak z relacji moich rozmówców w bardzo trudnej sytuacji znaleźli się mieszkańcy wszystkich włoskich zakątków, które dotychczas spokojnie żyły z turystyki.

– Wielu moich znajomych, którzy przed pandemią normalnie pracowali, dziś pozbyło się wszystkich oszczędności. Ludzie wyprzedają dobra, złoto, wszystko, co mają. Wielu musiało się zgłosić po pomoc do Caritasu – relacjonuje Ewa Czuchaj. – Nie mówię o ludziach biednych, tylko o tych, którzy normalnie pracowali, żyli na przyzwoitym poziomie. Oni dziś nie mają po prostu co jeść. Wie pani, jakie to upokarzające iść po pastę i passatę oraz pieluchy czy mydło, bo nie ma za co ich kupić? Ludzie spuszcza głowę i ze wstydem wyciągają rękę po pomoc. Co więcej, pod koniec dnia, gdy zamykają się bazarki, ludzie szukają, czy w zgniłych warzywach i owocach można znaleźć coś do jedzenia – wzdycha pani Ewa. – Najmniej ucierpieli emeryci, bo oni wciąż dostają swoje wypłaty, niektórzy muszą z tego utrzymać całe rodziny, które zostały bez środków do życia. Gospodarka jest w stanie krytycznym, małe rodzinne sklepy upadają. Zamykane są piekarnie, ciastkarnie z wiekowymi tradycjami. Znajoma miała lodziarnię. Na czas epidemii musiała ją zamknąć, później otworzyła, pojawił się ktoś z wirusem i znów trzeba było zamknąć. Nie widać nawet jakichkolwiek szans na poprawę sytuacji w najbliższym czasie – mówi pani Ewa.

By sprostać dramatycznej sytuacji gospodarczej, rząd włoski uchwalił tzw. dekret sierpniowy, który wszedł w życie 10 sierpnia i zakończy się 7 października. To już trzeci tego typu dekret podjęty w celu ograniczenia kryzysu spowodowanego pandemią. Łączne środki przydzielone przez rząd w ostatnich pięciu miesiącach sięgają 100 mld euro. Dekret przewiduje m.in. obniżkę kosztów pracy o 10 proc., plan reindustrializacji południowych regionów, możliwość spłaty podatków w ratach rozłożonych na 24 miesiące, ogromne wsparcie dla przemysłu motoryzacyjnego, zwłaszcza w ramach

promocji aut elektrycznych, 100-proc. podwyżkę emerytur dla niepełnosprawnych, jednorazową pomoc w wysokości 400–800 euro dla rodzin znajdujących się w wyjątkowo dramatycznej sytuacji, przedłużenie zapomogi dla zawieszonych pracowników, dodatkowe środki na szkolnictwo, turystykę, sektor medyczny.

– Dekrety, dekrety. A pieniędzy nie ma. Pewnie gdzieś krążą. Rząd obiecał ludziom dofinansowanie na rowery i hulajnogi. Chodziło o to, żeby bezpiecznieje dojeżdżać do pracy, żeby nie jeździć w tłoku komunikacji. Niestety większość ludzi nie dostała obiecanych pieniędzy. Miały być w kwietniu, teraz mówi się, że będą w listopadzie. A czy będą w ogóle? – zastanawia się Ewa Czuchaj. – Żeby pobudzić gospodarkę, musi być konsument. A sklepy są puste. Wszystko zdrożało. Nie było sezonowych pracowników, więc to,



Fot. catie 89 / Shutterstock.com

Państwo miało wypłacać 80 proc. wynagrodzenia, ale rząd odejmuje 40–50 proc., obiecując wyrównania. Pieniądzy ludzie dostają więc bardzo mało i bardzo nieregularnie

co kiedyś kosztowało euro, dziś kosztuje trzy. Są może dopłaty do motoryzacji i do zakupu samochodów elektrycznych, bo rynek stanął. Ale to nie oznacza spadku cen, tylko zakupy na raty. Można też zatrzymać spłatę kredytu, ale nikt tego kredytu nie zmniejszy. Wszystko trzeba będzie spłacić, tylko później. Można było dostać 500 euro na wakacje, ale skorzystało z tego bardzo mało osób – wylicza zawiedziona rządowymi obietnicami pani Ewa.

MIĘDZY APATIA A AGRESJĄ

– Morale Włochów jest w fatalnym stanie. Widać bierność społeczną, dużą apatię. Przed covidem było źle, bo wśród młodych było bardzo wysokie bezrobocie. Aż połowa z nich nie miała pracy. Teraz wszystkim jej brakuje. Aż dziwne, że protesty i demonstracje są takie rozdrobnione. Ludzie są po prostu bierni, zrezygnowani. Może nawet nie ma komu skanalizować tego bólu, dramatu – zamyśla się ks. Główny.

– W tej chwili we Włoszech nic nie działa normalnie. Ani ochrona zdrowia, ani edukacja. Wizyty do specjalistów, na które czekało się od dawna, zostały anulowane. Zostaje prywatna ochrona zdrowia lub pogotowie. Fatalnie jest w edukacji. Syn wrócił do szkoły, był w niej jeden dzień i okazało się, że ktoś miał pozytywny wynik testu, zamknięto szkołę. Nie ma lekcji online. Jest po prostu tragedia. Nikomu nic się nie chce. Wszystko wygląda tak, jakby nie było żadnych reguł. Do tego ludzie stali się agresywni, nie mają cierpliwości – załamuje ręce pani Ewa.

Na domiar złego burmistrzowie z południa Włoch alarmują, że obozy dla uchodźców są przepełnione. Według portalu dw.com władze wielu włoskich miejscowości są wściekłe na rząd w Rzymie. Mówią o upale nie do zniesienia i ciasnocie w zbyt małych, przepełnionych obozach dla uchodźców – i domagają się dla swoich miast i gmin, by wstrzymać przyjmowanie kolejnych osób. „Przez Morze Śródziemne tylko do Włoch przybyło w tym roku już ponad 13 tys. osób – blisko 9 tys. więcej niż w tym samym czasie 2019 r. Jak podało UNHCR, najwięcej wyruszyło w ryzykowną podróż w lipcu, ze względu na stosunkowo spokojne morze. Felix Weiss z niemieckiej organizacji pozarządowej na rzecz ratowania uchodźców Sea-Watch wrócił właśnie do Niemiec z kilkutygodniowej misji rozpoznawczej na Lampedusie. „Sytuacja na Lampedusie jest nadzwyczaj napięta. W minionych miesiącach na własną rękę dotarło na wyspę

blisko 5,5 tys. ludzi. To są dwie, trzy łodzie dziennie. A Lampedusa jest wyspą, która żyje prawie wyłącznie z turystyki, reasumuje Weiss” – informuje portal dw.com.

– Morale na pewno nie poprawia sytuacja z imigrantami. Ludzie widzą, że ich podatki idą na młodych, silnych, zdrowych mężczyzn, którzy na codzienne utrzymanie dostają większe środki niż Włosi, i to się przestaje podobać. Państwo powinno dbać najpierw o swoich obywateli, którzy płacą podatki, a nie o tych, którzy chodzą i nic nie robią – komentuje Ewa Czuchaj. – Coraz częściej myślę o powrocie do Polski, jestem na bieżąco z ofertami pracy, widzę, że mogłabym znaleźć zatrudnienie. Nie boję się powrotu. Nie mogę się wręcz doczekać – wzdycha kobieta.

– Wiele rodzin organizuje sobie powrót do Polski, wiele wysyła swoje dzieci do ojczyzny na studia. Nikt nie chce, żeby młody człowiek po architekturze podawał dwa razy w tygodniu cappuccino, a taka jest dla nich perspektywa we Włoszech – wzdycha ks. Główny.

Bardzo niepokojąco wyglądają także dane dotyczące zakażeń koronawirusem wśród młodych ludzi. COVID-19 atakuje ich coraz częściej – wynika z danych przedstawionych przez Włoski Instytut Zdrowia. Średnia wieku obecnie zainfekowanych osób na Półwyspie Apenińskim spadła w sierpniu do 35 lat. Na początku pandemii wynosiła 60 lat. Ekspertki podają, że prawie 15 proc. osób, u których zdiagnozowano zakażenie, nie ukończyło 18. roku życia. W pierwszych miesiącach epidemii odsetek ten wynosił zaledwie 1 proc. 

REKLAMA



**RADIO
Warszawa
106,2 FM**

**DOBRE SŁOWO
NA FALI**



**SŁUCHAJ NAS
ONLINE**



www.radiowarszawa.com.pl

4/0920/F

Ukąszenie Korwinem

Lekceważenie Janusza Korwin-Mikkego i postrzeganie go wyłącznie w kategoriach niegroźnego trefnisia jest błędem. Bo choć gra on tę rolę, to przez kilkadziesiąt lat swojej publicznej aktywności skutecznie wpływał na poglądy sporej rzeszy Polaków. I nadal to robi. Przy czym konsekwencje jego publicystycznej działalności mogą się okazać całkiem realne. Co wcale nie oznacza, że dobre



KONRAD KOŁODZIEJSKI

O co walczy Janusz Korwin-Mikke? O libertariańską utopię państwa sprowadzonego do roli „nocnego stróża”, który wyznacza obywatelom szeroki zakres swobód, a oni robią, co im się żywnie podoba, o ile nie naruszają ogólnych reguł. „Walczę o to, aby państwo nie wtrącało się do tego, co ja zrobię ze sobą czy z własnym kotem. Od kogo kupię narkotyki czy komu sprzedam tego kota. Pod warunkiem, oczywiście, że nie ma z tego zgorszenia publicznego” – wyjaśnił niedawno swoje credo Janusz Korwin-Mikke.

BABA Z BRODĄ

Ta prosta zasada, przypominająca nieco Owsiakowe „Róbta, co chceta”, jest entuzjastycznie przyjmowana przez wielu młodych ludzi, których często drażnią wszelkie normy i zakazy. Nic więc dziwnego, że Korwin-Mikke ma największe wzięcie u nastolatków, zwłaszcza że – podobnie jak opisywany niedawno przeze mnie na tych łamach Jerzy Urban – jest bardzo aktywny w internecie i w mediach społecznościowych.

Pomysły Korwina przyjmowane są jednak również w wielu innych środowiskach. Docenia go część przedsiębiorców, zwłaszcza właściciele małych firm, którzy szukają wytłumaczenia swoich niepowodzeń rynkowych i bardzo chcą wierzyć w to, że za ich kłopotami stoi wyłącznie nadmiernie wtrącające się, niekompetentne państwo. Są też wszelkiej maści racjonałści



postrzegający większość obecnych sporów politycznych jako przejaw braku zdrowego rozsądku i rozpatrujący całą ludzką aktywność w handlowych kategoriach opłacalności. Naigrywają się oni z etycznych dylematów oraz z inteligentnej pokusy, aby każdy włos dzielić na czworo.

Gdyby Korwin-Mikke zdołał ich wszystkich zebrać do kupy, to być może stworzyłby sobie całkiem silne zaplecze polityczne, tyle że nie posiada takich umiejętności. Zawsze był kimś w rodzaju błazna, prowokatora zwracającego na siebie uwagę kontrowersyjnymi wypowiedziami czy dziwacznymi zachowaniami. Jego stylistyka, niby XIX-wiecznego dżentelmena z przystryżoną bródką i wąsikami oraz z nieodłączną muszką, przyniosła mu wprawdzie ogromną rozpoznawalność, lecz jednocześnie pozbawiła wizerunku poważnego człowieka.

Dziś jednak znowu zaczyna procentować za sprawą postępującej dużymi krokami infantyilizacji życia publicznego, do którego – dzięki internetowi – prawie każdy ma teraz dostęp. W konsekwencji na tej współczesnej agorze rozum został niemal całkowicie wyparty przez emocje. Ulubieńcami tłumu zostali polityczni fighterzy walący cepem na oślep albo wystylizowani skandaliści szokujący swoimi poglądami, zachowaniem lub wyglądem. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, w końcu baba z brodą zawsze budziła większe zainteresowanie publiczności niż traktat filozoficzny, jednak kiedyś nikt przynajmniej nie uważał baby z brodą za autorytet. Dziś to się zmieniło.

BAZAROWA PUBLIKA

Janusz Korwin-Mikke, pomimo swoich 78 lat i z trudem ukrywanej niechęci dla bezrozumnej tłuszczy, niespodziewanie dobrze radzi sobie w takiej bazarowej rzeczywistości. Prezentuje swoje zdjęcie z gołym torsem albo ogłasza wszem wobec, że właśnie zgolił brodę. A to wszystko przyjmowane jest przez jego publiczność z wielkim entuzjazmem.

Co oczywiście wiele nam mówi o wyrafinowaniu tejże.

Nic więc dziwnego, że łyka ona bez głębszej refleksji (i zapewne z dużym ubawem) liczne przemyslenia Korwina, w których ten przedstawia się jako ostatnia reduta rozumu i zdrowego rozsądku w wielkiej wojnie przeciwko „socjalistom”. „Socjalistów” celowo piszę w cudzysłowie, bo dla Korwina każdy, kto nie podziela jego poglądów, jest zazwyczaj głupcem i socjalistą – zresztą te słowa są dla niego synonimami. „Socjalista – to socjalista, niezależnie od tego, czy jest on z CDU, czy z PiS-u, z SLD czy z SPD. Do obozu reedukacji – i tyle” – pisał na swoim blogu.

Korwin-Mikke przekonuje swoich czytelników, że państwo jest pasoży-

W ramiona Kremla wepchnęła Korwina jego obsesja na punkcie socjalizmu. Rosjanom udało się złowić rozpoznawalnego polityka, który może osłabiać polską czujność w stosunku do Moskwy

tem żerującym na obywatelach. Biurokracja ingeruje w życie ludzi, aby ich zniewolić, złupić, a potem żyć z ich dochodów. „Faszyzm – to nie oddziały SA lub Czarnych Koszul maszerujące ulicami. Faszyzm – to urzędnicy w za-rękawkach, dyrygujący tym, co ma robić kapitalista w swojej fabryce, ojciec ze swoim dzieckiem – a czasem: ilu Żydów (albo antysemitów) posłać do Oświęcimia” – twierdzi. Zręcznie przy tym manipuluje, wrzucając do jednego wora z „socjalistami” zwolenników interwencjonizmu państwa z radykałami snującymi wizje inżynierii społecznej i nazistami. Dzięki temu może stawiać znak równości między lewakami a – przykładowo – chadekami czy społecznie wrażliwymi konserwatystami w rodzaju PiS. Cóż to za różnica,

prawda? Dla jakiejś części jego czytelników zapewne żadna.

Zdaniem Korwina każda próba ingerencji w życie obywateli to bezprawny zamach na ich wolność. Nawet jeśli ta ingerencja miałaby służyć dobru powszechnemu. Korwin-Mikke jest – podobnie jak jego oponenci z radykalnej lewicy – niewolnikiem własnej doktryny, upierającym się, że jedyną dopuszczalną zmianą jest ta, która jest skutkiem długotrwałej ewolucji. Dlatego też będzie twardo bronił wymagowanej wolności, nawet jeśli miałoby to oznaczać powrót do barbarzyństwa.

Czy państwo ma bronić swoich obywateli? Ależ skąd. Trzeba im dać broń i niech sami się bronią przed napastnikami. Czy potrzebna jest pomoc społeczna? W żadnym wypadku. Biedota jest potrzebna. Ktoś przecież musi wykonywać najgorsze prace. Czy kobiety powinny mieć równe prawa? To idiotyczny wymysł lewicy. Kobiety są przecież głupsze od mężczyzn: „Inteligentna istota nie wytrzymałaby przebywania przez dłuższą niż godzinę dziennie z paplającym dzieckiem!”.

Korwin-Mikke chętnie bawi się w mizogina, bo wie, że to nie uchodzi i bardzo drażni jego przeciwników z lewicy. Gdy w Hollywood wybuchł skandal wokół molestowania, stwierdził, że nie ma w tym nic złego. Jego zdaniem seks za awans w pracy to normalna transakcja. A niedawno, gdy wrocławski sąd złagodził karę 26-latkowi oskarżonemu o gwałt na 14-lacie, bo dziewczynka „nie krzyczała”, pochwalił ten werdykt, twierdząc, że „jeśli nie krzyczy, to wiadać tego chce”. Można się domyślać, że publiczność Korwina radośnie recho-cze, gdy czyta takie wynurzenia. Przy czym, powiedzmy sobie szczerze, aby dojść do takich wniosków, wcale nie trzeba być Korwinem. Do ich wyciągnięcia jest zdolny prawdopodobnie każdy przeciętny lump popijający piwo na skwerku.

Być może zresztą w tym tkwi przynajmniej część fenomenu Korwina. On po prostu nie bawi się w żadne niuanse i zręcznie kokietuje tym ćwierćinteligentów. Jest przy tym piewcą dość prostackiego egoizmu, dając do zrozumienia,

że każdy jest kowalem swojego losu i powinien myśleć wyłącznie o sobie. Wszelkie myślenie społeczne, dobro publiczne, sprawiedliwość to oszustwa służące zniewoleniu ludzi. Świat jest zły i lepszy nie będzie. Kto ma tu jakieś złudzenia, jest szkodliwym idiotą.

NARKOTYKI DLA KAŻDEGO

To szukanie prostych recept przybliży nieco korwinistów do ich największego wroga, jakim jest radykalna lewica, tyle że lewica chciałaby oczywiście zrobić wszystko na odwrót. Jednak w obu przypadkach tak naprawdę mamy do czynienia z utopiami odrzucającymi jakiekolwiek wątpliwości. Nic więc dziwnego, że wizje roztaczane przez obie strony są tak atrakcyjne dla ludzi młodych i jeszcze niedojrzałych intelektualnie, którzy zwykle są najbardziej skorzy do chwytania łatwych rozwiązań oraz do chodzenia na skróty.

Zresztą wrażenie, że Korwin-Mikke buduje swoje poglądy wyłącznie na opozycji wobec lewicy, jest nieco złudne. Bo choć Korwinowi na pewno nie po drodze z socjalizmem, to już z lewicowymi liberałami mógłby się pewnie w paru kwestiach dogadać. Na przykład w sprawie narkotyków czy dopuszczalności samobójstw.

Korwin-Mikke przekonuje swoich czytelników, że człowiek jest panem swojego życia, więc może z nim robić, co tylko zechce. Może się zaćpać na śmierć lub zabić, jeżeli ma takie życzenie. Dlatego narkotyki powinny być dopuszczone do obrotu, najlepiej w aptekach. Jeżeli ktoś chce się zabić, to nie potrzebuje do tego pomocy państwa. „Niech sobie pójdzie ten ktoś do apteki, kupi kokainę, zrobi złoty strzał, zażyje dawkę śmiertelną, będzie miał miłą przyjemną śmierć i już” – mówił w wywiadzie dla „Super Expressu”.

Trudno nie uznać takich słów za szkodliwe i nieodpowiedzialne. Zwłaszcza że wśród miłośników Korwina sporą grupę stanowią ludzie młodzi, u których nieco ekscentryczny starszy pan ma spory posłuch.

Jednak Korwin-Mikke bawi się oganiem i w innych sprawach. Kilka lat temu

zafascynował się putinowską Rosją i otąd przedstawia ją swoim zwolennikom jako wartą rozważenia alternatywę dla obecnej współpracy z Zachodem.

W RAMIONACH MOSKWY

W ramiona Kremla wepchnęła Korwina jego obsesja na punkcie socjalizmu. Doszedł on bowiem do wniosku, że największym zagrożeniem dla Polski jest socjalistyczny Zachód. A tymczasem w Rosji Putina „podatki są prawie dwa razy niższe niż u nas” i „każdy może mieć przy sobie na ulicy dowolny narkotyk i nic mu nie mogą zrobić”. Dlatego Korwin polubił Rosję, założył profil w serwisie społecznościowym Vkontakte i zaczął regularnie odwiedzać

Szukanie prostych recept przybliży nieco korwinistów do ich największego wroga, jakim jest radykalna lewica, tyle że lewica chciałaby zrobić to wszystko na odwrót

Moskwę, występując m.in. w programach rosyjskiej telewizji, gdzie wspierał propagandowe tezy Kremla o osaczeniu Rosji przez NATO. Nie wykluczał też przystąpienia Polski do sojuszu z Rosją, zastrzegając jedynie, że nie powinno to się wiązać z natychmiastowym przyjęciem rubla jako waluty. Domagał się też „ściślej neutralności” w konflikcie Rosji z Ukrainą oraz pojechał na Krym, gdzie Rosjanie przygotowali mu – jak napisał – „naprawdę serdeczne przyjęcie”.

Nic dziwnego, że przygotowali mu „serdeczne przyjęcie”, udało im się bowiem po raz pierwszy złowić rozpoznawalnego polityka, który jest w stanie choć trochę osłabić polską czujność w stosunku do Moskwy.

Nie jest bowiem tak, że Korwin-Mikke nie ma żadnego wpływu na bieżącą politykę. Jako poseł nie odgrywa wprawdzie

większej roli (część posiedzeń ostentacyjnie przesypia w ławie sejmowej), ale z jego „szkoły” wyszło przecież wielu aktywnych dziś polityków i publicystów, z których niektórzy – jak choćby Rafał Ziemkiewicz – działali nawet w partii Korwina, jaką była w latach 90. Unia Polityki Realnej. I nawet jeśli wielu odzępuje się teraz od swoich dawnych fascynacji, to jednak uformowany wtedy, w latach młodości, system przekonań i poglądów pozostał w ich głowach do dziś. Jest tu obecna niechęć do państwa i ideologii, wolnorynkowa ortodoksja oraz optymistyczna wiara w to, że ludzie są racjonalni w swoich wyborach, więc należy im tylko dać wolną rękę, a wtedy wszystko się szybko poukłada.

Dawni i obecni uczniowie oraz zwolennicy Korwina skupiają się dziś głównie w Konfederacji. Z list tej formacji wszedł do Sejmu również ich nauczyciel, który wprawdzie sprawia czasem doraźne kłopoty swoimi niekonwencjonalnymi wypowiedziami, ale jednocześnie – co znacznie ważniejsze – napędza zainteresowanie opinii publicznej, zwłaszcza tej młodej mogącej w przyszłości dać tak potrzebne głosy wyborcze.

Podział pracy jest więc dość czytelny. Niezbyt uzdolniony politycznie Korwin-Mikke pełni w Konfederacji funkcję intelektualnego zwornika oraz gwiazdy internetu, a Krzysztof Bosak wchodzi powoli w rolę lidera zajmującego się aktywnie bieżącą grą polityczną.

W programie Konfederacji wyraźnie widoczne są wpływy poglądów Korwina. Od obrony wolności gospodarczej i walki z tzw. socjalistami poczynając, a na krytyce polityki zagranicznej i relatywnie ciepłym stosunku do Rosji kończąc.

Dlatego lekceważenie Korwina i postrzeganie go wyłącznie w kategoriach niegroźnego trefnisia może się okazać błędem. Bo choć gra on tę rolę, to przez kilkadziesiąt lat swojej publicznej aktywności skutecznie wpływał na poglądy sporej rzeszy Polaków. I nadal to robi. Przy czym konsekwencje jego publicystycznej działalności mogą okazać się całkiem realne. Co wcale nie oznacza, że dobre.

Co wolno Brukseli

Unia Europejska przekracza granice uprawnień, które zostały jej przyznane w traktatach, i to powoduje sprzeciw Polski i Węgier, bo chyba żaden inny kraj dotychczas nie ośmielił się wystąpić w taki sposób. Będąc w mniejszości, mamy szczególnie trudną sytuację

Z prof. dr hab. Anną Łabno, konstytucjonalistką z Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, rozmawia Aleksandra Jakubowska

W rezolucji Parlamentu Europejskiego z 17 września br. wzywa się Polskę do poszanowania nadrzędności prawa Unii Europejskiej. To po co nam w takim razie konstytucja i Trybunał Konstytucyjny, który bada zgodność uchwalanego w naszym kraju prawa z ustawą zasadniczą?

Anna Łabno: W dziedzinach, które są przedmiotem tak poważnego sporu między UE a Polską i przecież także Węgrami, europarlament może apelować i wzywać, natomiast nie ma żadnych prawnych instrumentów, na podstawie których mógłby żądać pewnych zachowań ze strony państw członkowskich. Jest taki układ, w którym państwa decydują się na przychylność wobec prawa europejskiego, ale z kolei instytucje UE muszą mieć świadomość, że jest pewna granica, której przekroczyć absolutnie nie wolno. I dotąd kraje oraz instytucje unijne w jakimś sensie tę granicę utrzymywały.

Zatem twierdzenie, że prawo unijne jest nadrzędne w stosunku do naszej konstytucji, jest fałszem?



JAKUBOWSKIEJ

Art. 8 ustawy zasadniczej stanowi, że konstytucja jest najwyższym prawem Rzeczypospolitej Polskiej, a zatem jest aktem nadrzędnym także w nauce prawa konstytucyjnego, a stanowisko specjalistów tej gałęzi prawa ma znaczenie szczególne, nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Próbowano stworzyć wspólną konstytucję dla krajów Unii, ale zakończyło się to niepowodzeniem. Dlaczego?

To było w 2004 r. i kraje europejskie odrzuciły ją jednoznacznie. Jedną z przyczyn była zasada, którą chciano do niej wpisać – właśnie o nadrzędności prawa europejskiego – która kompletnie inaczej określałaby relacje pomiędzy UE jako strukturą organizacyjną a krajami członkowskimi. Odpowiedzią na pat, który wówczas zaistniał, był traktat z Lizbony i w nim nie ma już żadnej wzmianki na ten temat. Natomiast faktem jest, że Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej w swoim orzecznictwie zawsze zmierzał do tego, żeby prawo europejskie było nadrzędne.

Podpisując akcesję do UE i traktaty, wyrzekliśmy się części naszej suwerenności. Ile jej zostało w naszej konstytucji?

Trzeba rozróżnić kwestię traktatów międzynarodowych – są one podstawą istnienia Unii i wszelkich zmian dotyczących jej struktury oraz kompetencji – od prawa wtórnego, które UE sama stanowi i które oczywiście nas wiąże, ale do granicy zgodności z konstytucją. A jeśli chodzi o suwerenność, to sposób, w jaki państwo może samo o sobie decydować, wyraża się zakresem prawodawstwa, które należy do jego wyłączności. I to decyduje o zakresie suwerenności każdego kraju, a to, co jest uregulowane w konstytucji, stanowi fundament systemu. Im mniej kraj może przedmiotowo uchylać, tym bardziej ogranicza swoją suwerenność. A zatem jeśli doszłoby do sytuacji, w której zasadniczo Bruksela stanowi prawo, a my możemy jedynie aktami wykonawczymi wprowadzać niezbędne przeciwregulacje szczegółowe



i tylko korzystamy z uprawnień państwa o charakterze autonomicznym, to znaleźlibyśmy się w sytuacji, w której UE jest już federacją. A nie jest to model Unii, który został przyjęty w traktacie z Lizbony, a przede wszystkim nie jest to model, który Polska akceptuje.

Wydawać by się mogło, że istnieje dość wyraźna granica między kompetencjami Unii zawartymi w traktatach a prawem państw członkowskich do tworzenia własnego prawa w tych sferach, których traktaty nie dotyczą. Skąd zatem ten konflikt między Polską a Brukselą?

Unia przekracza granice uprawnień, które zostały jej w traktatach przyznane, i to powoduje sprzeciw Polski i Węgier, bo chyba żaden inny kraj dotąd się nie ośmielił wystąpić w taki sposób. Będąc w mniejszości, mamy szczególnie trudną sytuację. Do tego dochodzi próba wymuszenia zgody na wszystkie rozwiązania ideologiczne poprzez ograniczenie środków pomocowych. I tu mamy konglomerat metod, które w ogóle w państwie prawnym nie powinny być brane pod uwagę. Tym bardziej że UE bardzo mocno podkreśla znaczenie zasady państwa prawnego. Podobnie też Polska tę zasadę uznaje w art. 2 konstytucji. Oczywiście, że jakieś metody oddziaływania czy nacisku się stosuje, ale to nie może dotyczyć tych zagadnień, które w ogóle do kompetencji UE nie należą. Unia już od kilkunastu lat, krok po kroku, usiłuje rozszerzać swoje uprawnienia poza te wynikające z traktatów i widać, jak daleko zaczyna sięgać i jak eskalowane są metody tego działania. To nie są metody mieszczące się w pięknym hasle państwa prawnego, o którym Ursula von der Leyen tak dużo ostatnio mówiła.

Przewodnicząca Komisji Europejskiej zapowiedziała prace nad poszerzeniem praw osób LGBT, uznawaniem rodziców jedнопłciowych we wszystkich krajach Unii, w rezolucji Parlamentu Europejskiego mówi się o konieczności wprowadzenia w Polsce edukacji seksualnej według standardów WHO. Unia ma prawo narzucić nam rozwiązania w tych kwestiach?

Prawo unijne obejmuje przede wszystkim kwestie gospodarcze. Niepodważalnym elementem niezależności każdego państwa, źródłem jego tożsamości jest aksjologia, czyli zbiór bardzo różnych, ale akceptowanych powszechnie wartości. W traktatach UE możemy znaleźć odniesienia do takich wartości, tylko że one nie mogą być w swojej szczegółowej treści narzucone przez Brukselę. A przede wszystkim one nie mogą nabierać treści, która z nich nie wynika. System demokratyczny, w którym każdy człowiek jest wolnym podmiotem, czyli jedna z zasad uznawanych za podstawową w państwach członkowskich Unii, w Polsce jest przecież wartością niepodważalną, ale UE nie może np. decydować o tym, jak kształtuje się tożsamość narodowa Polaków. Mamą swoją specyfikę, historię, instytucje ustrojowe, tradycję konstytucyjną. Elementem kształtującym nasz sposób myślenia o ustroju, pozycji człowieka – w tym również obywatela – jest także tradycja katolicka, wywodzimy

Nasza konstytucja wyraźnie określa, czym jest małżeństwo – związkiem kobiety i mężczyzny – i nie widzę tu możliwości zmian pod naciskiem UE

się przecież z cywilizacji chrześcijańskiej. Nie można traktować prawa podmiotowego jako elementu czysto technicznego, proceduralnego. Dla Polaka prawo musi być ściśle powiązane z całym systemem wartości.

W niektórych unijnych krajach uważa się, że państwo ma prawo ingerować w wychowywanie dzieci, że ma pierwszeństwo przed rodziną.

Nasza konstytucja zawiera jedyny chyba w świecie przykład rozwiązania ustrojowego, które daje rodzicom gwarancję tego, że będą mieć prawo wychowywać dziecko zgodnie ze swoimi przekonaniami. Państwo pomaga rodzinie na zasadzie pomocniczości, nie zastępuje ani niczego nie narzuca. W Polsce państwo w ogóle nie ma uprawnienia do tego, żeby narzucić rodzicom jakiś model wychowawczy. Konstytucja w sposób jednoznaczny wyklucza taką ingerencję, tym bardziej Unii Europejskiej. Ale konstytucja zobowiązuje do jej stosowania i przestrzegania, a więc jak długo pozostaje niezmieniona, tak długo stosujemy jej postanowienia.

No dobrze, a małżeństwa jedнопłciowe? Są tacy, którzy twierdzą, że nasza konstytucja ich nie zakazuje, a jedynie stwierdza, że małżeństwo kobiety i mężczyzny jest pod ochroną i opieką państwa.

Nie oznacza to, że małżeństwo to może być dowolny związek, a z opieki państwa korzysta tylko ten, który jest oparty na łączności kobiety i mężczyzny. Art. 18 jest jednoznaczny w swojej treści, a mianowicie, że małżeństwo tworzy związek kobiety i mężczyzny i – o ile takie zostanie zawarte – korzysta ze wsparcia państwa.

A jeżeli nagle się okaże, że UE żąda od nas, by inne małżeństwa były też dopuszczalne? Trzeba będzie wprowadzić poprawkę do konstytucji?

Kiedy mieliśmy ratyfikować traktat o przystąpieniu do UE, zastanawialiśmy się nad problemem, co zrobić, żeby ochronić się przed ingerencją Unii w sprawy, które do niej z istoty rzeczy nie należą. Wtedy obawiano się, że Zachód, pod dyktando różnych grup interesów, będzie usiłował sprzedawać ideologię, żeby zdobywać rynki. Przecież Unia wyrastała z zupełnie innych przesłanek, założeń systemu głównie gospodarczego i wzajemnej pomocy, krótko mówiąc – żeby kraje mogły się rozwijać, a ludzie mieli pracę. Ustawa zasadnicza wyraźnie



określa, czym jest małżeństwo i nie widzę tu możliwości zmian pod naciskiem Unii.

W wielu krajach, także tych uznawanych kiedyś za katolickie, takich zmian już dokonano.

Największy problem polega na tym, że współcześnie nie istnieje pojęcie prawdy. Jest kompletna płynność, nie ma żadnych uznanych prawd dotyczących człowieka. Dopuszcza się absolutną dowolność, człowiek siebie kształtuje w zależności od różnych cech i czynników, które sam dobiera albo tworzy, zatem nie jest związany niczym, co wyznaczałoby jego ograniczoność. Człowiek jest sam dla siebie wszystkim. Krótko mówiąc, jest to niewątpliwie zaprzeczenie Boga. Wywodzi się to przecież z koncepcji jeszcze oświeceniowych, potem na ten temat pisał Gramsci, tworząc ideologię nowego człowieka, a także ci wszyscy, którzy tworzyli ruch LGBT po II wojnie światowej w Stanach Zjednoczonych. Odrzucić Boga jest łatwo, ale odrzuca się także prawo naturalne, którego źródła są przecież nie tylko religijne, a także pewien porządek społeczny, który jest fundamentem życia człowieka.

Łatwiej bronić reformy sądów, niż walczyć z tą ideologiczną falą, która w pesymistycznym wariacie może się w nie tak dalekiej perspektywie zamienić w tsunami, które nas pochłonie?

Jeśli chodzi o sądy, to przecież w Europie Zachodniej jest więcej modeli powoływania sędziów, niż moglibyśmy

sobie to wyobrazić, i w żadnym wypadku to, co u nas jest przyjęte, nie narusza żadnych zasad. Adhémér Esmein, wybitny prawnik, w podręczniku prawa konstytucyjnego sprzed stu lat pisze, że właściwie nie ma dobrego sposobu powoływania sędziów. Powoływani w wyborach staną się zależni od wyborców i będą się starali, kiedy będzie się zbliżał koniec kadencji, zrobić wszystko, żeby ponownie tymi sędziami zostać. Może ich powoływać władza wykonawcza, ale będzie ona oczekiwała – mówimy oczywiście o skrajnych sytuacjach – pewnych konkretnych zachowań. Z tym że w tym drugim przypadku, kiedy działa władza wykonawcza jako podmiot główny powołujący sędziów, mamy znacznie wyższy poziom fachowości sądów niż w tym pierwszym. I co z tego wynika? Że nie jesteśmy w stanie znaleźć rozwiązania, które po pierwsze, byłoby doskonałe, po drugie, co do którego moglibyśmy powiedzieć, że jest czystą realizacją zasady trójpodziału władzy, bo takich możliwości po prostu nie ma. Szukamy rozwiązań optymalizujących, ale te zależą zawsze od bardzo różnych czynników własnych każdego kraju, od tego, jak się kształtowała tradycja, jakie są warunki w danym systemie, jak ludzie są przygotowani, jakie są oczekiwania, co uważa się za lepsze lub gorsze rozwiązanie i w ten sposób albo się korzysta z czegoś, albo coś eliminuje.

Może być jeszcze model powoływania sędziów przez sędziów.

Hiszpanie kiedyś z tego modelu korzystali, ale zobaczyli, że sędziowie stają się wtedy związkiem zawodowym, bo jeden wspiera drugiego.

Fala ideologicznego tsunami nas zaleje?

Jeżeli środowiska, które nie chcą dopuścić do takich zmian w Polsce, będą potrafiły się porozumieć i działać wspólnie, to jesteśmy w stanie na razie się obronić. Jeżeli sobie powiemy, że nie jest to możliwe, wówczas przegramy. Trzeba tylko uświadomić ludziom pewne rzeczy. Rozmawiałam ze studentkami o parach jednopłciowych. Przekonywały mnie, że mają prawo do dziecka. Zapytałam: „A dziecko ma jakieś prawa?”. I tu nie potrafiły odpowiedzieć. My źle kształtujemy młodzież. Stale mówimy o prawie podmiotowym człowieka, prawie rodziców, opiekunów. Zgoda, to jest ważne, ale gdzie w tym wszystkim są prawa dziecka? To co, za chwilę będziemy odbierać dzieci w paczkomacie? Przecież w Kijowie było kilkaset dzieci nieodebranych przez ludzi, którzy je zamówili u surrogatek. To nie jest nawet dehumanizacja, to jest zaprzeczenie człowieczeństwa. Konieczna jest edukacja, informacja, przedstawianie pewnych zjawisk, wyjaśnianie i tłumaczenie. Ludzie bardzo często nie mają czasu poszukiwać informacji szczegółowych, konkretnych, pokazujących przyczyny i skutki. Istotne jest, żebyśmy jako ludzie wywodzący się z tej cywilizacji, której wartości jeszcze przez większość Polaków są kultywowane, potrafili je przekazywać, nie bali się tego, że ktoś nas wyśmiej.

Bezwzględny jak Agora

Dziennikarze z 30-letnim stażem bezpardonowo wyrzucani na bruk. Likwidowane stanowiska, zamykane lokalne redakcje. W ostatnim czasie właściwie nie ma dnia, by branżowe media nie donosiły o kolejnych zwolnieniach w „Gazecie Wyborczej”.

Co się dzieje we flagowym tytule koncernu Agora? Można powiedzieć, że nic nowego. Zysk ma pierwszeństwo przed człowiekiem. Nawet najbardziej oddanym



MAREK PYZA

Od początków pracy w »Gazecie Wyborczej« (a te sięgają listopada 1998 r.) szczególnym względem darzyłem tramwaje, więc cięszę się, że na koniec mogłem dla Was opisać symboliczne wbicie łopaty na długo oczekiwaną budowę nowej linii tramwajowej w Sosnowcu. To ostatni mój tekst w »Gazecie Wyborczej«. Kilkanaście minut po jego opublikowaniu dowiedziałem się, że tym tramwajem dalej już nie pojadę. Tymi gorzkimi słowami na Facebooku w ubiegłym tygodniu ogłosił swoje zwolnienie Piotr Purzyński z katowickiego oddziału „GW”. Zaskakująco dużo jego znajomych w komentarzach przekonywało, że jednak „jest życie poza Agorą”.

Nic dziwnego, dla wielu jej ludzi mogło to być nie do pomyślenia. Od dekad oddani dziennikowi, który pozował na jedyną krynicę mądrości, omnibusa, latarnię czwartej władzy, rozstawiającą po kątach trzy pozostałe. Chciał sprawować rząd dusz, wyznaczać, co jest dobre, a co złe. Zadzierał wysoko głowę, pouczał, dopieszczał pupilów, bezlitośnie niszczył wrogów.

ZŁOTA KLATKA

Agora na sztandarach niesie lewicową troskę o zwykłego człowieka. Ale nie waha się skierować kciuk w dół, gdy waży los kogoś, kogo pozbycie się oznacza parę złotych więcej w kasie koncernu.

W niepamięć odeszły złote czasy dla ludzi „Gazety Wyborczej” sprzed blisko dwóch dekad. Wtedy dostali oni pokaźne pakiety akcji Agory. Dla najbardziej zasłużonych, najdłużej związanych z koncernem, były to finansowe Himalaje, radykalnie zmieniające życiowy status. Wtedy też warszawska redakcja przeniosła się do nowej siedziby.

Otwarte przestrzenie słynnego newsroomu zwykły śmiertelnik mógł poznać bliżej w czasie prac sejmowej komisji śledczej badającej aferę Rywina. Bo to przy Czerskiej 8/10 wszystko się zaczęło. To tu producent filmowy złożył Adamowi Michnikowi korupcyjną propozycję związaną z nowelizowaną ustawą medialną. O budynku zrobiło się naprawdę głośno, gdy posłanka SLD Anita Błochowiak dopytywała Piotra Niemczyckiego o „korytarze poziome i pionowe”.

Na początku XXI w. biurowiec był przedmiotem zazdrości wielu redakcji. Pięciokondygnacyjny gmach na Dolnym Mokotowie wygrał kilka prestiżowych konkursów. Był nowoczesny, funkcjonalny i luksusowy. Pracownicy mieli w nim do dyspozycji słynną na całe miasto stołówkę, siłownię, gabinet lekarski, basen, ogromną salę konferencyjną, która w czasie mundialu w Korei i Japonii zamieniała się w strefę kibica, wypełnianą w środku dnia przez pracowni-



ków trzymających kciuki za kompromitującą się drużynę Jerzego Engela.

Można było z przyjemnością spędzać w pracy całe dnie, z pełnym brzuchem, w zdrowym ciele, z godnym stanem konta. I jeszcze ten prestiż: pracuję w „GAZECIE”, przy CZERSKIEJ! Żyć nie umierać.

Dzisiaj z tej polityki doceniania pracowników „GW” pozostało niewiele, a związki zawodowe mają coraz więcej do roboty przy chronieniu zatrudnionych (a coraz częściej zwalnianych) przez bezduszne szefostwo spółki. Alarmują więc, że łamane są przepisy ustawy o szczególnych zasadach rozwiązywania z pracownikami stosunków pracy z przyczyn niedotyczących pracowników, zapowiadają powiadomienie o nieprawidłowościach Państwowej Inspekcji Pracy, Powiatowego Urzędu Pracy, procesy i protesty.

Symboliczne jest, że od lat Agora ma kłopoty finansowe, notuje straty, zaciąga kolejne kredyty, pozbywa się pracowników i kolejnych segmentów swojego imperium, ale wciąż kurczowo trzyma się biurowca, zupełnie nieprzystającego do trudnych czasów na rynku mediów, zwłaszcza papierowych. W 2017 r. spółka ustanowiła na nim hipotekę (opiewającą na 202,5 mln zł) jako zabezpieczenie kredytu bankowego do limitu 135 mln zł. Jeszcze przez co najmniej kilka lat będzie się tam zatem mieściło jej centrum dowodzenia.

NAJWIERNIEJSI NA BRUK

Zmienia się za to los regionalnych redakcji. 10 z 20 mutacji regionalnych pozostało w trybie pracy zdalnej nawet

po zniesieniu ograniczeń związanych z epidemią. Wypowiedziano już umowy najmu lokali. Dodatkowo zatrudniono w spółce zewnętrzną specjalistkę do kierowania działem HR, której CV wskazuje, że w Agorze będzie miała podstawowe zadanie: zrestrukturizować spółkę zwłaszcza pod kątem zatrudnienia. Dlatego przewodniczący agorowej Solidarności przestrzegał w miesięczniku „Press” przed masowymi zwolnieniami: „Wydaje mi się, że będą największe w historii, może nawet kilkaset osób. Co miesiąc zwalniali po kilkanaście osób, żeby nie przekroczyć limitu, teraz zwolnią więcej”.

Spółka temu zaprzecza. Jednak sygnały, jakie dochodzą z różnych ośrodków, nie mogą nastrajać dziennikarzy optymistycznie. W Katowicach poza Purzyńskim pracę stracił szef sportu Paweł Czado, zatrudniony w „Gazecie” od 1993 r. W Łodzi – Jarosław Bińczyk (30 lat w „GW”, zaproszenie na ostatnią rozmowę z przełożoną dostał, będąc w szpitalu). W Kielcach po ponad 15 latach pożegnano Pawła Matysa. W Warszawie – Katarzynę Bednarczykównę (dziewięć lat stażu, zwolniona dzień po powrocie z urlopu), a to tylko początek długiej listy.

Związkowcy obawiają się powtórki scenariusza z 2016 r., gdy 4 października ogłoszono zwolnienia grupowe, rozpoczęte tydzień później, a do końca roku wyrzucono 176 osób, głównie dziennikarzy z segmentu prasy i internetu. W tym gronie znaleźli się ludzie z wieloletnim stażem w koncernie z Czerskiej.

W tym roku odbyły się już zwolnienia grupowe w spółce zależnej Domiporta (następnie ją sprzedano) oraz przeprowadzono program dobrowolnych odejść (80 proc. zespołu) w Golden-Line. Według związkowców odbyło się to z pogwałceniem prawa. Podkreślają oni, że w ostatnich miesiącach zwolnienia nie były masowe, bo Agora musiała pilnować ograniczeń nakładanych przez państwo dla firm ubiegających się o pomoc publiczną w ramach tarczy antykryzysowej. Choć na łamach „Gazety Wyborczej” konsekwentnie krytykowano rządowy program, nie przeszkodziło to spółce ubiegać się o uszczuplenie kawałka tego tortu (dotychczas dostała blisko 3 mln zł).

Agora zaciąga w bankach kolejne kredyty, przedłuża je. Jest zadłużona na setki milionów złotych, ale wciąż inwestuje, kupując stacje radiowe (ostatnia duża transakcja to ubiegłoroczny zakup Eurozetu) czy ekrany w sieci klubów fitness (w czerwcu tego roku). Bo mimo kłopotów w niektórych segmentach swego królestwa, firma wciąż jest w niezłej kondycji finansowej. Grubo myli się ten, kto wieszczy jej bankructwo. Co prawda nie uda się zrealizować strategii na lata 2018–2022, która zakładała, że za dwa lata przychody będą wynosić 1,6 mld zł, ale z planowanych w tym czasie inwestycji (na blisko 1 mld zł) wciąż się nie wycofuje. Aby ten cel utrzymać, tnie w „Gazecie”, lecz zatrudnia w segmencie kina i reklamy.

W kwietniu na pół roku (do połowy października) obniżono wynagrodzenie członków rady nadzorczej (przewodniczący zamiast 12 tys. zł miesięcznie zarabia 9,6 tys. zł, a pozostali członkowie – 6,4 tys. zł zamiast 8 tys. zł) oraz zrezygnowano w tym roku z dywidendy dla akcjonariuszy (w poprzednich dwóch latach wyniosła ona w sumie 46 mln zł, choć w bilansach rocznych spółka wciąż wykazuje straty). Zmniejszono też o 1/5 wynagrodzenia zarządu. Nie mogło być inaczej, skoro wszyscy zatrudnieni w koncernie musieli się zgodzić na 20-proc. obniżki pensji (trzeba pamiętać, że inne jest 20 proc. dla szeregowego pracownika, zarabiającego miesięcznie np. 4 tys. zł, od 20 proc. członka zarządu, któremu co miesiąc wpływa na konto 75–110 tys.).

Przez lata „Gazeta” piętnowała rozrastającą się biurokrację państwową. Gdy przed kilkoma tygodniami rząd zapowiedział redukcję etatów w budżetówce, „GW” wyprodukowała na ten temat całą serię tekstów o negatywnym wydźwięku dla gabinetu Mateusza Morawieckiego. W tym czasie sama zwalniała kolejnych dziennikarzy, czasem z kilkudziesięcioletnim stażem w redakcji.

Firma, która swoją potęgę zbudowała na „Gazecie Wyborczej” i wieloletnim oddaniu jej dziennikarzy, dziś traktuje ich wyjątkowo bezdusznie. Plan jest bowiem prosty: utrzymać imperium, niezależnie od kosztów ludzkich. Bez sentymentów.

Zdrajcy poprawności



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Kultura unieważnienia czyni przekonywanie kogokolwiek do naszych racji zbędnym. Wystarczy głośno wykrzyczeć swoje poglądy, a jeśli ktoś się z nami nie zgadza, to dlatego, że jest głupi i zły. Wtedy należy go uciszyć. Debata publiczna staje się zbędna, bo od początku wiadomo, kto ma moralną słuszość. Pokolenie lewicy, do którego należała niedawno zmarła sędzia amerykańskiego Sądu Najwyższego Ruth Bader Ginsburg, uznawało, że każdy medal ma dwie strony, ich wychowankowie widzą tylko jedną. Czasami z fatalnymi skutkami

David Peterson, wykładowca sztuk pięknych na małej uczelni w Saratoga Springs w stanie Nowy Jork, pod koniec lipca wyszedł wraz z żoną z domu na spacer. Gdy dotarli do głównego parku miejskiego, odkryli, że odbywa się tam manifestacja poparcia dla policji pod tytułem „Back the Blue” (poprzyj niebieskich). Podobne demonstracje odbyły się tego lata w wielu miastach USA w odpowiedzi na protesty ruchu Black Lives Matter oraz apele lewicowych działaczy, by odebrać finansowanie, a nawet zlikwidować policję. Ani Peterson, ani jego żona nie angażują się politycznie. Z ciekawości – jak powiedzieli lokalnej gazecie „The Times Union” – stali i przez 20 minut słuchali występów uczestników wiecu. Potem poszli do restauracji na kolację. Oboje szybko zapomnieli o wiecu. Tyle że widziała ich grupa lewicowych studentów, którzy następnego dnia zażądali, by uczelnia zwolniła prof. Petersona oraz jego żonę (która nawet tam nie pracuje), bo „zranili uczucia czarnoskórych studentów swoim nienawistnym zachowaniem”. Peterson wykłada na uczelni od 31 lat.

„Wściekły mob” się na tym jednak nie zatrzymał. Na drzwiach sali, w której Peterson wykłada, pojawiła się kartka z napisem: „STOP. Wchodząc do tej klasy, przekraczasz linię obejmującą cały kampus i łamiesz bojkot prof. Davida Petersona. To nie jest bezpieczna przestrzeń dla zmarginalizowanych studentów”. Bojkot zadziałał. Studenci, z wyjątkiem małej garstki, wypisali się z jego kursów. Kierownictwo uczelni odmówiło mu wsparcia, a jego koledzy milczą, gdyż obawiają się, że będą następni.

Fanatycy potrzebują heretyków, a gdy ich nie ma, to ich po prostu tworzą. David Peterson padł ofiarą szalejącej w zachodnich mediach i na kampusach kultury unieważnienia (cancel culture), drugiej, obok igrzysk opresji (oppression olympics), czyli wyścigu rzekomo gnębionych grup o to, kto ma gorzej – konsekwencji polityki tożsamościowej lewicy.

PUBLICZNE KAMIENOWANIE

Były prezydent USA Barack Obama nazwał ją „nowoczesną formą kamienowania”, odbywającą się często w mediach społecznościowych – ktoś wyraża jakąś odrębną opinię i jest odsądzany od czci i wiary. Zostaje okrzyknięty niegodnym uwagi i wykluczony z debaty. Nie ma go. Został unieważniony. Czasami wystarczy coś zalinkować na Facebooku lub dać prosty like na Twitterze. Nad delikwentem rozlewa się fala oburzenia. Zdradził zasadę poprawności politycznej, a tego strażnicy czystej doktryny darować mu nie mogą.

Wielu przedstawicieli lewicy oczywiście przekonuje, że nie ma czegoś takiego, jak cancel culture. Na łamach „Krytyki Politycznej” w tekście autorstwa Jana-Wernera Müllera możemy m.in. przeczytać, że to „odosobnione przypadki”, a konserwatyści skarżący się na ograniczenie debaty publicznej po prostu usiłują kreować siebie na ofiary. Nieliberalnej lewicy nie ma, to mrzonki. Według bloga opensociety.net możni tego świata, skarżąc się na kulturę unieważnienia, chcą



Fot. Shutterstock

„uciszyć swoich krytyków”. Tyle że to nie moiżni tego świata – jak pisarka Joanne K. Rowling, oskarżona o transfobię, kiedy wyraziła wątpliwości, czy osoby niebędące kobietami mogą mieć menstruację – cierpią najbardziej z powodu cancel culture. Książki autorki Harry’ego Pottera dalej będą się sprzedawać, bojkot może jej nawet pomóc. Ofiarami unieważnienia w social mediach pod hashtagem #[nazwisko] IsOverParty padło wielu celebrytów: amerykańskie gwiazdy telewizji Jimmy Fallon, Ellen DeGeneres, raperka Cardi B. Nie zaszkodziło im to. Program DeGeneres wraca na ekrany, Cardi B wydała kolejny hit, a program Jimmy’ego Fallona wciąż oglądają miliony Amerykanów. Ponadto, jak tłumaczy amerykański medioznawca Jorge Iniguez, „przeciętnemu odbiorcy trudno nadażyć za tym, co robią celebryci”. „Setki celebrytów, tysiące postów w mediach społecznościowych. Nie pamiętam nawet, co jadłem wczoraj, a mam pamiętać do końca życia, co jakaś znana osoba zrobiła? To niemożliwe” – uważa Iniguez.

Zwykli ludzie nie mają tyle szczęścia. Im unieważnienie niszczy życie. We wrześniu tego roku Uniwersytet Kalifornii Południowej (USC) zawiesił w obowiązkach prof. Grega Pattona, wykładającego komunikację. Podczas kursu online na platformie Zoom Patton wyjaśniał studentom, jakie słowa są używane w różnych kulturach, w przezwaniach między zadaniami. Jako przykład z Chin podał słowo „nèi ge”, oznaczające „to”. Wymówił je przy tym jako „neh-ga”.

Trudno w to uwierzyć, ale lewicowi studenci słuchający wykładu, odczytali to jako celową obrazę osób czarnoskórych. Grupa studentów napisała list do kierownictwa uczelni, twierdząc, że wykładowca „naruszył ich zdrowie psychiczne”, a to, że „taka osoba jak on będzie stawiała im oceny, jest wysoce niepokojące”. „Wolelibyśmy nie uczestniczyć w jego kursie i nie narażać się na emocjonalne wyczerpanie z powodu wykładowcy, który lekceważy różnorodność kulturową i wrażliwość, a co za tym idzie, stwarza niepożądane środowisko dla nas, czarnych uczniów” – cytują ich list dziennik „New York Post”.

Uczelnia przeprosiła studentów za zachowanie Pattona, nazywając je „nie-dopuszczalnym”. Patton nie będzie uczył w tym semestrze. Złożył jednak samokrytykę, więc jest szansa, że po przerwie wróci do pracy.

DYKTATORZY DOBRA

Jeśli to są wszystko „przypadki odosobnione”, to jest ich dziwnie dużo, a absurdalność zarzutów stawianych rzekomym odstępcom od „społecznej wrażliwości” świadczy o tym, że nie chodzi tu o uzasadnioną krytykę czyjeś postawy, tylko zwykły politycznie poprawny terror. David Peterson został ukarany nawet nie za to, że coś powiedział, korzystając z gwarantowanej w amerykańskiej konstytucji wolności słowa, bo nie powiedział absolutnie nic. Tylko za to, że przypadkowo był świadkiem tego, co mówili inni. Ostra-

cyzm może także spotkać kogoś za to, co powiedział czy napisał dawno temu, gdy tzw. śnieżynki (snowflakes), czyli prze-wrażliwieni mileniści i zety, nie zasiedlały jeszcze uniwersyteckich kampusów, a świat był zajęty zimną wojną. W lipcu tego roku wiceszef komunikacji spółki Boeing Niel Golightly stracił stanowisko, bo w 1987 r. napisał jako młody porucznik marynarki wojennej artykuł, w którym sprzeciwiał się służbie kobiet w wojsku. Choć Golightly, podobnie jak Patton, złożył samokrytykę i zapewniał, że „dziś już tak nie uważa”, został zwolniony „dla dobra firmy”. Kto go oskarżył, wygrzebu-jąc stary i dawno zapomniany artykuł, nie wiadomo. Anonimowość internetu pozwala oskarżać każdego bez konsekwencji. Dyktatorów dobra dążących do stworzenia rajy powszechnej szczęśliwości nie brakuje. Wystarczy usunąć wszystko i wszystkich stojących na przeszkodzie realizacji ostatecznego szczęścia. Przede wszystkim nieortodoksyjne, swobodne i odważne myślenie oraz ludzi, którzy nie boją się tyranii poprawności. Jak Nicka Buckleya, prezesa brytyjskiej organizacji charytatywnej Mancunian Way, niosącej pomoc bezdomnym. Buckley skrytykował w czerwcu na swoim blogu na platformie LinkedIn ruch Black Lives Matter i został za to wyrzucony z organizacji, którą sam zakładał dziewięć lat temu. Wystarczyła petycja online, pod którą podpisało się niecałe 400 osób. Buckley nie poddał się jednak. Zmobilizował znajomych, uruchomił media i po kilku tygodniach

przywrócono go na stanowisko. Jego reputacja została jednak zniszczona, wielu darczyńców fundacji wycofało swoje wsparcie. Wszystko dlatego, że Buckley wyraził opinie, iż Wielka Brytania „nie jest krajem głęboko rasistowskim”, a BLM to „organizacja marksistowska”, co sama otwarcie przyznaje, a nawet się tym chwali. 20 lat pożytecznej społecznie pracy z bezdomnymi i młodzieżą z niskich warstw społecznych wyrzucone przez okno, bo Buckley nie chciał krakać jak pozostałe wrony. Jak wskazał w artykule na łamach brytyjskiego portalu The Critic, wielu przyjaciół i znajomych bało się poprzeć go publicznie ze strachu, że sami padną ofiarą „tłuszczy” (the mob). Woleli się nie narażać, bo w ramach kultury unieważnienia łatwo można znaleźć się po niewłaściwej stronie barykady, wśród tych, co nie mają racji.

Cancel culture znalazła się przy tym w samym sercu kampanii przed wyborami prezydenckimi w USA. Donald Trump zrobił z niej jeden z czołowych tematów swojej walki o reelekcję. Podczas konwencji narodowej republikanów podkreślił, że celem kultury unieważnienia jest spowodowanie, by „przyzwoci Amerykanie żyli w strachu przed zwolnieniem z pracy, poniżeniem i wyrzuceniem ze społeczeństwa”. Jak informuje CBN News, 84 proc. Amerykanów uważa, że cancel culture to „ogromny problem”.

PRZEKONYWAĆ, NIE ATAKOWAĆ

Przy czym zjawisko krytykuje nie tylko prawica. Zmarła 18 września 2020 r. sędzia amerykańskiego Sądu Najwyższego Ruth Bader Ginsburg zasłynęła z tego, że łączyła ją głęboka przyjaźń z konserwatywnym sędzią Sądu Najwyższego Anthonym Scalią. Ponad podziałami. W 2015 r. Ginsburg udzieliła kobietom rady, by walczyły o to, w co wierzą, ale w taki sposób, by „przekonać innych do swoich racji, tak aby przyłączyli się do tej walki”. Jak podkreśliła Ginsburg, należy atakować idee, nie ludzi. Kultura unieważnienia czyni przekonywanie kogokolwiek do naszych racji zbędnym. Wystarczy głośno wykrzyczeć swoje poglądy, a jeśli ktoś się z nami nie zgadza, to dlatego, że jest głupi i zły. Wtedy

należy go uciszyć. Debata publiczna staje się zbędna, bo od początku wiadomo, kto ma moralną słuszość. Pokolenie lewicy, do którego należała Ginsburg, uznawało, że każdy medal ma dwie strony, ich wychowankowie widzą tylko jedną. Czasami z fatalnymi skutkami.

W lipcu tego roku prof. Mike Adams, kryminolog z Uniwersytetu Karoliny Północnej, popełnił samobójstwo miesiąc po tym, jak stał się przedmiotem

Cancel culture znalazła się w samym sercu kampanii prezydenckiej w USA. Podczas konwencji republikanów Donald Trump podkreślił, że celem kultury unieważnienia jest spowodowanie, by „przyzwoci Amerykanie żyli w strachu przed zwolnieniem z pracy, poniżeniem i wyrzuceniem ze społeczeństwa”

petycji, która miała na celu zwolnienia go z uczelni za „homofobię, mizoginię, transfobię i ksenofobię”. 1 sierpnia miał odejść na wymuszoną emeryturę. Kilka dni wcześniej zastrzelił się w swoim domu. Czym zawinił prof. Adams? Napisał na Twitterze, że ludzie protestujący po śmierci czarnoskórego George’a Floyda w Minneapolis to „przestępcy, którzy wykorzystują sytuację, by bezkarnie łamać prawo”. Jego własna uczelnia nazwała go „nienawistnikiem”, znajomi się od niego odwrócili. Stał się przedmiotem narodowej kampanii nienawiści w mediach społecznościowych. Można powiedzieć, że była ona skuteczna. Prof. Adams już żadnego „niewłaściwego” posta nie napisał.

Pisarze – Margaret Atwood, Jeffrey Eugenides, Salman Rushdie, naukowcy – Noam Chomsky, Gloria Steinem i Francis Fukuyama, a także mistrz szachowy Garri Kasparow. Ponad 150 sław podpi-

salo się na początku lipca pod listem otwartym w obronie wolności słowa, czyli przeciwko cancel culture. Powodem był zapewne przypadek J.K. Rowling, która przez noc z uznanej i lubianej pisarki za sprawą rzekomego transsceptycyzmu stała się „nędzną pisarzyną”. Treść listu jest ciekawa. „Wolność wymiany informacji i idei, siła napędowa liberalnego społeczeństwa, z każdym dniem staje się coraz bardziej ograniczona. O ile oczekujemy tego od radykalnej prawicy, cenzura rozprzestrzenia się również w naszej kulturze: nietolerancja społecznych poglądów, moda na publiczne znęcanie się i ostracyzm oraz tendencja do ślepego rozwiązywania złożonych problemów politycznych. [...] Zbyt często słyszy się wezwania do szybkiej i surowej zemsty” – czytamy. „Niezależnie od argumentów w kontekście każdego incydentu wynikiem będzie stale zawężanie granic tego, co można powiedzieć, bez groźby odwetu” – głosi list. Jego sygnatariusze zwracają uwagę na to, że autorzy, pisarze i dziennikarze, którzy odchodzą od konsensu, już teraz płacą za to największą cenę i obawiają się o swoje środki utrzymania. Na koniec apelują, że należy zachować „możliwość prowadzenia dyskusji w dobrej wierze bez poważnych konsekwencji zawodowych”.

EPILOG

Apel jest jak najbardziej słuszny, ale może się okazać nieskuteczny, unieważnienie jest bowiem o wiele łatwiejsze niż spieranie się o polityczne racje na argumenty. Tym bardziej że wymienianych w liście cnót nierzadko brakuje w gronie samych apelantów. Fareed Zakaria w swoim programie w CNN wielokrotnie wyrażał niepokój z powodu rządów PiS w Polsce, na podstawie informacji zaczerpniętych od Anne Applebaum i jej męża, byłego szefa MSZ, polityka PO Radosława Sikorskiego. Strony przeciwnej na wszelki wypadek nie wysłuchał. To też jest wyraz kultury unieważnienia. Tak powszechny, że mało kto zwraca dziś na niego uwagę. Jednostronność dyskursu i zemsta za odejście od czystej doktryny to nowa jakość życia publicznego, przed którą, jak się wydaje, nie ma ucieczki.



Kierowcy z ubezpieczeniem od PZU otrzymają dodatkową ochronę

Dobra wiadomość dla kierowców, którzy korzystają także z roweru czy hulajniogi. PZU pokryje szkody wyrządzone przez posiadaczy OC komunikacyjnego także podczas jazdy urządzeniem transportu osobistego – w skrócie zwanym UTO.

To m.in. rowery, segwaye czy coraz popularniejsze w Polsce hulajniogi

Coraz więcej Polaków przesiada się na rower czy hulajnogę, a to niestety oznacza także rosnącą liczbę wypadków z udziałem takich środków transportu. To dlatego największy polski ubezpieczyciel zaproponował swoim klientom dodatkową ochronę. PZU pokryje szkody rzeczowe i osobowe wyrządzone przez posiadaczy OC komunikacyjnego w wyniku korzystania z roweru i innych urządzeń transportu osobistego (UTO).

– Od dłuższego czasu widzimy zmianę modelu zachowania Polaków. Dotyczy to szczególnie większych miejscowości. Pandemia tylko przyspieszyła ten proces. Korki przed światłami na ścieżkach rowerowych to już normalność. Chętnie korzystamy z rowerów i hulajnóg, ale mało kto pamięta, by zabezpieczyć się na wypadek wyrządzenia szkody podczas przejażdżki. Dzięki dodatkowi do OC rozszerzamy ochronę także na zdarzenia

spowodowane podczas jazdy UTO – mówi Tomasz Piekarski, dyrektor ds. ubezpieczeń komunikacyjnych w PZU.

OC UTO działa na terenie całej Polski. Ochroną ubezpieczeniową objęty jest właściciel i współwłaściciel pojazdu, którego dotyczy umowa OC, a także leasingobiorca i kredytobiorca. Suma gwarancyjna ubezpieczenia to 5 tys. zł na jeden wypadek, bez względu na liczbę poszkodowanych.

– Wprowadzając OC UTO, dodatkową ochroną obejmujemy miliony klientów PZU. Tym samym zapewniamy naszym klientom spokój i bezpieczeństwo, niezależnie od sytuacji, w jakiej się znajdują – dodaje Tomasz Piekarski.

Obecnie trwają prace nad projektem zmian w ustawie Prawo o ruchu drogowym, która ureguluje status prawny UTO. Po wejściu w życie ustawy elektryczne hulajniogi będą traktowane jak pojazdy.



Młodzież jako taran rewolucji

Utopijne programy inżynierii społecznej jako awangardę zmian wykorzystują najczęściej młodzież. Szczególnie podatni na uleganie ideologiom okazują się studenci. Zmieniają się sztandary, ale mechanizm pozostaje ten sam

Są wydarzenia, które jak w soczewce skupiają w sobie szersze procesy społeczne. Oto przykład. Niedawno na Uniwersytecie Śląskim socjolog prof. Ewa Budzyńska prowadziła zajęcia „Międzypokoleniowe więzi w rodzinach światowych”. Wykładowczyni akademicka z 28-letnim stażem pracy podała definicję rodziny jako komórki społecznej „złożonej z męża, żony, ojca, matki, dzieci, krewnych, powinowatych”. Powiedziała też, że dziecko w łonie matki jest człowiekiem. Te stwierdzenia spotkały się ze sprzeciwem grupy studentów, którzy wystosowali skargę do władz uczelni. Oskarżyli badaczkę o „promowanie poglądów anti-choice, poglądów homofobicznych, antysemityzmu, dyskryminacji wyznaniowej, informacji niezgodnych ze współczesną wiedzą naukową oraz poglądów radykalno-katolickich”.

Do stanowiska studentów przychylił się rzecznik dyscyplinarny uczelni prof. Wojciech Popiołek, który zapowiedział wyciągnięcie konsekwencji wobec prof. Budzyńskiej i ukaranie jej. W swoim oświadczeniu napisał: „Wymierzenie obwinionej kary nagany będzie stanowiło adekwatną dla czynu obwinionej karę, a także będzie stanowiło wyraz prewencji ogólnej i prewencji szczególnej. W środowisku akademickim nie mogą mieć miejsca takie zachowania, jakie są przypisywane obwinionej”.

Trudno odebrać ten komunikat inaczej niż jako sygnał wysłany do innych wykładowców, by nie ośmielali się prezentować podobnych poglądów, bo w przeciwnym wypadku spotka ich kara. Poddana presji prof. Budzyńska zdecydowała się odejść z uczelni.



GRZEGORZ GÓRNY

Dokładnie ten sam schemat powtarzał się wielokrotnie w XX w. w różnych czasach i miejscach. Jest on ilustracją szerszego zjawiska, a mianowicie wykorzystywania młodzieży jako tarana rewolucji. Awangardą tego procesu byli przede wszystkim studenci, którzy zaczęli od denuncjowania swoich wykładowców i uniemożliwiania im wykładów.

Nie mamy danych statystycznych, jaki odsetek młodzieży niemieckiej głosował na narodowych socjalistów podczas wyborów i referendum w latach 1932, 1933 i 1934, ponieważ nie prowadzono wtedy takich ankiet. Dysponujemy jednak danymi osobowymi z kartotek NSDAP, z których wynika, że w tym okresie średnia wieku członków ugrupowania Adolfa Hitlera wynosiła zaledwie 29 lat. Była to najprawdopodobniej najmłodsza wiekowa partia na świecie.

W „Historii społecznej Trzeciej Rzeszy” Richard Grunberger pisze, że młodzież była dla nazizmu „grupą społeczną najbardziej poddającą się jego zamierzeniom”, a zarazem „potrafiącą zapłacić lojalnością aż do granic samopoświęcenia”. Pociągała ją „brunatna rewolucja”, która zapowiadała zbudowanie nowego świata. Młodzi byli awangardą postępu, którym Führer obiecał cywilizacyjny skok do przodu. Hitler nie chciał tworzyć społeczeństwa na wzór średniowiecza, lecz nowoczesne, sprawnie funkcjonujące, wysoko rozwinięte technologicznie państwo, którego znakiem rozpoznawczym były volkswageny, messerschmitty, autostrady i turbiny Siemens. W następnych latach entuzjazm młodzieży wobec nazizmu wcale nie osłabł. Dominował zachwyt przyspieszoną modernizacją, industrializacją i urbanizacją kraju.

NAJBARDZIEJ MŁODZIEŻOWA PARTIA ŚWIATA

Przyjrzyjmy się częściom składowym tego wydarzenia, ponieważ układają się one w pewien schemat. Oto studenci piszą doniesienie na profesora akademickiego za głoszone przez niego poglądy. Zarzucają mu wyrażanie sądów krzywdzących inne osoby, np. homoseksualistów, sami stając po stronie ofiar. Oskarżają wykładowcę o głoszenie nienaukowych poglądów, sami stawiając siebie po stronie nauki. To oni reprezentują wiedzę i postęp w odróżnieniu od niego. On jest nosicielem przestarzałego, nietolerancyjnego i godnego odrzucenia światopoglądu. Studenci, domagając się ukarania, nie podejmują z nim nawet dyskusji na argumenty. I to kończy się odejściem profesora z uczelni.

KORYFEUSZE NAUKI I PIEWCY POSTĘPU

Od samego początku NSDAP cieszyła się szczególną sympatią wśród studentów. W 1931 r. narodowi socjaliści byli popierani przez 60 proc. niemieckich studentów, podczas gdy w skali całego społeczeństwa poparcie to wynosiło ok. 30 proc. To właśnie uniwersytety były pierwszymi arenami bojkotów i pogromów antysemickich, które później rozlały się na cały kraj. Często dochodziło na uczelniach do przypadków donoszenia przez studentów na profesorów, że głoszą poglądy nienaukowe zasługujące na potępieniu. Gdy później następowały czystki kadrowe, pierwsi tracili pracę właśnie wykładowcy denuncjowani przez swoich słuchaczy.



Fot. Alamy Images/Earl News

Z kartotek NSDAP wynika, że w pierwszej połowie lat 30. ubiegłego wieku średnia wieku członków ugrupowania Adolfa Hitlera wynosiła zaledwie 29 lat. Była to prawdopodobnie najmłodsza wiekowo partia na świecie

Co charakterystyczne, młodzi delatorzy podkreślali, że występują w imieniu ofiar, a największą ofiarą był dla nich naród niemiecki, pokrzywdzony przez upokarzający traktat wersalski, niesprawiedliwe odszkodowania wojenne, utratę terytoriów, krwiożerczą plutokrację czy zakulisowe działania Żydów. Ich zdaniem ten ciężko doświadczany naród osłabiałby jeszcze bardziej nienaukowe poglądy, opinie i idee podejrzanych wykładawców, które (i których) należało zwalczać.

Młodociani donosiciele z pełnym przekonaniem utrzymywali, że stoją po stronie nauki. Uważali, że ich twierdzenia o wyższości rasy aryjskiej nie wynikały wcale z żadnych uprzedzeń, lecz udowodnionej niezbieżności wiedzy. Oburzyłoby się, gdyby im powiedziano, że rasizm to ideologia, a nie nauka. Stał za nimi autorytet całej plejady słynnych profesorów z najbardziej prestiżowych uniwersytetów niemieckich, którzy twierdzili, że nauka o rasach jest oparta na biologii, genetyce, medycynie, antropologii i higienie. Kto twierdził inaczej, był obскурantem, odrzucającym współczesną wiedzę naukową.

Na marginesie dyskusji o eugenicie, która utorowała drogę ludobójstwu w Trzeciej Rzeszy, współczesny historyk niemiecki Joachim Radkau pisze: „Czy jednak ideologiczne jądro nazizmu,

fantom uszlachetniania rasy aryjskiej, nie było skrajnie nienaukowe, wręcz antynaukowe? Nie powinniśmy jednak wychodzić od tego, co dzisiaj rozumiemy przez naukę i naukowość. Eugenika, nauka o ulepszaniu ludzkiego genotypu, cieszyła się w latach 20. wysokim uznaniem naukowym. I to nie tylko w Niemczech, ale w wielu krajach, i w żadnym wypadku jedynie wśród zwolenników skrajnej prawicy, ale po części nawet na lewicy politycznej. Ideologia nazistowska leżała najwyraźniej znacznie bardziej, niż chciano to przyznawać po 1945 r., na linii tego, co uznawane było kiedyś za postęp naukowy”.

Potwierdza to inny badacz nazizmu Rainer Zitelmann, który pisze: „Jednym z konstytutywnych elementów ideologii narodowosocjalistycznej był darwinizm społeczny, rozumiany jako konsekwentne przeniesienie wiedzy naukowej (biologicznej) na społeczeństwo”. Jego zdaniem myśl o stworzeniu doskonałej rasy ludzkiej, bazującej na nordyckim genotypie, miała wielu zwolenników wśród poważanych naukowców, moralistów, filantropów i społeczników: „Idee »hodowli« forsowane przez przedstawicieli higieny rasowej naznaczone były optymizmem wyrastającym z wiary w postęp. Według nich postęp ludzkiej filogenezy zależał od przyjęcia przez społeczeństwo zasady selekcji. Ich wyobrażenia

Na krakowskiej ASP sygnałem do ataku na kadrę profesorską stał się opublikowany na łamach tygodnika „Wieś” artykuł dwóch studentów tej uczelni, Konrada Nałęckiego i Andrzeja Wajdy „Głos młodych plastyków”. Tekst krytykował uczelnię i jej wykładowców, których nauki miały nie przystawać do wymogów budowy społeczeństwa socjalistycznego

o »zdrowiu narodu« zbiegały się z tendencjami w medycynie i psychiatrii, zarysowującymi się już na długo przed powstaniem Trzeciej Rzeszy”.

Dla nazistowskich studentów były to poglądy tak oczywiste, że nie widzieli nawet potrzeby dyskusowania z wykładowcami, którzy prezentowali odmienne stanowisko. Zamiast debaty na argumenty żądali ukarania nieprawomyślnych profesorów. Co ciekawe, w przypadku eugeniki głównymi oponentami zwolenników higieny rasowej nie byli wcale lewicowi i liberalni humaniści, którzy także sytuowali się w „obozie postępu”, lecz zacofani zwolennicy etyki chrześcijańskiej, obstający przy świętości i nienaruszalności ludzkiego życia.

W TROSCE O KOBIETY I ZDROWIE

Poparcie dla narodowego socjalizmu wśród najmłodszych roczników wynikało również z szerzonego przez nazistów kultu młodości, tężyzny fizycznej i zdrowia. Państwo hitlerowskie było pierwszym na świecie, które zaczęło promować zdrową żywność i walczyć z nikotyną. To właśnie niemieccy badacze

w latach 30. pierwsi dowiedli szkodliwości tytoniu. To spowodowało rozpoczęcie wielkich społecznych kampanii antynikotynowych – zakazano palenia papierosów w wielu miejscach publicznych, ograniczono poważnie reklamę wyrobów tytoniowych, rozpoczęto kampanię uświadamiania ludzi o negatywnych skutkach nikotyny. Przykład dawał sam Adolf Hitler, który nie palił papierosów, nie pił alkoholu i był wegetarianinem.

Szczególnym poparciem nazizm cieszył się też wśród niemieckich kobiet. Hermann Rauschning notował, że na wiecach NSDAP słuchaczki „wbijały w Hitlera nieprzytomny wzrok, jakby w religijnej ekstazie”. Na kronikach filmowych z tamtych lat utrwalono obrazy młodych dziewcząt wpadających na widok Führera w zbiorową histerię, co jako żywo przypomina sceny uchwycone przez kamery 30 lat później, gdy nastolatki pisały i mdlały na widok Beatlesów.

Nie było w tym nic dziwnego, ponieważ nazizm spowodował masową emancypację kobiet, wyrывая je z zakłętego kręgu „Kinder, Küche, Kirche” (dzieci, kuchnia, kościół) i dając im możliwość samorealizacji zawodowej oraz robienia nieosiągalnych dotąd karier zawodowych. Narodowosocjalistyczna Liga Kobiet (NS-Frauenschaft), Związek Niemieckich Dziewcząt (Bund Deutschen Mädel) czy wydział żeński Deutsche Arbeitsfront (DAF) były wręcz organizacjami feministycznymi. Prowadziły np. akcje przeciwko przesądom męskim w przemyśle, kampanie na rzecz równości płci czy działania przeciw tradycyjnej etyce seksualnej, dowartościowujące kobiety.

Tak doszło do paradoksu, o którym pisał wspomniany już Richard Grunberger, że „reżim hitlerowski zdołał włączyć w działalność publiczną znacznie więcej kobiet, niż uczyniło to państwo weimarskie, które pierwsze dało im przecież prawa wyborcze”.

Tym wszystkim zmianom towarzyszyło jednocześnie rugowanie Kościoła z przestrzeni publicznej, ograniczenie roli duchownych i działania sekularyzacyjne. Hitlerowcy zlikwidowali m.in. wszystkie szkoły wyznaniowe, z których większość była katolicka. Chodziło o to, by obywatele niemieccy od dziecka nie mieli możliwości zetknięcia się z przekazem alternatywnym wobec ideologii narodowosocjalistycznej. Sam Hitler nie miał zresztą wątpliwości, że nauka w końcu wyprze i zastąpi religię.

ZWALCZAJĄC PRZESADY I NIESPRAWIEDLIWOŚĆ

Ten sam schemat możemy zaobserwować w przypadku komunizmu, gdzie także taranem rewolucji stała się młodzież, zauroczona ideą postępu. Widać to było podczas instalowania tego ustroju w Polsce, zwłaszcza na uczelniach wyższych, gdzie skargi i donosy pisane przez studentów na przedwojennych wykładowców były sygnałem do nagonek i czystek kadrowych (nie mówiąc już o regularnym zakładaniu przez studenckie bojówki zajęć takich naukowców, jak Kazimierz Ajdukiewicz, Henryk Elzenberg, Konrad Górski, Roman Ingarden, Władysław Konopczyński, Tadeusz Kotarbiński czy Maria i Stanisław Ossowsky).



Harcerze na pochodzie pierwszomajowym.
Warszawa, 1 maja 1969 r.

List otwarty napisany przez ośmiu studentów na czele z Henrykiem Hollandem, atakujący poglądy prof. Władysława Tatarkiewicza i domagający się zakazania mu wykładów, przyczynił się do usunięcia tego wybitnego nauczyciela z Uniwersytetu Warszawskiego. Na krakowskiej ASP z kolei sygnałem do ataku na kadre profesorską stał się opublikowany na łamach tygodnika „Wies” artykuł dwóch studentów tej uczelni, Konrada Nałęckiego i Andrzeja Wajdy „Głos młodych plastyków”. Tekst napisany w duchu socrealistycznej ideologii Andrieja Żdanowa krytykował uczelnię i jej wykładowców, których nauki miały nie przystawać do wymogów budowy społeczeństwa socjalistycznego. Zaczęła się nagonka, zakończona usunięciem z akademii jej rektora Eugeniusza Eibischa oraz jego współpracowników.

We wszystkich przypadkach młodzi donosiciele występowali w imieniu uciśnionych ofiar, czyli uciemiężonej klasy robotniczej, gnębionej przez kapitalistów, wywodzących uzasadnienie dla swych niesłusznych idei m.in. z dorobku owych profesorów. Studenci oskarżali jednak wykładowców nie tylko o szerzenie poglądów niemoralnych i dyskryminujących innych, lecz także nienaukowych. W ich oczach prawdziwą naukę reprezentowały komunizm naukowy i materializm dialektyczny. Gdyby im ktoś powiedział, że marksizm to ideologia, a nie nauka, wyśmialiby go. Tego nauczano przecież w katedrach marksizmu-leninizmu na uniwersytetach we wszystkich państwach postępowych. To oni reprezentowali wiedzę w odróżnieniu od opóźnionych cywilizacyjnie profesorów, przywiązanych do swych przetrzmiałych, tradycyjnych i chrześcijańskich poglądów.

Owi studenci, przekonani o prawdziwości swych teorii, nie uważali nawet za stosowne podejmować jakiegokolwiek dyskusji na argumenty z wykładowcami. Odmawiali im po prostu prawa do głoszenia na uczelni poglądów, które uważali za niezgodne z nauką i postępem.

DZIECI REWOLUCJI KULTURALNEJ

Szczególnie drastyczny przebieg proklamowana przez komunistów „wojna pokoleń” miała w Chinach, gdzie młodzież akademicka stała się gwardią szturmową „rewolucji kulturalnej”.

Co ciekawe, w przypadku eugeniki głównymi oponentami zwolenników higieny rasowej nie byli wcale lewicowi ani liberalni humaniści, którzy także sytuowali się w „obozie postępu”, lecz zacofani zwolennicy etyki chrześcijańskiej, obstający przy świętości i nienaruszalności ludzkiego życia

Mao Zedong nazywał studentów „małymi generałami”. Furia hunwejbiniów obracała się przeciwko kadrom uniwersyteckim, które reprezentowały „cztery stare rzeczy do zniszczenia: stare myśli, starą kulturę, stare zwyczaje i stare nawyki”. Profesorów nie tylko wyrzucano z uczelni i publicznie poniżano, lecz nawet mordowano. Studenci wierzyli, że są nosicielami postępu, a ich wykładowcy nie mają nawet prawa głosu. Na ogłoszonej przez Mao liście „dziewięciu śmierzdzących kategorii” znaleźli się także inteligenci, bohaterem narodowym został zaś student, który podczas egzaminu oddał czystą kartkę.

Nieprzypadkowo ruchawka studencka na Zachodzie w 1968 r. prowadzona była pod hasłami 3M (Marks, Mao, Marcuse). Wtedy również studenci terroryzowali wykładowców. Czesław Miłosz wspominał, że w Berkeley ci profesorowie, którzy odważali się mówić o istnieniu prawdy obiektywnej, byli oskarżani o faszyzm. W Paryżu studenci nałożyli na głowę wybitnego filozofa Paula Ricoeura kosz na śmieci, pytając go, dlaczego to właściwie on jest profesorem, a nie oni.

* * *

We wszystkich przywołanych przypadkach – niezależnie od tego, pod jakiego koloru sztandarami prowadzona jest walka – brunatnymi, czerwonymi czy tęczowymi – mechanizm jest ten sam. Studenci jako przedstawiciele świata przyszłości oraz nosiciele wyższych wartości występują przeciw reakcyjnym, zacofanym i niebezpiecznym profesorom. Są awangardą wojny kulturowej, która ma zmienić oblicze naszej cywilizacji. Nie ma żadnej racjonalnej dyskusji na argumenty, nie ma nawet chęci podjęcia rozmowy. Jest za to obrzucanie obelgami i epitetami.

Następny etap to już pochwała „akcji bezpośredniej”. W tej dziedzinie Antifa mogłaby się wiele nauczyć od Hitlerjugend i Komsomolu. 

Parada równości w Warszawie



K

ULTURY

*Wybrano ją z ponad
tysiąca kandydatek.
I zagrała znakomicie.
W każdej scenie
poruszającego filmu
Piotra Domalewskiego
„Jak najdalej stąd”,
który właśnie wszedł
do kin. Zofia Stafiej,
warto zapamiętać
to nazwisko*

Droga bez łez

Fot. ForumFilm



Fot. ForumFilm

JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Studentka łódzkiej Filmówki Zofia Stafiej (rocznik 1999) nie mogła sobie wymarzyć lepszego kinowego debiutu. I to w roli głównej. Na dodatek u tak ciekawego reżysera jak twórca głośnej „Cichej nocy”.

MISTRZOWSKI PLAN

Gdy – będąc jeszcze na pierwszym roku – wyprzedziła podczas wieloetapowych kastingów kilkaset konkurentek, nie przypuszczała, że w nowym filmie Piotra Domalewskiego zagra niemal w każdej scenie i że praca nad debiutem w pełnometrażowej fabule stanie się dla niej wyjątkowym zawodowym warsztatem.

W filmowe życie 17-letniej Oli – pogmatwane, pełne dramatycznych napięć i wyzwań – wchodziła pod czujnym okiem: zarówno reżysera (który ma również aktorskie wykształcenie), jak i operatora Piotra Sobocińskiego juniora, oraz u boku takich mistrzów ekranu jak Kinga Preis czy Arkadiusz Jakubik.

Domalewski wspomina, że już na etapie kastingów Zofia ujęła ekipę „dojrzałością pomimo młodego wieku”, a także energią i temperamentem.

To w dużej mierze za sprawą jej przekonującej roli do widzów mógł trafić kinowy obraz, który porusza – czasem nawet do łez – ale nie przytłacza. Nasycony dodatkowo sporą dawką czarnego humoru, daje szansę zarówno na wejście w opowiadaną historię, jak i na dystans do niej. Nie niszczy oceną. I podobnie jak „Cicha noc” po zostawia z nadzieją.

PO ZBRODNI DO ŁÓDZI

Urodzona w Warszawie, wychowana w podwarszawskim Legionowie Zosia

Stafiej od podstawówki występowała w szkolnych przedstawieniach, marząc jednocześnie, że zostanie lekarzem. Jak jej babcia. To się zmieniło po lekturze... „Zbrodni i kary”.

W drugiej klasie gimnazjum stworzyła własny spektakl (napisała scenariusz, wystawiła go i zagrała w nim), a potem wybrała warszawskie liceum Słowackiego z klasą o profilu teatralno-filmowym, równocześnie bardzo poważnie przygotowując się na różnych kursach i warsztatach. Po maturze złożyła papiery do wszystkich aktorskich uczelni. Dostała się do łódzkiej Filmówki, na której za chwilę rozpocznie trzeci rok.

Tej jesieni można ją zobaczyć w pełnometrażowym debiucie reżyserskim Jana Holoubka „25 lat niewinności...”, gdzie zagrała epizod. Była już wtedy po zdjęciach do kolejnej, oczekiwanej premiery wrześnie – „Jak najdalej stąd”.

NIE CZAS NA PŁACZ

Pierwszy tytuł filmu Piotra Domalewskiego (w wersji angielskiej wciąż obowiązujący) brzmiał „I Never Cry”.

– Kiedy przeczytałam scenariusz, od razu spytałam reżysera, czy dobrze rozumiem postać, którą mam zagrać – wspomina aktorka. – Czy to osoba, która nie pozwala sobie na emocje, dopóki nie wywiąże się z zadań i zobowiązań, którymi jest obarczona? Przytaknął.

Tak więc Ola nie płacze, bo nie może sobie na łzy pozwolić. Ani gdy przychodzi wiadomość, że pracujący na budowie w Irlandii ojciec miał śmiertelny wypadek, ani gdy się okazuje, że to ona, 17-latką, musi sprowadzić jego ciało do Polski. Kiedy przebija się przez polską i irlandzką biurokrację, kiedy z każdym krokiem

żegna się z dawnymi marzeniami. Znaczenie obecnego tytułu – „Jak najdalej stąd” – łączy, zdaniem Zofii Stafiej, dwie podróże, które bohaterka odbyła – fizyczną i emocjonalną. Ta pierwsza, do Irlandii – kraju nie tak przecież od Polski oddalonego, z powodu celu okazuje się niezwykle obciążająca. Drugą Ola musiała odbyć w sobie. Zarówno w kontekście relacji z ojcem (który od lat pracując za granicą, był w jej życiu właściwie nieobecny), relacji z matką i wymagającym stałej opieki niepełnosprawnym bratem, jak również w kontekście zrozumienia samej siebie, a to w okresie nastoletniego buntu nie jest łatwe.

WSPOMNIENIA Z IRLANDII

Z ekipą filmu „Jak najdalej stąd” młoda aktorka wróciła w miejsca, które poznała jako dziecko. – Mój tata pracował przez kilka lat w Dublinie – mówi. – Ale na zupełnie innych warunkach niż tata Oli. Mógł się tam rozwijać zawodowo. Jako ośmiolatka znalazłam się w tym mieście i mieszkalam w nim przez dwa lata.

Jest w filmie scena, gdy bohaterka idzie przez leżący w centrum Dublina biały most Ha'penny. Milczy załamana wizytą w miejscu, gdzie pracował jej ojciec. Zofia wspomina: – Pamiętam, jak na realizowane ujęcia nakładały się moje prywatne doświadczenia: dziewczynki, która wędrowała tą trasą do szkoły, nie przypuszczając, że wróci na nią jako aktorka. Na dodatek w głównej roli, w filmie reżysera, którego debiutancka „Cicha noc” zrobiła na niej tak ogromne wrażenie, że płakała na seansie. – Życie potrafi być nieprzewidywalne – konkluduje. – Jeśli jednak pozwala wyruszyć jak najdalej stąd, może mu być tylko za to bardzo wdzięczna. 

Dokąd zmierzasz, Teatrze Telewizji?

Ruszył popandemiczny sezon Teatru Telewizji. Telewizja publiczna ma się czym chwalić. W niedawnym programie w TVP Kultura poświęconym temu specyficznemu rodzajowi sztuki ni to teatralnej, ni filmowej wspominałem wielki dorobek tego teatru sprzed lat. Ale przyznawałem: nastąpił cud odrodzenia. Żałuję, że nie wymieniałem nazwiska Ewy Millies Lacroix, szefowej Teatru Telewizji od 2016 r. Odeszła niedawno ze stanowiska w niejasnych okolicznościach.

Następuje po niej Kalina Zalewska, ceniona teatrolog, wiceszefowa pisma „Teatr”. A ja sygnalizuję obawy. Obecny na śniadaniu prasowym prezes TVP Jacek Kurski wraca do pomysłu prostego wprowadzania kamer do teatrów i nagrywania spektakli na scenie. Oczywiście są takie, które warto rejestrować. Oczywiście, jest wartością, gdy się dowiemy, co wspaniałego zrobiono w Krakowie, a co w Legnicy. O to dbano i wcześniej. Tylko żeby to nie zastąpiło własnych produkcji, żeby nie zniszczyło tej specyficznej, jedynej formy. Bo pokusy zastąpienia jednego przez drugie można tłumaczyć choćby oszczędnościami.

Na razie nowe premiery „własne” są zapowiadane, choć mniej niż przed pandemią. Kilka pozycji mnie zaciękało – choćby „Cud biednych ludzi” Mariana Hemara, w reżyserii Zbigniewa Lesienia, z wyborną obsadą. Ale nie widzę wśród nowych ofert klasyki. A tu jest miejsce, aby ją przypominać, kiedy wiele scen się od niej odwróciło. Oczywiście produkcje dopiero ruszyły, uruchamia się zaległości. Ale przed pandemią była i „Zemsta”, i „Hamlet”.

Na razie ruszyliśmy z „Trójkątem Bermudzkim” Marka Kochana. To autor, który z podziwu godną konsekwencją zajmuje się tematyką współczesną i robi to w duchu niepoprawnym z punktu widzenia liberalnego mainstreamu. Tu mamy historijkę o dwóch rozbitkach na bezludnej wyspie, którzy uosabiają dwa klasowe, a może i społeczno-polityczne odłamy naszego społeczeństwa. Kolejny po „Zemście” Redbada Klynstry spektakl o podzielonej Polsce, ale tekst nowy, oryginalny.

Tylko trochę zgadzam się, że Łukaszem Adamskim, że umowna komiksowa realizacja Bodo Koxa, że świetną scenografią Wojciecha Żogały, z zabawnymi animacjami, usprawiedliwia grubą krechę, jaką napisano ten tekst. Nie chodzi mi o groteskowe przerysowania, te lubię, ale o szeleszczące papierem nawiązania do publicystycznych sporów z Facebooka i Twittera. Jednowymiarowe „darcie łacha” z KOD-owskiej „elity” powinno mi się podobać, a jawi mi się jako zbyt łatwe – poza komplikującym schemat, jednak uciętym, zakończeniem.

Naturalnie świetni są bracia: Cezary i Radosław Pazurowie. Dla nich samych warto zobaczyć ten spektakl. I cieszę się, że Bodo Kox, artysta kojarzony prawie z anarchią, krytykuje dziś, także w swoim występie w programie „Tego się nie wytnie” w TVP Kultura, polityczną poprawność. Zaskoczył jeszcze bardziej, bo nakręcił idący teraz w Jedyńce serial „Ludzie i bogowie”, o egzekutorach z AK. To efektowna, oglądana z polskiej perspektywy, opowieść o okupowanej Warszawie.

Ale... Marek Kochan wygłosił kiedyś w mojej obecności krytykę „Emigrantów” Sławomira Mrożka. Tamten tekst



daje jakoby fory inteligentom, a źle pokazuje lud. Mamy więc odpowiedź, ale nie dorównuje ona niestety „Emigrantom”. Notabene Kochan czerpie garściami z innych sztuk „Mrożka”, choćby z „Na pełnym morzu”. Dlaczego jednak mam poczucie, przy zabawnych miejscami dialogach, czegoś zbyt łopatologicznego?

Polecam za to talk-show „Tego się nie wytnie” Mariusza Cieślaka w TVP Kultura.

Lekko, co nie znaczy głupio, komentuje nowości kulturalne. U boku Cieślaka m.in. Łukasz Adamski.

Piotr Zaremba

Kochaj się bezwstydnie

Na TikToku filmik, na którym widzimy, jak zboczeniec seksualny obmacuje publicznie dzieci. Niemożliwe? Joe Biden ma wielkie szanse na to, by zostać wkrótce amerykańskim prezydentem. Molestowana dziewczynka w bordowej sukience jest sparaliżowana, potem próbuje zwrócić uwagę dorosłych na rękę Bidena spoczywającą na jej biodrze. Zboczeniec dobiera się nawet do pięcioletniego dziecka. Stojąc za plecami dziewczynki, głaska ją lubieżnie dwiema rękami po buzi. Dziewczynki się odsuwają, on je mimo to całuje.

Ten 78-latek musi być totalnie uzależniony od perwersji, skoro nie jest w stanie powstrzymać rąk wobec kamer. Komu potrzebna jest pedofilna marionetka na czele największego mocarstwa świata?

Mający dziś sondażową przewagę nad Donaldem Trumpem kandydat demokratów na prezydenta USA pisze na Twitterze w kontekście fejkowej prowokacji polskiego stypendysty fundacji byłego demokratycznego prezydenta Baracka Obamy: „Prawa LGBTQ+ to prawa człowieka”. Próbuje w ten sposób wyrzucić presję na polskie władze. Do czego się posunie, gdy zostanie prezydentem naszego najważniejszego sojusznika? Dziś pisze, że „strefy wolne od LGBT nie mogą mieć miejsca ani w Unii Europejskiej, ani na świecie”. Czy to jest odpowiedź na pytanie, komu potrzebna jest można marionetka na globalnym świeczniku?

Dwa tygodnie temu specjalnym sprawozdawcą ds. zdrowia ONZ została Tlaleng Mofokeng z RPA, zagorzała aborcjonistka, która opowiada się za prostytutką nieletnich. Prawo, za którym od lat lobbują Mofokeng, w pełni dekryminalizuje wszystkie aspekty handlu seksem, włącznie z prowadzącymi domy publiczne oraz sutenerami. Organizacje zajmujące się handlem ludźmi protestują, ponieważ

dekryminalizacja tego procederu skaże kolejne dziesiątki tysięcy kobiet i dzieci na niewolę. ONZ wspiera handel ludźmi i prostytutkę nieletnich. Dlaczego?

Również w Polsce neomarksistowska rewolucja seksualna wykorzystująca perwersyjne ciągoty i ludzkie słabości zdobywa kolejne szanse w wojnie z cywilizacją Matki Teresy i Kanta. Teraz pracownice sex shopu będą edukować polskie dzieci. Agata Ptak i Marta Brzezińska promują w sieci poradnik „edukacji” seksualnej „Kochaj się bezwstydnie”. Poradnik został stworzony przez Grupę Stonewall – organizację LGBT, która jakiś czas temu otrzymała od urzędu miasta Poznań dofinansowanie na przeprowadzenie warsztatów w szkołach.

W jednym z odcinków „edukatorki” zgodnie z zaleceniami WHO zachęcają do regularnej masturbacji i prezentują „gadżety dla lesbijek”, prowadzą bowiem własny sex shop. W innym namawiają do obudzenia w sobie „seksualnej zwierzęcości” i do zezwolenia sobie na zwierzęce fantazje: „Daj się ponieść fantazji z luksusową skórzaną smyczą i odkryj na nowo swoją seksualną zwierzęcość (...). Daj się zapiąć na smycz lub zrób to komuś innemu, zamieniaj się rolami według własnych upodobań, a gwarantuję, że seks nigdy nie będzie nudny. Szeroki zakres regulacji długości pozwoli na praktykę przeróżnych sensualnych wariacji. Zabierz swoją »ofiara« na spacer i delectuj się słodkim zniewoleniem”. W sex shopie kobiety sprzedają też m.in. gadżety do seksu sadomasochistycznego, takie jak liny i sznury do krępowania ciała partnera w trakcie stosunku oraz baty i pejcze do zadawania bólu w trakcie seksu. Zachwalają także kneble do uciszania partnera w trakcie stosunku: „Wysokiej jakości drewniana uzda na skórzanym, regulowanym pasku daje seksowne pole do popisu dla tych, którzy kochają przejmować



ROBERT TEKIELI

w łóżku kontrolę. Pozwala na swobodne i ciche oddychanie, utrudnia natomiast mówienie. Ucisza nim swojego partnera lub partnerkę i przejmij kontrolę nad jego ciałem i orgazmem”.

Panie są aktywistkami Grupy Stonewall będącej częścią ogólnopolskiego lobby LGBT. Aktywiści z Stonewall ściśle współpracują z „edukatorami” seksualnymi z innych miast, m.in. z Warszawy, gdzie odpowiadają za przeprowadzanie Karty LGBT+ i wdrażanie „edukacji” seksualnej w stołecznych szkołach.

Chciecie edukatorów z grup Stonewall, Ponton i innych w szkole waszych dzieci? Być może już byli. Najbardziej postępowe szkoły nie informują rodziców o takich wizytach.

Ludzie z nieuporządkowaną seksualnością opanowują po kolei kluczowe instytucje Zachodu, forsując aprobatę zboczeń. Rewolucja LGBT zrobiła następny krok.

A w Szczecinie w ramach budżetu obywatelskiego zgłoszono projekt budowy pomnika szatana na planie pentagramu i cyfr 666. Figura rogatego bóstwa Baphometa miałyby stanąć obok alei Jana Pawła II. „Będzie to obiekt kultu religijnego i atrakcja turystyczna” piszą obywatele. W USA satanizm jest religią uznaną przez państwo. Szczeciński projekt został odrzucony z powodów formalnych. Sataniści ogłosili, że czują się dyskryminowani.

W Szokujące

Na scenie całkowicie nadzy dorośli ludzie. Na widowni dzieci. Dorośli tustawi, nieapetyczni. 8-11-letnie dzieci nawiązują z nimi relacje. Pytają. Oswajają się z bezwstydną nagością, zarezerwowaną przecież dla sytuacji skrajnie intymnych. Tracą naturalną niewinność. Wstydlivość jest barierą ochronną ludzi psychicznie i emocjonalnie niedorodłych do seksu. Jeśli to nie jest seksualizacja dzieci, to co nią jest? Program wyprodukował duński oddział Warner Bros. Nosi tytuł „Ultra Strips Down”. W jakim celu, w czym interesie emituje go duńska telewizja? Producenci twierdzą, że to audycja edukacyjna



mająca na celu „uświadczenie dzieci, że ludzie są zbudowani na różne sposoby”. Mężczyźni w slipach, kobiety w bikini nie dawałoby takiej wiedzy? Po co pokazywać dzieciom czyjeś narządy intymne? Czyje wizytówki albo adresy e-mailowe po programie dostają uczestniczące w programie dziewczynki, a czyje chłopcy? Pytanie nie na miejscu? W Polsce w latach 90. mieliśmy pedofilny „Tęczowy Music Box”, a potem homopedofilny „Rower Błażeja” (zwany „Pedalem Błażeja”). Współtwórca pierwszego z nich jest oskarżony o gwałty i molestowanie dzieci. Program był sposobem na ich zwabienie i oswojenie z pedofilem. Sąd zakazał dziennikarzowi, który ujawnił tę tragedię, informowania o tym, że Krzysztof Sadowski, jak relacjonuje kilkanaście skrzywdzonych jako dzieci kobiet, jest gwałtciwcem pedofilem.

Ile miesięcy po demokratycznym zwycięstwie w PL nurtu „proeuropejskiego” w telewizji publicznej zobaczymy pedomat z Danii? Czy elektorat mnie słyszy? Słyszą politycy?

W Niewarte

O Harrym Stylesie fantazjuje niejedna fanka. Były wokalista kultowego boysbandu One Direction doczekał się fanfika, na podstawie którego zrealizowano film „After” (fan fiction – dzieła literackie tworzone nieoficjalnie przez fanów). A teraz, na początku września, do kin wszedł film „After 2” („After We Collided”). Ten „Grey dla nastolatków” ma fabułę zbliżoną do „50 twarzy Greya”, choć nie ma tu tyle nagości. Nazywany jest zwodniczo „dramatem romantycznym”, ale opowiada nie tyle o pierwszych miłościach, ile o odkrywaniu nastoletniej seksualności. Pokazuje rozszałą namiętność, a nie miłość. Mamy ułożoną, świetnie uczącą się i ambitną Tessę Young, mamy szkołę z internatem i mamy bad boya. Więc oczywiście zasady Tessy idą w kąt. Bohaterowie zostają kochankami, bo nie parą przecież. Ten wulgarny film podpowiada dzieciakom, by uprawiali seks. W końcu książka, na podstawie której go nakręcono, była książką dla dorosłych.

„After 2”, reż. Roger Kumble
/melodramat, USA, premiera 11 września



W Niewarte

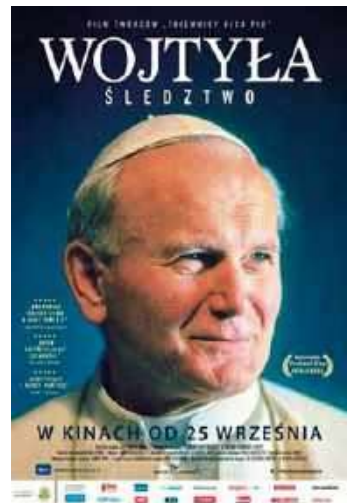
„Nastoletnie łowczynie nagród” Netflixa to dość śmieszna historia Blair (Anjelica Bette Fellini) i Sterling (Maddie Phillips), które przez przypadek w tajemnicy przed rodzicami zaczynają ścigać poszukiwanych przez prawo przestępców. Bliźniaczki pochodzą z bogatych konserwatywnych domów z chrześcijańskiego południa USA. Humor w serialu budowany jest na zderzeniu świata wartości ze współczesnością. Oczywiście to konserwatywne jest nienormalne. Mamy więc kupę „dobrej zabawy”, w tym naśmiewanie się z chrześcijaństwa i naszych wartości. Blair i Sterling duszą się w (skarykaturyzowanej) chrześcijańskiej szkole, nie mogą „być sobą”, robić tego, co „normalni” ludzie. Ale w końcu „normalnieją”, choć uprawiając seks przedmałżeński, usprawiedliwiają go sobie cytatami z Pisma Świętego. Sterling wręcz cytuję Biblię podczas uprawiania seksu. Jest to zwyczajnie obrzydliwe i wulgarne, a serial jest nieodpowiedni dla dzieci i nastolatków. No i pojawia się oczywiście obowiązkowe sześciokolorowe. Bo przecież „Bóg kocha wszystkich niezależnie, jakie literki kogo definiują”. Jeden z widzów skomentował to na forum Filmweba tak: „Całkiem fajnie to śmieszne i gejoza dopiero od 7 odcinka, ale taka spokojna”, jak na Netflix oczywiście.

„Nastoletnie łowczynie nagród”, Kathleen Jordan
/komedia, USA 2020

W Zobaczymy

I na koniec, żeby nie oszaleć: jak donosi KAI, już od 25 września w polskich kinach będzie można zobaczyć „przełomowy dokument o św. Janie Pawle II” zatytułowany „Wojtyła. Śledztwo”, nakręcony przez hiszpańskiego reżysera José Maria Zavale, znanego już polskiej widowni z głośnego obrazu „Tajemnica Ojca Pio”.

Robert Tekieli
Polskie Radio





Wojciech Stanisławski

Sokrates spotyka Kyioko

Powieść Dukaja jakby wyszła z kuźni japońskiego Hefajstosa: wibruje jak dzwon, dudni jak mosiężna płyta, dźwięczy. I wynosi nas na zawrotne wyżyny

I tak nie sposób pisać o „Imperium chmur” bez odwołań do cywilizacji Japonii, pozwólmy więc sobie od razu na lekko bombastyczne porównanie: najnowsza powieść Jacka Dukaja ma tyle warstw, ile katana. Jednosieczne miecze samurajów skuwane były, wiadomo, z kilku rodzajów stali, które przylegają do siebie płasko, jak ciasto francuskie, choć cieńsze są i od niego, i od słojów drzewa. Nie ma sposobu, by je rozdzielić; pozostaje podziw. Można go poczuć, trzymając oburącz katana, trzymając tę książkę.

Pierwsze warstwy da się może jeszcze, z trudem, nazwać. Jedną z nich jest sama „japońskość”. Jaką strasliwą krzywdę uczyniły tej kulturze (zresztą każdej) popkultura, komercja, komunizm. Nużąc płytkość, jakby brnęło się po kostki w zaśmieconym piachu. Bar sushi w przejściu podziemnym, sake w budzie Alkohole 24, kursy kendo i kyūdō w osiedlowych domach kultury, zajęcia z parzenia herbaty dla pań domu. Anime w komórkach, manga w kioskach, tatuaż na łopatkę, kalendarz z ikebana. „Oddali historię i weszli w lenistwo gablotek”. Kawaii? Nie, horror.

Czasem coś przetnie tę plastikową tapetę, raz na dekadę: czasem będzie to „Japoński wachlarz” Joanny Bator, czasem haikai Miłosa i innych, czasem piwowska seria japońskiej prozy, a czasem, tak, „Imperium chmur”. Słowniczek pojęć na końcu tej powieści ma tuzin stron i jest niezbędny, od pieczyka kotatsu, przez miary długości, po ten-nyo, unkai, mon; i bardzo dobrze, przydają się te przerwy w lekturze, która i tak powinna zwalniać, żeby dać w sobie za-

gościć obrazom; a za trzecim czytaniem wiemy już, jak wysoko to – trzy chō.

Ale zarazem ta powieść nie jest przecież „japońska” za sprawą kostiumów. To tuziny pismaków czynią tak, wciskając kimona na postaci europejskie w swoich emocjach i gestach, przebijając je niezdarne za samurajów i gejsze, żeby sprzedać się kolejny harlequin z serii Exotic. „Imperium chmur” po prostu JEST japońskie, stworzone w Niemalej części za pomocą zderzanych ze sobą obrazów, jakby – to zabrzmiało jak oksymoron – haiku pisane było prozą. „Kołysze się lekko w powietrzu, lampion skała, skała origami, origami grzmot”. Ale powaga takiego obrazowania świata (jeśli w powieści słychać śmiech, to tylko dzieci) udziela się również bardziej europejskim zdaniom, napisanym jak wersy Rilkego, stworzonym do czytania na głos, nie do przelatywania wzrokiem w metrze. „Ogromne, kanciate serce stali rotujące w powietrzu nad chorągwiemi Kaitakushi”.

Nie, to na nic. Spróbujmy innej warstwy: historii, fabuły, fikcji. Dukaj sięga chwilami po rozwiązania ze swojej największej powieści, „Lodu” z 2007 r. Widać, że dobrze się czuje w świecie belle époque i cyberpunkowych wizji ze świata tużprzedpalinowego, gdy przestrzeń podbijana była przez stal, parę i elektryczność. A w przypadku „Imperium chmur” w grę wchodzi jeszcze jedna siła: marzenie profesora Geista, które na drugi koniec świata zaniósł jego uczeń i współpracownik, znany tam już nie jako subiekt od Hopfera, nie jako kupiec z Krakowskiego Przedmieścia, lecz jako „Wo Ku Kyi”. Niezwykła wyobraźnia

autora, który świat fizyczny „Lodu” przemienił za sprawą tungetytu, i tym razem nie zawahała się przed wyciągnięciem do końca konsekwencji z jednego paradoksalnego konceptu. Ale najwspanialsze jest to, że nie dał się przy tym wciągnąć logice political ani science fiction: oczywiście, alternatywny świat, powstały w XX w. za sprawą flot powietrznych, jest zupełnie inny niż ten, jaki znamy, nie do poznania są w powieści losy Rosji, Chin, Polski. Ale tam, gdzie inni poszliby w makiaweliczne kombinacje polityczne, tworząc coś na kształt „Fundacji” Asimova czy „Człowieka z Wysokiego Zamku”, Dukaj pozwolił, by do końca wybrzmiał jeden pomysł, rozbudowując na jego kanwie bardzo piękne, czasem bardzo okrutne obrazy. Z jednej myśli, z jednego paradoksu rodzą się zatem rdzawa rosa, metaliczne deszcze i unoszące się nad morzem stada meduz, miecz, który wisi nad Doliną na wysokości dziesięciu jō („w słoneczne dni aż do Godziny Kozła pobłyskuje na wysokościach zimnymi tęczkami stali”), pociski, których nie ściąga w dół grawitacja, i ten pomysł najbardziej wymyślny, jakby z krwawych rysunków Yoshitoshiego: więźniowie powietrznych zbroi, wynoszących ich na takie wysokości, że duszą się z braku powietrza i polatują tak, kościotrupy komandosi, na których upaść się mogą drapieżne ptaki.

Ale przecież nie jest to cyberpunk, bo-
daj i najwyższej próby. Mamy do czynienia z autorem, który w wydanym przed rokiem zbiorze esejów z wnikliwością i bez znieczulenia podjął zagadnienie indywidualności i tego, w jakim stopniu poczucie ja kształtowane jest (czy też, jak

chce, kształtowane było) przez pismo, przez piśmienność, szerzej, przez sposób sekwencjonowania informacji. W „Imperium chmur” wraca do tego zagadnienia – za sprawą kolejnego, zdumiewającego konceptu, związanego z możliwościami zapisu języka japońskiego (tu jednak nie pisnę już ani słowa). Nawet i ten koncept jednak, chociaż zawiązuje akcje w najzupełniej niespodziewany sposób, jest zarazem pretekstem tylko do rozważań o fenomenie „muga”, czyli „bez-ja”: odejścia od naszego, zachodniego wyobrażenia tożsamości, jaką posiada jednostka. „Kim jesteś? Nie wiem”. Gdzieś, na wysokich łąkach Trzech Dolin, Sokrates spotyka małą Kiyoko.

Nie, powyższy akapit też jednak nie oddaje sprawiedliwości „Imperium chmur”. Być może jest to niemożliwe, skuwanych warstw katany nie sposób oddzielić. Powieść Dukaja jakby wyszła



Jacek Dukaj, „Imperium chmur”, Wydawnictwo Literackie, 2020

z kuźni Hefajstosa: wibruje jak dzwon, dudni jak mosiężna płyta, dźwięczy, szeleści: „Bambusowe kielichy rusztowań

Stoczni, na kilkanaście jardów wysokie, na kilkadziesiąt rozłożyste, w których kołyszą się zielone skorupy okrętów tetsu temasi”. Lawa żar-rudy płynie w górę, w dół spadają deszcze żużlu i ołowiane kule, wysoko, wysoko kołyszą się malachitowe i błękitne blachy, niczym na obrazie Magritte’a wisi niepojęcie w górze „kanciaste kłębowisko płacht brudnego metalu”. Ale przecież jest to też hymn o olśnieniu, o „bezglównym wdechu idącym przez duszę dziecka, gdy po raz pierwszy ujrzało ono tęczę, słonia, samolot”. Więc i o dziecku, które zostanie z nami na długo po lekturze, a całą teluryczność tej prozy kruszy jedna fraza czułości: „Gaworzy wiatr do ciepłych muszelek uszu”. Jest to powieść, jak mogłoby być inaczej, o miłościach, niespełnionych – i dlatego, kiedy ucichną dzwony, dudnienia i brzęki, na długo zostanie też z nami srebrna strużyna smutku. 

Kandyd na polach śmierci

Rdzeń wspomnień reżysera i historyka teatru Bogdana Korzeniewskiego tworzą dwa zapisy z Auschwitz i jeden traktujący o ratowaniu przezeń książek zrabowanych z BUW przez Niemców i odnalezionych wiosną 1945 r. w sowieckiej strefie okupacyjnej. Ten tryptyk po raz pierwszy został opublikowany w podziemnej edycji NOWej w 1989 r. Ci, którzy z pewną dezynwolturą sięgali wtedy po zapiski „jakiegoś teatrologa”, przez kilka dni chodzili oniemiałi. Lektura obecnego wydania, uzupełnionego o kilka innych tekstów i wspomnienia mówione, pozostawi czytelników z podobną przypadłością. Jak oddać tej książce sprawiedliwość, nie uciekając się do dwóch wytartych zwrotów: „świadeństwo” i „doświadczenie graniczne”?

Że to ostatnie było niejednokrotnie udziałem häftlinga z niskim (4880) numerem, jeńca niemieckiego w dniach Powstania, więźnia Sowietów kilka miesięcy potem i „negocjatora” zbrojnego w kilka pism z okrągłą pieczęcią i cztery flaszki wódki na terenach kontrolowanych przez Smiersz, nietrudno

się domyślić. Korzeniewski, oddany czasom, urodzie i wartościom polskiego oświecenia, pisząc o tym, wprowadził do literatury polskiej nieznany dotąd ton: Kandyda, spokrewnionego może odrobinę z Kubusiem Fatalistą, stąpającego po polach śmierci z odwagą, której dorównać może jedynie powściągliwość słowa. Wszędzie, gdzie mógł sobie na to pozwolić, gdzie sytuacja przez chwilę była groteskowa raczej niż tragiczna, nie zaniedbał w komentarzu powściągliwego, doskonale takowanego półuśmiechu („Albo spokojny żart etruski / W powiekach jak sosnowe łuski”). W nieporównanie częstszych momentach nieusuwalnej grozy (pierwsze morderstwa, dokonywane na oczach współwięźniów przez kapo; zastrzelenie przez szaulisa kilkuletniego żydowskiego dziecka; gwałcone Niemki) Korzeniewski robi ostatnie, co jeszcze zrobić można: patrzy, rozważając granice i przemiany natury ludzkiej.

Rzeczowość i uważność występują zwykle osobno; pierwsza obciążona jest oschłością, druga – zbytnią emocjonalnością. Zdolawszy je połączyć, Bog-



DO KUPNIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Bogdan Korzeniewski, „Było, minęło... Wspomnienia”, PIW, 2020

dan Korzeniewski opisał kilkoro ludzi – kapo o wyglądzie Quasimodo, który „nie chciał należeć” do zabawy w zabicie, śląskich górników współpasażerów pociągu, bez słowa kładących na kolana zwolnionych z Auschwitz więźniów swoje śniadania, enkawudzistę, zapijającego eterem pamięć o spalonej rodzinnej wiosce – w sposób, który rozszerza nasze pojmowanie człowieka i wojny podobnie jak lektury nieporównanie bardziej głośnie, od Borowskiego po Grossmana. 



Skradziona śmierć



REMIGIUSZ STEFANI

W „wojnie o groby” komuniści stosowali różne metody. Zdecydowanie najobrzydliwszym procederem było chowanie poległych żołnierzy AK, zidentyfikowanych i rozpoznanych, jako bezimiennych NN. Praktyka taka stosowana była bardzo często, szczególnie na Cmentarzu Powstańców Warszawy przy ul. Wolskiej

I dąc główną aleją Cmentarza Wojskowego na warszawskich Powązkach, mijamy znajdującą się po prawej stronie (w kwaterze B6) kwaterę Armii Ludowej (AL). Gdybyśmy jednak weszli głębiej i zaczęli czytać tabliczki epitafijne, okazałoby się ku naszemu zdziwieniu, że są tu również groby żołnierzy Armii Krajowej (AK), funkcjonariuszy MO, żołnierzy LWP i osób cywilnych zmarłych już po wojnie, w tym rocznego syna marszałka Mariana Spychalskiego. Na ponad 150 pochowanych niespełna połowę stanowią członkowie Gwardii Ludowej i AL.

WOJNA TRWA

Kwaterę tworzy pięć rzędów ustawianych nieregularnie obok siebie bloków kamiennych. Niewielkie tabliczki epitafijne są umieszczone na co trzecim, co czwartym kamieniu. Jeszcze do 2014 r. napisy na większości z nich sugerowały, że są to groby wyłącznie gwardzystów. Wszystko to razem miało na celu wywołanie wrażenia dużo większej liczby żołnierzy AL poległych w powstaniu warszawskim (PW). Był to jeden z epizodów tzw. wojny o groby mającej na celu zakłamanie i zawłaszczenie pamięci powstania. Jednocześnie mar-

ginalizowano w ten sposób znaczenie AK i Polskiego Państwa Podziemnego, budując mit AL i PPR jako głównej siły walczącej z Niemcami.

Według najnowszych badań historyków stan liczebny AL na 1 sierpnia 1944 r. w Obwodzie 1 Warszawa-miasto nie przekraczał 400 słabo uzbrojonych i wyszkolonych osób. Nie stanowiło to zatem nawet 1 proc. wszystkich walczących w powstaniu (szacuje się, że siły powstańcze to ponad 55 tys. osób).

Na kilkadziesiąt lat pochowani w kwaterze B6 żołnierze AK zostali po śmierci „wcieleni” do AL. Spotkało to m.in.:

- płk. Alojzego Horaka „Nestorowicza”, komendanta warszawskiego Okręgu ZWZ w latach 1940–1942, rozstrzelanego przez Niemców 12 lutego 1943 r. w Lasach Chojnowskich pod Stefanowem;
- st. strz. Zbigniewa Dardzińskiego „Głazka” z Oddziału Dyspozycyjnego „A” Kedywu Okręgu Warszawa AK. W czasie powstania walczył w plutonie dowodzonym przez ppor. Bolesława Góreckiego „Śnicę”, włączonym do Batalionu AK „Zośka”. Przeszedł cały szlak bojowy Zgrupowania AK „Radosław”. Przed upadkiem Czeraniakowa udało mu się przepłynąć Wisłę, został wcielony do 1 Armii Wojska Polskiego. W 1945 r. zginął w walkach z UPA;
- łączniczkę Helenę Leśniewską „Lalkę”, pochodzącą z Grodna, ciężko ranną 12 sierpnia 1944 r. w rejonie Królikarni, zmarłą 15 sierpnia 1944 r. w szpitalu sióstr elżbietanek przy ulicy Goszczyńskiego;
- kpr. Kazimierza Seydla „Młota”, żołnierza Batalionu WSOP „Dzik”, poległego 23 sierpnia 1944 r. przy ul. Rybaki na Starym Mieście;
- niespełna 13-letnią Basię Kowalską, która zginęła 16 września 1944 r. od wybuchu bomby przy ul. Wspólnej 18 w Śródmieściu.

Tym i wielu innym poległym w PW żołnierzom i cywilom cynicznie przypisano przynależność do AL, zbrojnego ramienia komunistycznej PPR, organizacji jednoznacznie kojarzonej z sowiecką agenturą. Nie odebrano im jednak tożsamości, zostali pochowani pod swoimi nazwiskami. Rodziny mogły zapalić znicze i się pomodlić nad grobem bliskiej osoby.

Ale w „wojnie o groby” komuniści stosowali nagminnie inny, zdecydowanie bardziej obrzydliwy proceder. Poległych żołnierzy AK, którzy zostali zidentyfikowani i rozpoznani, chowano bezimiennie jako NN. Praktyka taka stosowana była bardzo często, szczególnie na Cmentarzu Powstańców Warszawy przy ul. Wolskiej.

Los taki spotkał m.in. mojego dziadka, Edwarda Stefani „Szpagata”, żołnierza III Obwodu AK Wola („Waligóra”), który zginął 5 sierpnia 1944 r. w czasie



Fot. z archiwum Anny Rozalowskiej

Pozowane zdjęcie Janusza Gawdzika (nie palił), wykonane tuż przed Powstaniem

rzezi Woli. Podczas ekshumacji PCK w 1947 r. został zidentyfikowany i rozpoznany, a mimo to pogrzebany w zbiorowym grobie na Cmentarzu Powstańców Warszawy jako NN. Po ponad 70 latach dzięki Muzeum Powstania Warszawskiego (MPW) na podstawie protokołów ekshumacyjnych PCK udało się zlokalizować miejsce, gdzie złożono jego ciało, i umieścić dane na tablicy w kwaterze, w której został pochowany.

Symbolem „wojny o groby” na Cmentarzu Wojskowym na warszawskich Powązkach może być historia Janusza Gawdzika, 17-letniego żołnierza Batalionu AK „Miotła” i jego symboliczny grób w kwaterze Armii Ludowej.

Plut. pchor. Janusz Gawdzik „Kruk” urodził się 1 grudnia 1926 r. w Horochowie w ówczesnym województwie wołyńskim. Przed wojną był uczniem gimnazjum w Lublinie, należał do ZHP. W czasie okupacji przeniósł się wraz z rodziną do Pruszkowa pod Warszawą, gdzie uczęszczał do Zawodowej Szkoły II stopnia (dawnie gimnazjum i liceum im. Zana). Na tajnych kompletach uzyskał tzw. małą maturę. Należał do Szarych Szeregów i uczestniczył w Małym Sabotażu. Od 1943 r. z innymi żołnierzami 6 Rejonu „Helenów” Obwodu VII „Obroża” (powiat warszawski) Okręgu Warszawa AK został przeniesiony do oddziału dyspozycyjnego „Anatol” – „Lilpop” Kedywu Komendy Głównej AK w patrolu sierżanta Tadeusza Palusiaka „Konstantego Jasińskiego”.

W PW walczył od 1 sierpnia na Woli w plutonie ppor. Kazimierza Jackowskiego „Torpedy” w składzie Batalionu „Miotła”. Od 11 sierpnia jako żołnierz Batalionu „Czata 49” w kompanii kpt. Zbi-

gniewa Ścibora-Rylskiego „Motyla” brał udział w walkach na Muranowie i Starym Mieście. Poległ 25 sierpnia w trakcie wycofywania się z zabudowań szpitala św. Jana Bożego przy ul. Bonifraterskiej. Zginął od wybuchu pocisku czołgowego w bramie budynku przy ul. Sapieżyńskiej 21. Pośmiertnie został odznaczony Krzyżem Walecznych.

Prowizorycznie został pochowany na podwórzu domu przy ul. Franciszkańskiej 14 razem z kolegą z oddziału, st. strz. Edwardem Molendą „Talizmanem”. Na początku 1945 r. zwłoki „Kruka” i „Talizmana” przeniesiono tymczasowo do grobów żołnierzy AK w Ogrodzie Krasińskich. Jesienią 1945 r. ciało Janusza Gawdzika zostało wykopane przez specjalną ekipę wojskową i mimo oznaczenia mogiły krzyżem z tabliczką: „ŚP. Janusz Gawdzik – Kruk – plut. pchor. odznaczony K.W. poległ 25 VIII 1944 r.”, zostało pochowane jako NN w ramach „powiększania” liczby poległych żołnierzy AL w kwaterze Batalionu im. Czwartaków.

Historię „Kruka” przywoływał w swoich książkach, m.in. we wspomnieniach „Sierpień przez całe życie”, jego cioteczny brat Juliusz Kulesza, również powstaniec warszawski, 16-letni obrońca Reduty PWPW. Streścił ją na potrzeby tego artykułu. Oddaję mu zatem głos:

JAK „WŁADZA LUDOWA” POZBAWIAŁA TOŻSAMOŚCI

Mój siedemnastoletni, cioteczny brat Janusz Gawdzik był podoficerem plutonu „Torpeda” w Batalionie AK „Miotła”, nosząc pseudonim „Kruk”. Nie wrócił po powstaniu do Pruszkowa, gdzie mieszkał, nie było też informacji o jego pójściu do niewoli, więc początkowo nie wiadano, co się z nim stało. Dopiero latem 1945 r. przypadkowo zobaczyłem jego prowizoryczną mogiłę w Ogrodzie Krasińskich – pośród wielu innych grobów powstańczych. Przybita do krzyża tablica zawierała pełną informację: imię, nazwisko, pseudonim, stopień wojskowy, rok urodzenia...

Rodzice Janusza właśnie przenosili się z Pruszkowa na Śląsk, a ja mieszkalem wówczas w Łodzi, trudne więc było doglądanie mogiły. Grób zaś niebawem zniknął z Ogrodu Krasińskich, nie było też żadnej informacji o ekshumowaniu.

Wielki znak zapytania trwał przez cały okres stalinowski. W międzyczasie potwierdziła się informacja o śmierci „Kruka”, bo dzięki pułkownikowi Adamowi Borkiewiczowi dotarłem do kilku kolegów Janusza z „Torpedy”. Jeden z nich „Kwiatkowski” (Roman Staniewski, niestrudzony badacz historii Batalionu „Miotła”), skierował mnie do człowieka, znajomego tajemnicę grobu „Kruka”. Był to Stanisław Molenda, ojciec „Talizmana” z „Torpedy”, którego grób zapamiętałem – jako sąsiadujący z mogiłą mego brata na skwerze Ogrodu Krasińskich.

Stanisław Molenda z żoną mieszkali na Woli, ulicy nie pomnę. Stracili wszystkich trzech synów, żołnierzy Batalionu „Miotła”. Drużynę braci nazywano „drużyną Molendów”, a dowodził nią najstarszy – Tadeusz „Sęp”, poległy we wrześniu na Czerniakowie. Wcześniej na Starówce zginął Edward „Talizman”, zaś Marian „Mściciel” przeżył powstanie, nie przeżył jednak wojny, na pięć dni przed jej zakończeniem zatopiony w morskich odmętach wraz ze statkiem „Cap Arcona”, załadowanym więźniami hitlerowskiego obozu Neuengamme.

Słów Molendy nie notowałem, lecz tego, co usłyszałem, nie zapomnę do końca życia. Do dziś mam w uszach nawet formę językową jego opowieści.

– Mój chłopak leżał w tym ogrodzie u Krasińskich, więc żeśmy tam zaglądali, żeby go potem pochować na normalnym cmentarzu. Aż się rozeszło, że przyjeżdżają jakieś ciężarówki, wykopują chłopaków i zabierają cholera wie dokąd. To żeśmy się zebrali, ja, żona i ile nas było z dalszej rodziny i żeśmy tam zrobili dyżury. Gorąc był, to się wzięło oranżadę, coś do jedzenia i siedziało się na zmianę pod krzakami przy ogrodzeniu. Akurat na mnie wypadło, jak podeszli z łopatami do mojego chłopaka. To wstałem i podchodzę do takiego oficerka, co miał może ze 25 lat i mówię mu: „A co wy od tego grobu chcecie?”. A on na mnie od razu basem, że niby to właśnie ja co mam do tego, że to są groby Armii Ludowej i że bym się nie wtrącał. A ja mu na to mówię: „Synku, ty na mnie nie wykrzykuj, bo jesteś naprzeciw mnie gówniarz, ja jestem warszawski

robotnik dłużej, niż ty żyjesz na świecie. A ten, co tu leży, to jest żołnierz Armii Krajowej i mój syn i będę się wtrącał, bo go nie dam nigdzie zabrać!”. To mi na to odpowiada, że ja kłamię, bo on jest z Armii Ludowej. Jak mi to znowu powiedział, to jak mówię: „Cooo? Z Armii Ludowej? No dobra! To ty się go teraz zapytaj, gdzie on był? Jak odpowie, że w Armii Ludowej, to se go zabieraj, ale jak nie odpowie, to won od niego gnoju! Bo ja tu całe Warszawe

Według najnowszych badań historyków Armia Ludowa 1 sierpnia 1944 r. mogła liczyć w Warszawie na ok. 400 słabo uzbrojonych i wyszkolonych osób. Nie stanowiło to zatem nawet 1 proc. wszystkich walczących w powstaniu warszawskim

i wszystkie fabryki na nogi postawię!”. No i dali spokój, przeszli do innych. Ale się to tak nie skończyło, bo mnie spisali. Pannie, gdzie mnie nie wzywali! Na Karowej ulicy to taki jeden Rusek na mnie nogami tupął ze złości, ale ja nic. Powiedziałem, że do Bieruta pójdę, a chłopaka nie dam. I obroniłem go.

„Przeszli do innych”... To znaczy – wykopali Janusza. Tak straciło wszelki sens dalsze poszukiwanie grobu mojego brata. Leży dziś jako jeden z nieznanych żołnierzy AL.

A Stanisław Molenda? Od roku 1969 spoczął razem ze swoim „Talizmanem” w batalionowej kwaterze „Miotły”. Nosił pseudonim „Zajac”, lecz serce w nim nie było zajęte.

NIE ZAPOMNIJ O MNIE

Pan Juliusz przez wiele lat śledził losy swojego ciotecznego brata. Odtworzył bardzo szczegółowo jego szlak bojowy

w PW. Przywoływał go też we wspomnieniach jako pogodnego, wiecznie adorującego dziewczętą, świetnie śpiewającego i grającego na gitarze, wchodzącego w życie młodego człowieka. Wspomniany „Kwiatkowski” Roman Staniewski, autor szkicu historycznego o Batalionie „Miotła”, również opisał historię zawłaszczenia ciała „Kruka” w jego biogramie. I właśnie ten biogram (fotografowany podczas digitalizacji Archiwum Romualda Sreniawy-Szypiońskiego w Archiwum Akt Nowych) i patrzący melancholijnie ze zdjęcia chłopak, jakby proszący: „Nie zapomnij o mnie”, zrobił tak ogromne wrażenie na jednym z wolontariuszy MPW, że postanowił on przywrócić tożsamość „Krukowi” w miejscu jego pochowania.

Dzięki pomocy i życzliwości pana dr. Piotra Oleńczaka z Mazowieckiego Urzędu Wojewódzkiego oraz kwerendzie przeprowadzonej przez panie Zdzisławę Korycką i Ewę Kijowską z Cmentarza Wojskowego na Powązkach, uzyskano zgodę wojewody mazowieckiego na umieszczenie tablicy epitafijnej w kwaterze AL. Miejsce symbolicznego grobu (niestety nie udało się jednoznacznie wskazać, pod którą NN kryje się Janusz Gawdzik) wybrała pani Anna Rożałowska z domu Gawdzik, młodsza siostra „Kruka”. W 74. rocznicę śmierci na dosłownie i w przenośni symbolicznym grobie rodzina i koledzy z oddziału mogli zapalić znicze i pomodlić się za duszę Janusza.

Historia ta powinna stać się symbolem wytranej „bitwy w wojnie o groby” oraz natchnieniem dla rodzin poszukujących swoich bliskich, ale również dla urzędników, wolontariuszy i społeczników. Wiele takich „skradzionych śmierci” czeka cały czas na wyjaśnienie. Pamięć o poległych nie może pójść w zapomnienie. Jak widać na przykładzie „Kruka”, nawet po wielu latach można i trzeba zwracać im tożsamość. Dbanie o groby oraz przywracanie nazwisk żołnierzy i cywilnych ofiar PW jest naszym narodowym obowiązkiem. Bo jak powiedział powstańczy kapelan ks. kardynał Stefan Wyszyński: „Gdy gaśnie pamięć ludzka, dalej mówią kamienie”.



Światowa działalność LOTOSU

Grupa LOTOS z sukcesem działa na ponad 80 rynkach na świecie. Wachlarz usług naftowego potentata jest bardzo szeroki. To przede wszystkim najwyższej jakości oleje oraz przewozy kolejowe

Produkty LOTOSU sprzedawane są nie tylko w Polsce. Trafiają do Niemiec, Holandii, Belgii, Szwecji, Danii, Wielkiej Brytanii, Francji, Estonii czy Czech, ale także na daleki Wschód – do Indii czy Chin.

– LOTOS to solidna marka, rozpoznawalna nie tylko w Polsce, ale również za granicą. To dowód na to, że najwyższa jakość produktów oraz usług, w połączeniu z doświadczonym zespołem handlowców, zawsze procentuje. Na przestrzeni lat naszym spółkom udało się wejść na wiele ważnych, światowych rynków. Silne, polskie marki to najlepszy sposób promocji naszego kraju na arenie międzynarodowej – mówi Paweł Jan Majewski, prezes zarządu Grupy LOTOS.

POLSKIE OLEJE W... KAMBODŻY I INDIACH

Zagraniczne rynki podbija m.in. spółka LOTOS Oil – dzięki niej do najbardziej wymagających odbiorców na całym świecie trafiają tysiące ton olejów i smarów rocznie. Oleje LOTOSU można nabyć w tak egzotycznych krajach jak Martynika czy Mauritius. Spółka stara się budować trwałe i długoletnie relacje biznesowe z kontrahentami. W tym celu organizuje spotkania oraz seminaria technologiczne z zagranicznymi klientami, których celem jest prezentacja Grupy Kapitałowej LOTOS oraz gdańskiej rafinerii.

W lutym tego roku spółka LOTOS Oil po raz kolejny gościła w Gdańsku m.in. autoryzowanego dystrybutora z Kambodży oraz jego kluczowych klientów – dyrektorów stacji obsługi samochodów i punktów wymiany oleju. Goście zwiedzili zakład produkcyjny i wzięli udział w szkoleniu z zakresu portfolio produktowego prowadzonego przez technologów LOTOS Oil. Wielokrotnie podkreślali, że są pod wrażeniem miejsca oraz profesjonalizmu polskiego producenta środków smarnych. Kambodża jest dla gdańskiej spółki ważnym rynkiem strategicznym.

W Gdańsku odbyło się także spotkanie przedstawicieli LOTOS Oil z innymi kluczowymi kontrahentami z wielu regionów świata: Azerbejdżanu, Turcji, Gruzji, Kazachstanu, Rosji, Ukrainy, Białorusi, Estonii, Łotwy i Litwy.

Koncern może się także pochwalić udaną kooperacją z Indiami. Ciekawostką jest fakt, że Hindusi doskonale kojarzą słowo LOTOS, gdyż kwiat o tej nazwie na trwałe jest związany z tamtejszą kulturą. Jego nazwa to symbol doskonałości i czystości. Warto pamiętać, że Indie przodują na świecie nie tylko pod względem demograficznym, ale także gospodarczym i motoryzacyjnym. LOTOS dostrzega olbrzymi potencjał w tym rejonie.

Spółka LOTOS Oil podpisała także umowę z chińską firmą OUPUL Oil & Gas Group Co. Ltd., zgodnie z którą do Chin trafia kilkanaście olejów smarowych rocznie.

LOTOS NA ZAGRANICZNYCH TORACH

Swoją działalność międzynarodową rozwija również LOTOS Kolej, drugi największy przewoźnik kolejowy w Polsce pod względem pracy przewozowej i lider na rynku pod względem przewozów towarów niebezpiecznych. W 2020 r. spółka uzyskała od czeskich urzędników specjalny certyfikat bezpieczeństwa, dzięki któremu może prowadzić przewozy w Czechach własnymi składami pociągowymi aż do 2024 r. Pierwszy transport do Czech odbył się w lipcu tego roku. Równolegle od 2015 r. realizuje przewozy kolejowe w Niemczech.

Firma realizuje również przewozy na stacjach granicznych z Rosją, Czechami, Słowacją i Białorusią. W planach jest rozpoczęcie przewozów do stacji granicznej z Litwą, co wpisuje się w trend wzmacniania siatki tak bardzo pożądaných połączeń wschód–zachód. W Polsce LOTOS Kolej rozbudowała sieć swoich oddziałów regionalnych. Jej pociągi towarowe wożą coraz więcej i częściej. Potwierdzają to również ostatnie miesiące. Pomimo pandemii i mniejszego zapotrzebowania na transport różnych grup produktowych, LOTOS Kolej wzmocniła swoją pozycję. Udziały gdańskiej spółki w rynku przewozowym za ostatnie miesiące są jednymi z najwyższych w historii.

Sławni Polacy, którzy zmienili świat

Filomata w Chile

Co łączy „Dziady” Mickiewicza i Chile? Bohaterem obu był Ignacy Domeyko. Filomata i powstaniec listopadowy, stworzył podstawy przemysłu wydobywczego, meteorologii, działalności społecznej i systemu oświaty tego południowoamerykańskiego kraju

Wiosną 1931 r. Ignacy Domeyko miał 29 lat i wiele wskazywało na to, że więcej mieć już nie będzie. Uzbromiony w niedawno kupiony karabin przechodził przez Puszczę Augustowską, by dołączyć do oddziału gen. Józefa Zygmunta Skrzyneckiego i wziąć udział w trwającym wówczas powstaniu. Pech chciał, że natknął się na rosyjski patrol. Był to czas, kiedy młodego Polaka z karabinem z założenia uznawano za szpiega. To zaś oznaczało karę śmierci bez sądu – obowiązywał stan wojenny, a tak po prawdzie formalnie trwała po prostu wojna. Wbrew obiegowej opinii w tamtych latach nawet rosyjscy żołnierze nie byli jednak prostymi dzikusami. Domeyce pozwolono się wypowiedzieć, skądś znalazł się nawet ksiądz. I jemu właśnie chłopak zawdzięczał życie, a świat – wiele znakomitych odkryć. Kiedy oddalili się między drzewa, ksiądz kazał mu uciekać. Domeyce nie trzeba było tego powtarzać. Uciekł. Jaki los spotkał księdza, nie wiemy.

ZIEMIANIN POD POLICYJNYM DOZOREM

Na Rosjanach mógł robić wrażenie zwykłego młodego mężczyzny, ale już wówczas Domeyko nikim zwyczajnym nie był. Na Uniwersytecie Wileńskim doskonale poznał nauki przyrodnicze, brylował na zajęciach z fizyki, astronomii, architektury, chemii i filozofii, szczególnie pociągały go jednak matematyka i historia naturalna Ziemi z naciskiem na mineralogię. Nie miał jeszcze okazji się wykazać, bo po pierwsze – był młody, po drugie – wciągnęły go wypadki polityczne. Podczas studiów w Wilnie zaangażował się w działalność Towarzystwa Filomatów, nawiasem mówiąc, jako bodaj najmłodszy. Tam też poznał Adama Mickiewicza, z którym zaprzyjaźnił się blisko, co z kolei zaowocowało tym, że Domeyko przeszedł do kanonu światowej literatury jako pierwowzór postaci Żegoty z „Dziadów części trzeciej”.

Zanim to jednak nastąpiło, musiał odpokutować działalność patriotyczną. Dzięki wstawiennictwu rodziny uniknął co prawda zesłania, ale na kolejne sześć lat został uwięziony w ro-

dziennym majątku Zapole, pod stałym dozorem policyjnym. Dla młodego, targanego temperamentem i wiecznie głodnego chłopaka było to bolesne, ale dla Zapola i jego mieszkańców z pewnością nie. Administrując majątkiem, Domeyko znacznie ograniczył pańszczyznę, założył szkołę dla chłopów, a także wspierał hodowlę koni.

I być może dożyłby swoich dni jako wzorowy ziemian, gdyby nie wybuch powstania listopadowego. Do oddziału Skrzyneckiego co prawda nie dotarł, ale wkrótce potem dołączył do gen. Dzyderego Chłapowskiego. I tu jednak nie powalczył zbyt długo – kampania litewska była w zasadzie z góry skazana na porażkę i po rozbiciu oddziałów wraz z niedobitkami Domeyko przekroczył granicę Prus. W tym momencie rozpoczął tułaczę życie emigranta. Trudne, ale przynajmniej pozbawione kontroli rosyjskiej policji.

WYCIECZKI Z WIESZCZEM

Początkowo osiadł w Dreźnie, w którym spotkał Mickiewicza. Były to beztrudne miesiące, w czasie

PARTNER DODATKU



których przyjaciele głównie podróżowali w malownicze zakątki Alp. To zapewne w tym momencie Domeyko ponownie zainteresował się geologią i mineralogią, bo wkrótce, po kolejnym okresie tułaczki, rozpoczął na tych kierunkach studia w paryskiej Sorbonie, w College de France i wreszcie w Szkole Górniczej. Musiał wykazywać naprawdę duże zdolności, skoro najpierw został zatrudniony przy poszukiwaniu złóż minerałów w Alzacji, a w 1837 r. otrzymał propozycję prowadzenia wykładów w Coquimbo w Chile.

Każdy polski emigrant w Europie czuł na plecach oddech Rosji. Tajne służby wszystkich państw podjęły w tym okresie ścisłą współpracę przy zwalczaniu ruchów rewolucyjnych, a Polacy cieszyli się wówczas zasłużoną opinią „producentów rewolucji” i „profesorów barykad”. Domeyko nie zastanawiał się więc długo i po cztero-miesięcznej podróży znalazł się Ameryce Południowej. I właśnie w Chile znalazł drugą ojczyznę.

Zaaklimatyzował się tu natychmiast. Na co dzień wykładał na uniwersytecie, ale każdą wolną chwilę poświęcał na wyprawy w głąb kraju. Odkrywając i badając złoża minerałów, składając projekty ich eksploatacji – w zasadzie tworząc tu podwaliny przemysłu górniczego. Był niezwykle pracowity, a efekty jego działań na tyle imponujące, że bardzo szybko docenił to rząd – najpierw mianując go głównym sędzią górniczym, a wkrótce potem przyznając obywatelstwo chilijskie.

Jednocześnie zyskiwał sławę na Starym Kontynencie. Wysłał do Paryża ok. 4 tys. znalezionych przez siebie minerałów, z których wszystkie omawiane były na posiedzeniach akademickich, a następnie regularnie publikowane. Dzięki temu w latach 40. XIX w. zyskał już sławę o światowym zasięgu. Tym bardziej że napisane przez niego podręczniki wydawane były w wielu krajach i, co najważniejsze, pozwoliły wykształcić kolejne roczniki młodych geologów.

PO PÓLWIECZU W POLSCE

Pierwotnie zamierzał po okresie chilijskiego kontraktu wrócić do Francji, skąd chciał obserwować wydarzenia w Polsce. Zwłaszcza wówczas, kiedy

wybuch Wiosny Ludów znów wzbudził nadzieję na odzyskanie niepodległości. Przed wyjazdem powstrzymały go jednak jednocześnie chilijski rząd i serce. Pierwszego zapewne by nie posłuchał, choć oferowano mu zaszczyty, stanowiska i pieniądze. Serce jednak przeważyło – Domeyko poślubił wkrótce ponad 30 lat młodszą Enriquetę. Został więc w Chile i zrobił dla tego kraju więcej niż ktokolwiek. Nie tylko przebadał go pod kątem geologicznym, ale stworzył także podstawy badań meteorologicznych, usprawnił rolnictwo, a także zreformował oświatę, co przyczyniło się do znacznego ożywienia intelektualnego w tym dość zacofanym wówczas państwie.

Na powrót zdecydował się dopiero w mocno już podeszłym wieku. Miał wówczas 82 lata. I dopiero wtedy przekonał się, jaką cieszy się sławą. Cała trasa jego przejazdu była jedną wielką fetą na jego cześć, która w Warszawie i Krakowie przemieniła się w tłumne manifestacje. Kiedy w końcu dotarł na Litwę, gdzie zamierzał osiąść w majątku rodziny, stwierdził, że mimo za-

awansowanego wieku, nie chce nigdzie osiadać. Zdażył jeszcze odwiedzić Paryż, we Włoszech wdrapać się na Wezuwiusza, nie wspominając o nieustannych wycieczkach po Małopolsce. Ostatnich siedem lat życia upłynęło mu na takiej właśnie aktywności, wieku jednak nie był w stanie oszukać. Zmarł w 1889 r.

Jednak nie całkiem. Oprócz wszystkich swoich badań naukowych przez całe życie był bardzo zaangażowany społecznie, co wynikało zapewne z jego natury, ale zostało też mocno podkreślone przez młodzieńczy kontakt z filomatami. Tak zapamiętano go również w Chile, a pamięć tę podsyciła jeszcze bardziej zmarła w 2007 r. wnuczka Ignacego i Enriquetty, Ana Domeyko Alamos de Salazar – wybitna działaczka na rzecz biedoty i emigrantów, zwłaszcza podczas II wojny światowej. Czuła też wielki związek z Polską. Założyła m.in. Towarzystwo im. F. Chopina i zgrupowała wokół siebie całkiem liczną w Chile Polonię.

W tym odległym kraju nazwisko Domeyko jest do dziś szerzej znane niż w Polsce.



Źródło: Biblioteka Narodowa

Fot. Shutterstock

Człowiek, który rozświecił Amerykę

Z temperamentu był żołnierzem, z wykształcenia chemikiem, a z natury filantropem.
Polski powstaniec Erazm Jerzmanowski stworzył cały przemysł gazowy Stanów Zjednoczonych

W momencie gdy Ostaszewski dokonywał swoich rewolucyjnych odkryć, Jerzmanowski właśnie umierał. Był blisko ćwierć wieku starszy, ale w jego przypadku o szaleństwie nie mogło być mowy. Przeciwnie. Swoją doskonałą wiedzę z zakresu chemii potrafił przekuć jedną z największych fortun, jakie zbił Polak w XIX stuleciu.

ZE SZKOŁY NA WOJNĘ

Urodził się w 1844 r., co niejako automatycznie sprawiło, że jako 20-latek prosto z politechniki w Puławach trafił do powstania styczniowego, w którym walczył w oddziałach Mariana Langiewicza. Po zakończeniu walk został zmuszony do emigracji. Ale dla takich umysłów nie był to dramat. Przerwaną naukę kontynuował na studiach w Szkole Inżynierii i Artylerii Wojskowej w Metz i być może właśnie z wojskiem chciał związać swoje dalsze losy, bo zdecydował się wziąć udział w wojnie francusko-pruskiej w roku 1870. Pewności nie mamy, ale nie jest wykluczone, że traktował to jako dalszą walkę z zaborcami – wielu Polaków angażowało się w ówczesne konflikty zbrojne po stronach

wrogich państwom zaborczym. Był to w każdym razie w życiu Jerzmanowskiego ostatni epizod wojskowy.

PODOBÓJ DZIKIEGO ZACHODU

Już w 1873 r. znalazł pracę we francuskim przedsiębiorstwie gazowym, które prowadziło eksploatację złóż gazu świetlnego w USA. Doskonale znał język, a także zagadnienia związane z gazownictwem, dlatego został wysłany do Ameryki. Nikt wówczas jeszcze nie zdawał sobie sprawy, że fakt ten nie tylko postawi na głowie życie tego niespełna 30-letniego wówczas emigranta, lecz także odmieni oblicze Stanów Zjednoczonych.

Był młody, przystojny, zarabiał stosunkowo dobrze. Wkrótce po przybyciu do Stanów ożenił się i z tym krajem zdecydował się związać swoją przyszłość. Wykazał się też niezwykle wręcz zmysłem do interesów. Był założycielem kompanii gazowej w Nowym Jorku, potem w Chicago i Baltimore, a następnie w wielu innych miastach Ameryki.

Leonardo ze Wzdowa

Sam określał siebie cesarzem Antarktydy i – zdaje się – królem Troi.
Czy to problem? Niekoniecznie, skoro z całą pewnością był pionierem polskiego lotnictwa. Wynalazł pierwowzór silnika odrzutowego, a także prototyp helikoptera

sem, rodzajem złudzenia optycznego. Ale jednocześnie nawet on nie mógł zaprzeczyć faktom. Ostaszewski znał biegle około 20 języków – od chińskiego po starożytną grekę i od perskiego po stworzony przez siebie język, pierwowzór esperanto. A wszystkie żywe języki europejskie w stopniu biegłym.

Nawet cyniczny z natury Boy nie mógł odmówić Ostaszewskiemu, że w stopniu absolutnie profesjonalnym poruszał się w kwestiach astronomii i akustyki, filozofii i elektryczności, filozofii i mechaniki, a jakby tego było mało, doskonale sprawdzał się też w całkiem przyziemnej roli agronoma. Przydomek „Leonardo ze Wzdowa” nie brzmi może poważnie, ale rzeczy-

wiście wiele łączyło go z najtęższym mózgiem renesansu.

MARZENIA O LATANIU

Miał wiele szczęścia, bo urodził się w roku 1860, w dodatku w Galicji – omiły go więc wszelkie popowstaniowe represje carskie. Nawiasem mówiąc, tym być może należy tłumaczyć, czemu to właśnie Podkarpacie stało się kolebką wielu XIX-wiecznych geniuszy. Tak czy inaczej, ziemiańskie pochodzenie i względna zamożność pozwoliły Ostaszewskiemu najpierw studiować w europejskich centrach naukowych: Berlinie, Wiedniu, Paryżu i Krakowie, później zaś spokojnie czerpać zyski



Adam Jan Kanty Ostaszewski był zapewne całkowicie szalony, ale geniuszu nie odmówił mu nikt. Boy-Żeleński śmiał się z jego teorii, jakoby Słońce leżało wewnątrz Ziemi, a to, wokół czego kręciła się Galaktyka, było tak naprawdę tylko słonecznym reflek-

FORTUNA ZA ŚWIATŁO

Po kilkunastu latach był już niekwestionowanym guru całego przemysłu gazowego USA, a o jego każdej kolejnej inwestycji rozpisywała się prasa całego świata, nadając mu przy okazji przydomek „człowieka, który rozświetlił Amerykę”. Fortuna, jaką przy tym zbił, była zawrotna – został trzecim najbogatszym człowiekiem w kraju. Żaden Polak nie zbliżył się nawet do tego pułapu.

Co najważniejsze jednak, Jerzmanowski bardzo się starał, żeby żaden Polak nie musiał w Ameryce biedować. Inwestował wielkie kwoty w oświatę dla Polonii, otworzył polską czytelnię, zbudował kościół katolicki, czynnie wspierał działalność naukową i kulturalną rodaków. Za działalność charytatywną otrzymał wiele odznaczeń, z których bodaj najwyższy był Order Ostrogi przyznany mu przez papieża Leona XIII. Ale chyba nie to było dla niego najważniejsze.

FILANTROPIA POZA KONTROLĄ

Nigdy nie przestał czuć silnych związków z Polską, a szczególnie z rodzinną Małopolską. Dorobiwszy się fortuny, przekazał doskonale funkcjonujący przemysł gazowy młodszemu, a sam postanowił porzucić Amerykę i wrócić do kraju. Był już w tym momencie obywatelem USA, w dodatku sławnym i bogatym – pozostawał więc całkowicie poza zasięgiem władz zaborczych, co stawiało tego dawnego powstańca w sytuacji psychicznie bardzo komfortowej. I bardzo się starał tym komfortem dzielić. Kiedy osiadł

w majątku w Prokocimiu, natychmiast zadbał o poprawę losu najbiedniejszych. Zdarzało się, że obdarowywał ludzi działką ziemi lub domem, przeznaczał zawrotne sumy na Skarb Narodowy, wspierał Muzeum Narodowe w Rapperswilu, niezliczone fundacje dobroczynne, a nawet konkretne instytucje dla sierot. Ufundował witraże na Wawelu, które mistrzowsko wykonał jeden z najwybitniejszych artystów Młodej Polski Józef Mehoffer.

Zmarł w 1909 r., ale jego fortuna nadal wspierała polską kulturę. W testamentie zapisał bowiem Akademii Umiejętności 1 mln 200 tys. koron, czyli 365 kg złota, na utworzenie Fundacji im. Anny i Erazma Jerzmanowskich, z której corocznie miano wypłacać nagrody dla wybitnych polskich twórców lub społeczników. A mowa tu o kwocie 40 tys. koron, co pozwalało takiej osobie żyć i tworzyć wiele lat bez potrzeby zdobywania dodatkowego dochodu. Wielu z nich wykorzystało tę okazję doskonale. Dość wspomnieć, że korzystali z niej m.in. Henryk Sienkiewicz, Ignacy Paderewski, Oswald Balzer, Napoleon Cybulski czy Aleksander Brückner.



Fot. Biblioteka Narodowa

z rodzinnego Wzdowa i bezstresowo prowadzić tam swoje eksperymenty.

Całe dnie upływały mu na malowaniu, tłumaczeniu poezji, a także uprawianiu licznych sportów, wieczory z kolei spędzał na obserwacjach astronomicznych w zbudowanym przez siebie obserwatorium. Jednak jego obsesją było lotnictwo. Mając zaledwie 17 lat, zbudował swój pierwszy – latający – model sterowca, a pięć lat później prototyp samochodu. Marzył jednak o samolotach. Pierwszy projekt (Stibor 1) powstał w 1892 r. i kilkakrotnie wzniósł się w okolicach Krakowa na wysokość ok. 100 metrów. Pilot przeżył, co było wówczas sporym osiągnięciem. Zachęcony powodzeniem Ostaszewski udoskonalał swój projekt, konsultując go m.in. ze słynnymi lotnikami, braćmi Wrightami. Kilkanaście lat później uzyskał we Francji patent na Stibora 2 – płatowca napędzanego siłą mięśni pilota, a w zasadzie podniebego kolarza,

napęd był bowiem rowerowy. Najciekawsze jednak w samolocie było to, że czteropłatowe śmigło wykonywało jednocześnie ruch wirowy i wiosłowy, co – po pewnych przeróbkach – miało stanowić prototyp śmigłowca.

Jednocześnie zbudował we Francji kolejny samolot (wzorowany na maszynach braci Wrightów), który wielokrotnie i z pełnym powodzeniem oblatwał. Uznaje się, że była to pierwsza w pełni sprawna latająca konstrukcja zbudowana przez Polaka.

POLSKA NA BIEGUNACH

Na tym oczywiście nie koniec, bo Ostaszewski pracował nieustannie. Jego dziełem jest np. automat do gry w szachy, wiele drobniejszych instrumentów astronomicznych, a także tzw. silnik wybuchowy, czyli pierwowzór silnika odrzutowego. Zdążył też opatentować silnik hydrauliczny i silnik gazowy. Większość tych wynalazków two-

rzył z myślą o lataniu. Był też wielkim miłośnikiem lotów balonem. Jeszcze w 1888 r. dokonał wyczynu odważnego, jak na swoje czasy, mianowicie przeleciał balonem, na którym powiewała biało-czerwona flaga, nad Berlinem – stolicą jednego z państw zaborczych.

Miał chyba zresztą w tej kwestii szersze ambicje. Jak kilku innych swoich rówieśników snuł plany przeniesienia nieistniejącej formalnie Polski w inne miejsce świata. Tak jak Stefan Szolc-Rogoziński zamierzał umieścić ją w Kamerunie, a Beniowski na Madagaskarze, tak Ostaszewski, wykorzystując luki w prawie międzynarodowym, ogłosił się władcą obu biegunów, Troi i kilku innych miejsc. Kto wie, być może rewolucja w lotnictwie miała na celu ułatwienie masowej przeprowadzki. Te plany i dość głośne w ówczesnym świecie próby obalenia teorii Kopernika skazały go jednak na opinię szaleńca, z którą dożył starości. Zmarł w 1934 r.

Wojciech Lada

Jadłeś już ryż?

Kształt tego kraju bywa porównywany do smoka, który patrzy na świat okiem Hanoi, ale większość kojarzy go z *đòn gành* (czyt. don gań), czyli koszami połączonymi bambusowym drągiem. Takimi, w jakich od wieków wietnamscy rolnicy noszą zebrany ryż.

Do serii „Świat dla Dociekliwych”, która ukazuje się nakładem Wyd. Dwie Siostry, dołączył kolejny tytuł „Xin chào! Wietnam dla dociekliwych” Tôn Văn Anh i Moniki Utnik-Strugały. Nowy przewodnik zabiera czytelnika w niezwykle ciekawą i wcale nieoczywistą podróż. Wypełnioną po brzegi informacjami, ilustracjami (autorstwa Anny Kaźmierak) oraz intrygującymi ciekawostkowo-graficznymi przerywnikami.

To podróż pełna jak kosz, który z każdym ziarnem znajdującego się tam ryżu budzi większą ciekawość. Opowieść o „krajnie smoków i myszajeleni, pól ryżowych i pływających wiosek”, zanurzona jest w tradycję, język, legendy, ale też codzienną współczesność, w której zamiast „Jak się masz?” wita się pytaniem „Jadłeś już ryż?”.

W Wietnamie ryż ma aż pięć nazw. „Cây lúa (czyt. kai lua) to roślina uprawiana na polu. Mą to sadzonka. Thóc (czyt. thok) – nieoczyszczone ziarno. Gạo (czyt. gao) – luskane białe ziarenka, które kupuje się w sklepie. Cơm (czyt. kom) oznacza ryż ugotowany (bez soli!).

Pożywne białe ziarna są podstawą kuchni i tradycji, ale wietnamskie menu nie mogłoby się obejść także bez zupy *phở* – rodzaju rosółu na wołowinie, gotowanego z imbirem, anyżem, kardamonem, cynamonem i ziołami. Podaje się go z ryżowym makaronem *phở* (czyli długimi płaskimi wstążkami), od którego wziął swoją nazwę.

Na północy Wietnamu zupa *phở* jest klarowna i dominuje w niej jedno zioło, np. kolendra, a jako dodatki stosuje się marynowany czosnek, dymkę i sok z cytryny. Na południu kraju dodaje się do niej liście bazylii tajskiej i kielki fasoli mung, doprawiając często świeżymi papryczkami chili i słonym sosem rybnym.

Wietnam to także owoce o często niezwykłym wyglądzie i nazwach. Liczy pod twardą skórką kryje soczysty, słodki i intensywnie pachnący miąższ. Lekko kwaskowaty oskomian po przecięciu przypomina gwiazdę.

Nazwa rambutanu pochodzi od malajskiego słowa rambut, czyli włosy. Czerwony owoc rzeczywiście jest pokryty czymś w rodzaju szczeciny, wewnątrz ma mlecznobiałą galaretowatą miąższ.

Durian, na zewnątrz kolczasty, w środku ma lepki miąższ, który jednym przypomina w smaku budyń waniliowy, innym

– intensywnie pachnące francuskie sery pleśniowe. Z tego drugiego powodu nie wolno go m.in. przewozić samolotem.

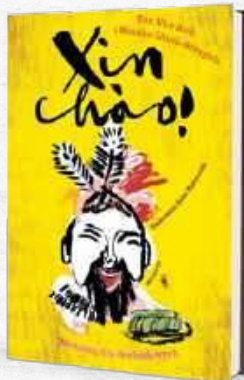
Osiągający wagę nawet 10 kg dzakfrut – mít – wyrasta prosto z pnia tzw. chlebowca i jest trochę podobny do bochenka chleba. Oprócz słodkiego miąższu można jeść też jego nasiona – gotowane, grillowane lub pieczone w popiele (mają wtedy smak kasztanów).

Mangostan – z twardą brązową skórką, która mocno barwi dłonie – wielkością zbliżony jest do mandarynki, a smakuje jak połączenie brzoskwini z poziomką i ananase.

„Pełna pierś karmiącej matki” (czyli *chrysophyllum cainito*) – pod bardzo twardą skórką kryje miąższ o smaku słodkiego jogurtu. Po przecięciu owocu na pół wyjada się go łyżeczką, a oczyszczona lupina często służy potem za miseczkę.

Jest jeszcze wietnamskie jabłko – táo. Są: longan („oczy smoka”) i pitaja, czyli owoc niebieskiego smoka. Jak smakują? To też może być nieoczywiste. Z nowego tomu serii dla dociekliwych podróżników dowiemy się m.in., że Wietnamczycy chętnie maczają owoce w... mieszanke soli i chili. Uważają, że podnosi to ich smakowe walory.

Jolanta Gajda-Zadźworna



Smażone tofu na ciepło



Składniki: 1 kostka tofu, 2 łyżki sosu sojowego, 1 cytryna, pieprz (do smaku), 1 dymka, cebula lub szalotka

Wykonanie: Sos sojowy wymieszaj z sokiem z cytryny, dopraw mielonym pieprzem i dorzuć drobno pokrojoną dymkę, cebulę lub szalotkę. Odstaw. Tofu pokrój na kawałki wielkości opakowania zapalek. Rozgrzej olej na patelni i smaż tofu 5–10 minut, aż zrobi się twarde i złociste. Odwróć na drugą stronę. Po zdjęciu z patelni od razu wrzuć do przygotowanego wcześniej sosu i wymieszaj, tak żeby do każdego kawałka tofu przykleiła się dymka. Podawaj z ryżem.

SŁODKO-SŁONY



Czas pieczenia

ANNA MONICKA

Jeszcze niedawno ciało domagało się sałatek z ogórków, a na obiad wystarczało zjeść ziemniaki z kefirem czy kalafióra z masłem i tartą bułką, teraz nagle, z dnia na dzień dosłownie, do łask wrócił piekarnik. Jedzenie, na które łakomie patrzę, też zmieniło kolor – zamiast zielonego i białego na talerzu lądują kolory znacznie bardziej dojrzałe i gorące: żółty, pomarańczowy, czerwony. Dynie, bakłażany i kabaczki są teraz wyśmienite, jeśli nie skorzystamy, trzeba będzie czekać na świeże cały rok.

Mimo suszy moje faworytki – dynie piżmowe – wyrosły dorodne i soczyste. Najbardziej lubię odmiany przypominające wyciągniętą gigantyczną gruszkę, czyli butternut z bladeżółtą skórką albo barbarę z zieloną w jaśniejsze cętki. Są idealne do pieczenia i łatwo się je kroi w plastry. Mają zwarty miąższ, a gniazdko nasienne zajmuje, jak na dynię, mało miejsca, tyle co niewielkie jabłuszko. Jeśli mam okazję, kupuję też zawsze delicę (sypką w smaku orzechową, genialną na pasty do pieczywa) i hokkaido (piecze się ją w całości, a potem miksuje na zupę razem z ogniste pomarańczową skórką).

Ponieważ nawiozłam z mojego ulubionego gospodarstwa u Ludwika Majlerta pół bagażnika dyń, jem je teraz codziennie. Są bardzo zdrowe, sycące, mają mnóstwo beta-karotenu. A pomysłów na nie jest tyle, że nigdy się nie nudzą. Można zrobić nawet pizzę dyniową, nafaszerować nią pierogi, bułeczki czy upiec czekoladowo-dyniowe ciasto. Ja najchętniej zapiekam moje dynie wymieszane z pomidorami i czosnkiem pod plastrami mozzarelli. Posypuję warzywa garam masalą i odrobiną cukru, żeby nabrały karmelowego posmaku, solę, skrapiam odrobinę octem balsamicznym i olejem dyniowym. Piekę 20 min same warzywa, a potem układam ser i zapiekam jeszcze kilka minut, żeby się zazłocił. Na koniec posypuję parmezanem albo pecorino. Wychodzi danie doskonałe, zazwyczaj obiadowe, ale ostatnio zaczynam od niego dzień.

I tak pewnie będzie, dopóki się nie nasycę smakiem dyń. Same upieczone warzywa można też zmiksować i podawać jako zupę krem w kokilkach. Jeśli są żaroodporne, plasterki mozzarelli można położyć na wierzchu, dodać kleks oleju dyniowego i przez kilka minut zapiec. Pamiętajcie, czas na świeże dynie mija szybko.

WILCZYM OKIEM



Tarnina

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Tarnina, której pełna nazwa brzmi śliwa tarnina *Prunus spinosa* (czyli ciernista śliwa), to jeden z moich ulubionych krzewów. Niepozorna, odgrywa w przyrodzie ważną rolę.

Niewymagająca, jeżeli chodzi o żyzność gleby, odporna na suszę i mróz, rośnie na miedzach, kamienistych skarpach, skrajach lasów i wśród łąk, lubi dużo światła. Rozrasta się w formie kęp, a jeszcze częściej – z racji charakteru środowiska, jakie wybiera – formuje długie wąskie pasy.

Drewno tarniny jest wytrzymałe i sprężyste, a jej gałęzie tworzą splątana, nieprzebytą zaporę – tym bardziej że krótkopędy tarniny są przekształcone w niezwykle ostre i zadziorne ciernie, tak twarde, że przebijają nawet grube podeszwy butów.

Zarośla tarniny, wyróżniane przez botaników jako zbiorowisko roślinne o nazwie *Prunetalia spinosae*, stanowią znakomite schronienie dla wielu zwierząt, często jedyne w otwartym krajobrazie rolniczym. Ścisłe związana z tarniną jest np. osobliwa dzierzba gąsiorek, o cynamonowo-ceglastym wierzchu ciała i czarnej, zbójeckiej przepasce na oczach. Gąsiorek jest zaledwie wielkości wróbla, poluje nie tylko na spore chrząszcze, lecz także na jaszczurki, a nawet gryzonie. Potrafi je schwytać, unieść w powietrze i zanieść do spiżarni w krzaku tarniny, nadmiar zdobyczy magazynuje, nawlekając ją na ciernie. Gęsty krzak tarniny jest także ulubionym miejscem dzierzby na założenie gniazda. Z tarniną związane są zresztą dziesiątki, a nawet setki innych zwierząt.

Wiosną, w kwietniu i początkach maja, tarniny zamieniają się w chmury białego kwiecia, przeistaczając w miejscu pełne uroku nawet niepozorne ugorki; cóż dopiero, gdy rozkwitną na tle świeżej zieleni wczesnowiosennego lasu lub gdy biel ich prześwieconych słońcem płatków rozjaśni łąkę, już i tak ozdobioną różowymi kwiatami rzeżuchy.

Owoce tarniny są małe, siwoniebieskie śliweczki. Choć dziś nieco zapomniane, dawniej stanowiły ważne urozmaicenie diety, głównie jako składnik przetworów i nalewek. Ich zaletą jest także trwałość: utrzymują się przez całą jesień i długo jeszcze zimą, stanowiąc pożywienie rozlicznych stworzeń. Po pierwszych przymrozkach miękną, tracą część cierpkości i nadają się do spożycia na surowo (uwaga: trujące, podobnie jak u innych śliw, są skryte w pestkach nasiona).



W ŚWIECIE LUSTER



HANNA KARP

Ofensywa hollywoodzkiej Międzynarodówki

Nareszcie coś się dzieje. Amerykańska Akademia Sztuki i Wiedzy Filmowej oświeciła ciemny kinowy świat i ogłosiła nowe kryteria przyznawania Oscarów. Od 2022 r. o tę nagrodę będzie się mógł ubiegać tylko film, który przy produkcji i obsadzie ról będzie promować osoby o zróżnicowanym pochodzeniu rasowym, z grupy postaci nieheteroseksualnych, z osób uprawiających seks na sposób, jaki uprawiają tzw. środowiska LGBTQ+. A główny wątek fabularny musi dotyczyć historii lesbijek, gejów, biseksualistów czy transwestytów.

A więc Oscara otrzyma tylko film, który spełni warunki czystej doktryny socrealizmu i filmowych produkcyjniaków z okresu ZSRR. Z tym że nie chodzi już o fedrowanie węgla w kopalni ani wytapianie stali w hucie, lecz o filmowe normy i standardy seksualno-płciowe. Przypomnijmy zatem korzenie nowych hollywoodzkich wzorców.

LENIN I KINO

„Ze wszystkich sztuk najważniejszy jest dla nas film”, te słowa wypowiedziane

przez Włodzimierza I. Lenina w czasach rewolucji październikowej oznaczały, że wódz doceniał znaczenie obrazów zapisanych na taśmie celuloidowej w marszu rewolucyjnego pochodu.

To Lenin, chcąc wpłynąć na sytuację sowieckiej kinematografii, 27 sierpnia 1919 r. postanowił o przeniesieniu produkcji filmów pod zarząd Ludowego Komisariatu Oświaty, sam też nadzorował wówczas rozwój produkcji filmów. Przytoczone słowa padły w rozmowie z Anatolijem Łunaczarskim, ludowym komisarzem oświaty w bolszewickim rządzie, rzecznikiem oraz propagatorem organizowania państwowej opieki nad dziećmi i młodzieżą, zastąpienia rodziny przez organizacje społeczne.

Lenin wynalazek kina uważał za doskonale medium propagandowe, które choć rozwinięte technologicznie, może zostać objęte dokładną kontrolą. Pragnął je wykorzystać szczególnie tam, gdzie film był nowością i mógł być użyty do praktycznego instruowania wykwalifikowanych robotniczych mas. W 1921 r. określone zostały w Rosji podstawowe rodzaje produkowanych

filmów: artystyczne (fabularne), kronikarsko-dokumentalne, popularnonaukowe. Zgodnie z zaleceniami wodza rewolucji realizowano przede wszystkim filmy dokumentalne, kroniki, agitki na tematy naukowe, wykorzystując kino w specjalnych agitpociągach. W 1922 r. w Kraju Rad założone zostało Goskino, centralny organ ds. kontroli i dystrybucji filmów.

A jak było w PRL? Cytat Lenina o filmie w czasach stalinowskich zawisł przy wejściu do Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi. Szkoła od początku w swoim zamyśle miała być kuźnią kadr filmowej propagandy nowej Polski Ludowej. Założona 8 marca 1948 r. w Łodzi stała się otwarciem nowego frontu walki. Miała formować świadomość i umysły mas w imię założeń doktryny marksizmu i leninizmu. Kształciła przyszłych aktorów, reżyserów, operatorów filmowych i telewizyjnych, artystów fotografików, montażyistów, scenarzystów oraz organizatorów produkcji telewizyjnej i filmowej.

Podczas pierwszego naboru spośród 300 chętnych komisja egzaminacyjna wybrała 64 osoby. Pierwsi studenci tworzyli

bardzo zróżnicowaną grupę. Wśród nich znaleźli się weterynarze, rolnicy, milicjanci. Często byli to partyzanci z Armii Ludowej, żołnierze I i II Armii Wojska Polskiego. Szkoła nasycona była donosicielami z UB. Panowała rywalizacja oparta na strachu, niszcząca więzi międzyludzkie. Nieustanna inwigilacja narzucała konieczność uważania na najdrobniejsze nawet słowa czy gesty, bo zanotowane przez pozornie życzliwego kolegę mogły na kilka lat zrujnować komuś życie. Dominowała także agresywna organizacja ZMP wymuszająca udział w wielogodzinnych zebraniach partyjnej samokrytyki.

LGBTQ+ I SOCREALIZM

Szkoła początkowo składała się z dwóch najbardziej podstawowych wydziałów – reżyserskiego i operatorskiego. Studia trwały cztery lata. Program pierwszych czterech semestrów obejmował m.in.: teorię marksistowską (czyli dzisiejsze teorie LGBTQ+) i zagadnienia Polski współczesnej, muzykalnienie, psychologię, historię literatury i sztuki. Studenci i absolwenci szkoły mieli służyć ojczyźnie, tworząc kino socrealistyczne.

Socrealizm był okresem, gdy na zamówienie pisano wiersze i powieści, kręcono filmy, publikowano naukowe dzieła. Realizm socjalistyczny – artystyczna wersja stalinizmu (dzisiejsze kino LGBTQ+) – wciągnął w swoją orbitę setki artystów, także filmu.

Kino socrealizmu zwykle miało swoje pierwowzory literackie, powieści i reportaże powstające także w tym okresie. Pokazywało dobrych komunistów, prawych ubeków, mordowanych przez „leśne bandy”. W kłamstwie uczestniczyli scenarzyści, reżyserzy, popularni aktorzy.

W lipcu 1950 r., podczas piątego zjazdu Związku Literatów Polskich, Adam Ważyk w referacie ogłosił, że przed pisarzem, filmowcem, dziennikarzem stoją dwa zadania: obrona światowego pokoju i przekształcanie oblicza kraju. Jego wystąpienia pełne odwołań do „ludu”, „budowy”, „burżuazji” wyrażały „prawdę”, że dzieło sztuki nie może być rozpatrywane obiektywnie, w oderwaniu od jego funkcji społecznej i ideologicznej.

Ważnym punktem propagandowym nowej Polski Ludowej były relacje Polskiej Kroniki Filmowej m.in. z procesu szesnastu – pokazowego spektaklu politycznego osądzającego przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, przeprowadzonego w dniach 18–21 czerwca 1945 r. w Moskwie. Proces miał skompromitować w oczach opinii międzynarodowej kierownictwo Polski Podziemnej, ale i wszystkich Polaków sprzeciwiających się narzuceniu sowieckiej dominacji. Kamery przedstawiały widzom spreparowany obraz, w którym oskarżeni mieli wyprasowane ubrania, wyprane koszule, byli świeżo ogoleni z dodatkiem pudru na twarzy. Inscenizacja wypełniła swoje zadanie – w odbiorze społecznym oskarżonymi byli nie tylko konkretni podsądni, lecz cała grupa społeczna, przeciw której proces został zorganizowany. W dniu, w którym skazywano polskich przywódców Państwa Podziemnego, w Moskwie dobito targu w sprawie nowego rządu polskiego. Po raz kolejny siła stała się ponad prawem.

Inne głośne procesy pokazowe w komunistycznej Polsce dotyczyły księży kurii krakowskiej (styczeń 1953 r.), biskupa kieleckiego Czesława Kaczmarka (wrzesień 1953 r.) czy afery mięsnej z 1964 r. Każdą z sądowych pokazówek relacjonowała Polska Kronika Filmowa, która z założenia była propagandowym rejestrem bieżących wydarzeń. Operatorzy i montażyści operowali odpowiednio obrazem. Kiedy pokazywali wrogów ludowych (dzisiejszych przeciwników LGBTQ+) przed sądem, to zwykle w planie dalekim, najczęściej pochylonych lub w zbliżeniu, ukazując ich zniekształcone grymasem twarze. Bohaterowie ludu – robotnicy, żołnierze, przemawiający członkowie rządu (dzisiejsi zwolennicy LGBTQ+) – byli filmowani zwykle w planie amerykańskim, kamerą z dołu, co w oczach odbiorcy nadawało im wzniosły wygląd. Także popierające władzę ludową tłumy czy grupy potępiające „reakcję londyńską” pokazywane były szerokim obiektywem, z przebitkami na pojedyncze subtelne twarze.

Te proste chwytły przynosiły oczekiwany efekt perswazyjny. Wzmacniały

dodatkowo siłę procesów pokazowych, które stanowiły element doktryny tzw. prewencji ogólnej w komunistycznej teorii państwa i prawa. Publiczna rozprawa sądowna pełniła przede wszystkim funkcje propagandowe, a procesy pokazowe miały na celu zastraszenie społeczeństwa, rozbijanie solidarności poszczególnych grup społecznych, złamanie woli oporu.

WRÓG NIE REZYGNUJE

W latach 50. ubiegłego wieku kronika ostrzegała już nie tylko przed „niemieckim faszyzmem i rodzimą reakcją”, ale też przed „amerykańskimi faszystami”. Dziś jej niektóre fragmenty wydają się brzmieć jak odezwy ruchu Black Lives Matter: „Oto Ameryka: w cieniu Posagu Wolności policyjna pałka. W kraju wolności miliony ludzi poza prawem. Jest wolność w tym kraju fabrykantów i łamistrąjków. Państwo i policja bronią do upadłego wolności trustów i koncernów, prawa do wyzysku, głośzą amerykański styl życia. Malarstwo: gołe dziwki na bikiniarskich krawatach i kolorowych gatkach. Literatura: zdziwienie, sadyzm, pornografia. Trzeba od małego wychowywać małych gangsterów. Będą potrzebni w Korei. Będą potrzebni w Europie. Imperializm amerykański pierwszy raz na świecie zastosował ludobójczą broń bakteriologiczną. Zawarł sojusz z cholerą, tyfusem i dżumą. Koreańczycy wyłapali spadochroniarskie wszy. My wyłapujemy inne insekty. Jedność narodu wytrąciła wrogom broń z ręki. Ale wróg łatwo nie rezygnuje. Bądźcie czujni!”. Ten fragment Polskiej Kroniki Filmowej z 1953 r. napisał redaktor Karol Małcużyński, a odczytał aktor Andrzej Łapicki, który był lektorem kroniki w najczarniejszym okresie stalinizmu w latach 1947–1956.

Historia zatoczyła koło. Filmowe armaty – Oscary Amerykańskiej Akademii Sztuki i Wiedzy Filmowej – będą „ruszać z posad bryłę świata”, by wkrótce, jak głośzą słowa Międzynarodówki, „być wszystkim”.

Udanego seansu! Tylko kto na takiej armacie wysiedzi?

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu



Nie ma nakazu powszechnego noszenia maseczek

Jakim prawem nakazuje się nam wszystkim noszenie maseczek? Otóż NIE MA takiego prawa. Nakazy takie są nielegalne. Prawo stanowi wyraźnie: nakaz dotyczy wyłącznie osób chorych lub podejrzanych o zachorowanie, czyli mających objawy kliniczne choroby. Innych osób nie dotyczy.

Ustawa z 5.12.2008 r. o „zapobieganiu oraz zwalczaniu zakażeń i chorób zakaźnych u ludzi” w art. 46b pkt 4 mówi, że w rozporządzeniu Rady Ministrów można ustanowić: „obowiązek poddania się badaniom lekarskim oraz stosowaniu innych środków profilaktycznych i zabiegów przez osoby chore i podejrzane o zachorowanie”. A definicja zawarta we wstępie tej ustawy określa, że osoby podejrzane o zachorowanie to tylko te osoby, u których „występują objawy kliniczne choroby lub odchylenia od stanu prawidłowego w badaniach dodatkowych, mogące wskazywać na chorobę zakaźną”.

Mamy zatem tylko dwie, precyzyjnie wymienione w ustawie kategorie osób, wobec których dopuszczalne jest zastosowanie środków profilaktycznych: osoby chore i osoby podejrzane o zachorowanie. Rozporządzenia ministrów mogą przepisy precyzować, ale tylko „w zakresie delegacji ustawowej”. Granice przepisów wykonawczych do ustawy zostały określone treścią delegacji, zawartej w art. 46b. Rozporządzenie musi – jak stanowi art. 92 ust. 1 Konstytucji – zmierzać wyłącznie do wykonania ustawy. Nie może być ani sprzeczne z ustawą (np. przez wprowadzenie rozwiązań nieznanymi ustawie), ani nie może wykroczyć poza zakres delegacji. Rozporządzenia nie mogą regulować spraw, które stanowią przedmiot wyłączności ustawy.

Z ustawy wynika, że „środki profilaktyczne”, a do takich należy obowiązek zakrywania ust i nosa w przestrzeni publicznej, można wprowadzić wyłącznie względem osób chorych i podejrzanych o zachorowanie. Wprowadzanie ich wobec osób niespełniających opisanych w ustawie warunków osoby chorej lub podejrzanej o zachorowanie – jest sprzeczne z ustawą. Nie ma mocy prawnej. Jest nielegalne.

Spójrzmy zatem dokładniej na najnowsze, obowiązujące rozporządzenia Rady Ministrów z 7 sierpnia br. w sprawie ustanowienia określonych ograniczeń, nakazów i zakazów w związku z wystąpieniem stanu epidemii. § 24 mówi: „nakłada się obowiązek zakrywania, przy pomocy odzieży lub jej części, maski, maseczki, przyłbicy albo kasku ochronnego... ust i nosa”.

Rozporządzenie nie precyzuje, na KOGO obowiązek się nakłada. I słusznie, bo to jest właśnie domena ustawy, która wyraźnie wskazuje, że środek profilaktyczny można nałożyć wyłącznie na osoby chore i podejrzane o zachorowanie. Skoro ustawa o chorobach zakaźnych nie przewiduje, aby obowiązek stosowania środków profilaktycznych dotyczył innych kategorii osób, to nawet gdyby rozporządzenie wykonawcze do ustawy wskazywało takie kategorie, byłoby ono w tym zakresie bezprawne jako sprzeczne z aktem wyższego rzędu. Ale rozporządzenie z 7 sierpnia wcale nie łamie ani nie próbuje nielegalnie rozszerzyć ustawy. Co prawda wskazuje się na obowiązki zakrywania ust i nosa przez „widzów”, „klientów” (§ 7 ust. 1), „pasażerów” (§ 23 ust. 3 pkt 3), „obsługę lokalu” (§ 7 ust. 6 pkt 2), jednak jedyny sposób interpretacji tych pojęć pozwalający uniknąć oczywistej niezgodności z aktem wyższego rzędu, na mocy którego zostało wydane rozporządzenie, jest taki, że ten obowiązek dotyczy wyłącznie takich klientów, widzów czy pasażerów, którzy zachorowali na COVID-19 bądź też mają (przynajmniej dwa) objawy kliniczne tej choroby lub też odchylenia od stanu prawidłowego w badaniach dodatkowych, mogące wskazywać na ową chorobę.

Obowiązujące przepisy dotyczące środków profilaktycznych są zatem absolutnie jasne i całkowicie wykluczają możliwość egzekwowania powszechnego (czyli wobec wszystkich osób przebywających na terytorium RP) obowiązku zakrywania ust i nosa w przestrzeni publicznej.

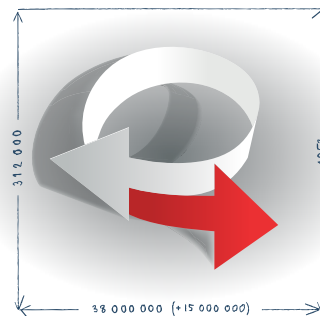
Wyjątki od stosowania obowiązku zakrywania ust i nosa, o których mowa w § 24 ust. 3, to nie wyjątki od reguły obejmującej wszystkich, lecz wyjątki od reguły obejmującej wyłącznie osoby chore i podejrzane o zachorowanie. Pozostałych osób ten obowiązek w ogóle nie dotyczy.

Nie ma więc potrzeby, by odwoływać się do konstytucji czy niezgodności rozporządzenia z ustawą, aby jednoznacznie stwierdzić NIEISTNIENIE powszechnego obowiązku zakrywania ust i nosa. Takiego obowiązku nie zawiera żaden przepis obowiązującego w Polsce prawa.

Wszyscy, którzy twierdzą, że jest inaczej – mylą się. I wprowadzają w błąd innych.

Maciej Pawlicki

POLSKA WIELKI PROJEKT



NOWE POKOLENIE

X KONGRES
POLSKA
WIELKI PROJEKT

9-11
października
2020

W tym roku tylko transmisja online.

Zapraszamy do oglądania na stronę www.polskawielkiprojekt.pl

Paneliści:

Zbigniew Stawrowski • Andrzej Zybertowicz • Antoni Łepkowski • Antoni Libera • Andrzej Nowak • Andrzej Rychard • Bronisław Wildstein • Krzysztof Szczerski • Przemysław Żurawski vel Grajewski • Michał Łuczewski • Justyna Orłowska • Michał Łukasz Kamiński • Paweł Lisicki • Maciej Urbanowski • David Engels • Mateusz Werner • Krzysztof Noworyta • Sławomir Mazurek • Grzegorz Górny • Bolesław Stelmach • Krzysztof Ingarden • Kazimierz Łatak • Hubert Trammer • Andrzej Szczerski • Włodzimierz Bolecki • Dariusz Wieronieczny • Patryk Kencki • Piotr Bernatowicz • Maciej Mazurek

Partnerzy



Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy



Fundacja



fundacja arp



Patronat medialny



Przeszłość zobowiązuje

Otrzymałam z Poznania od dr. n. med. Jerzego Zakrzewskiego, herbu Samson, znanego i cenionego lekarza, krótki list zaczynający się mottem: „Naród, który traci pamięć, traci życie” (Józef Piłsudski), a dalej czytamy: „Okazuje się, że łatwiejsze było zwycięskie pokonanie bolszewików w 1920 r. przez dopiero co zmartwychwstały naród polski (po 123 latach niebytu i tragedii powstań narodowych) niż zbudowanie w 2020 r. na rocznicę stulecia tej bitwy już w wolnej Polsce odpowiedniej wielkości i lokalizacji pomnika upamiętniającego to zwycięstwo. Widocznie naród polski 1920 i 2020 r. różni się zasadniczo w rozumieniu obowiązku narodowego i poszanowania naszej kultury, języka i historii. Narody europejskie lekceważące te wartości skazują się na stopniową degradację i samounicestwienie”.

Jerzy Zakrzewski swój zawód lekarski traktuje jako misję, służbę innym, a jednocześnie dobrze zna historię Polski, z troską śledzi i włącza się w to, co dzieje się dzisiaj, bo z takiej wywodzi się rodziny, od wieków stojącej na straży polskości i patriotyzmu.

O bitwie 1920 r. pisali różni historycy, mężowie stanu i wszyscy zgodnie uważają, że jest to jedna z najważniejszych bitew decydujących o losach świata. Norman Davies już przed laty pisał: „Nie ma chyba wydarzenia bardziej doniosłego, a jednocześnie mniej docenionego”. Natomiast prof. Andrzej Nowak odkrył prawdę bez retuszu: „Przestudiowałem w archiwum w Londynie zapiski brytyjskiego lorda Edgara D'Abernona i raporty wysyłane bezpośrednio przez niego w lipcu i sierpniu 1920 r. do brytyjskiego premiera Davida Lloyd George'a. Początkowo, bo później się to zmienia, były one pełne pogardy i poczucia z jednej strony wyższości, a z drugiej zmarnowanego wysiłku lorda D'Abernona i jego współtowarzyszy w Warszawie. »Po co pomagać tym Polakom? Przecież oni do niczego się nie nadają. Oni nie tylko nie obronią się przed bolszewikami, ale nawet nie zasługują na jakąkolwiek pomoc«, tak mniej więcej brzmiały notatki lorda D'Abernona. Jego zdaniem Europa zaczynała się od Niemiec, i to dopiero Niemiec warto bronić. Dopiero kiedy zobaczył on polskie, samotne zwycięstwo w 1920 r., przy którym Wielka Brytania zrobiła, co mogła, żeby Polsce zaszkodzić, wtedy dopiero lord D'Abernon zmienił zdanie i nazwał 18. decydującą bitwą świata. Zrobił to jednak po to, żeby podźwignąć własną rolę, że był przy tej wielkiej bitwie i tym wielkim zwycięstwie”.

Prof. Józef Garliński z Londynu, wykładowca na wszystkich najważniejszych uniwersytetach Europy i Stanów Zjednoczonych, mówił w wywiadzie do mojego filmu dokumentalnego: „Gdyby Francuzi albo jakikolwiek inny kraj europejski czy Ameryka mieli takie zwycięstwo, to wybudowaliby najwspanialsze łuki triumfalne, jakie trudno sobie



**Alina
Czerniakowska**

wyobrazić w swoich stolicach, by na wieki wszystkie narody wiedziały o tym epokowym dokonaniu, ale Polacy jakoś dziwnie nie potrafią cenić i być dumnymi z dokonań swoich przodków. Nasze dyplomacie od lat, od dziesięcioleci nie potrafią, nie chcą, boją się promować Polskę we właściwy sposób, jak robią to inne narody. Myślę, że zależy to od ludzi, którzy piastują określone stanowiska zarówno w PRL, jak i w III RP, niektórym naszym ministrom, ambasadorom, konsulom nie są bliskie polskie glorie, chwały i walki o prawdziwą niepodległość i suwerenność”.

Mam przed sobą książkę Marty Guzowskiej „Wiedeń. Podróż nieoczywista”, coś w rodzaju przewodnika, i w rozdziale – Kahlenberg – czytamy: „Koło barokowego kościoła prowadzonego przez polskich księży Zmartwychwstańców, w którym w nocy z 11 na 12 września 1683 r. tuż przed walką z Turkami król Jan III Sobieski o 4.00 rano wziął udział w mszy celebrowanej, miał powstać pomnik, którego nie ma. Miał on oczywiście upamiętniać bitwę pod Wiedniem i zostać ustawiony na przygotowanym już granitowym cokole mniej więcej w okragłą rocznicę w 2018 r. Jednak nie doszło do tego, a wiedeński ratusz wystosował oficjalne pismo, które w wolnym tłumaczeniu znaczy tyle, że projektu pomnika nie zatwierdziła Austriacka Rada ds. Pomników i Miejsc Pamięci”. Warto w tym miejscu przytoczyć fragment z zapisów kronikarskich: „Ten sam nieprzyjaciel, któregośmy pobili pod Chocimiem, stoi przed nami. Jesteśmy wprawdzie w obcym kraju, lecz nie walczymy dla obcej sprawy. Walczymy za nasz kraj i za chrześcijaństwo, nie dla cesarza, lecz dla Boga – przemówił Król Jan III Sobieski do żołnierzy 12 września tuż przed bitwą pod Wiedniem i ruszyli do ataku, śpiewając Bogurodzicę. Sobieski stał na wzgórzu i błogosławił drzewem Krzyża Świętego, a w rozstrzygającym momencie sam dowodził husarią...”. I rozsypała się w proch muzułmańska potęga. Polska ocalała Wiedeń i całą chrześcijańską Europę! Nasz pokorny władca nie przypisał tego zwycięstwa sobie, wypowiadając pamiętne słowa: „Venimus, vidimus, Deus Vicit”. „Przybyłem, zobaczyłem, Bóg zwyciężył”. Wtedy też sława polskiego króla i Polski nie podobala się austriackiemu cesarzowi Leopoldowi I, który nie brał udziału w walce, ale chciał uchodzić za zwycięzcę. Trzeba pamiętać, że Austria już niedługo nie zawahała się, gdy wrogowie rozszarpały Polskę, i przystąpiła do zaborów.

Dzisiaj musimy z dumą mówić o Polsce, nigdy nie szkalować do obcych, nie wolno nam trwonić wielkich dokonań naszych przodków na głupie prywatne rozgrywki w walce o władzę. Byliśmy przecież wielkim narodem.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

Ostatni, który tak poloneza wodzi...

Już w pierwszym szkolnym czytaniu „Pana Tadeusza” urzekła mnie możliwość obcowania ze światem, który właśnie się kończy, odchodzi w przeszłość, nieublaganie przemija. „Ostatni, który tak gra na rogu...”. „Ostatni, który tak poloneza wodzi...”. „Ostatni grający tak na cymbałach...”. Stronice eposu narodowego wypełniają po brzegi znakomicie skreślone postaci wyjątkowych przedstawicieli tamtej epoki: niezrównanych strzelców, niepokonanych rębajłów, niedościgłych artystów. Oglądałem ich oczyma Mickiewicza i udzielały mi się jego nostalgia oraz tęsknota za dawnymi cnotami.



**Lech
Makowiecki**

I wtedy zacząłem poszukiwać w swoim otoczeniu ciekawych ludzi będących świadkami historii, o której mogłem już tylko poczytać w książkach. Urodzeni pod koniec XIX w. sięgali pamięcią czasów zaborów, przeżyli Sybir, walczyli o wolną Polskę, brali udział w Bitwie Warszawskiej, budowali zręby II Rzeczypospolitej. To byli fantastyczni ludzie! Prostopolnini, głęboko wierzący, odważni. I mądrzy tym doświadczeniem wynikającym z ekstremalnych czasów, w jakich przyszło im żyć.

Wolność była dla nich tym, czym dla nas oddychanie, a ofiara życia w obronie swych wartości – obowiązkiem każdego Polaka.

Czasami zastanawiam się, jakich „ostatnich” zapamiętają dzieci urodzone w Polsce już w XXI w. Czy będą to żyjący jeszcze nieliczni starszycy z chwalebą przeszłością? Kombatanci spod Monte Cassino? Powstańcy warszawscy? Więźniowie Auschwitz? Żołnierze wyklęci? Czy młodzież zechce skorzystać z ich bogatego doświadczenia? Dowiedzieć się czegoś cennego (dla pokoleń wychowanych w ciepłarnianych warunkach – bezcennego, na wagę przetrwania) o czasach wojennego survivalu, wymagających umiejętności walki, odwagi, solidarności i poświęcenia?

Patrzę na raczkujące dziś w piaskownicy maluchy, mające realną szansę na dożycie XXII w. I zastanawiam się, jak nas zapamiętają? Może jako ostatnich wolnych, niezaczipowanych, samodzielnie myślących ludzi?



Z życia

Kościoła

relacjonuje
**Agnieszka
Ponikiewska**

1. Kościół ma ważną rolę do odegrania w czasach ataku na rodzinę i podstawowe wartości ważne dla wierzących. Dobrze więc, że prezydium Episkopatu zdecydowało się zabrać głos w sprawie konwencji stambulskiej. Biskupi podkreślili, że należy chronić życie rodzinne. Przypomnieli też, jak ważne są „dopełniające się role: macierzyństwo i ojcostwo”, które „nie są stereotypami kulturowymi, ale fundamentem życia człowieka i społeczeństwa, zgodnie z wolą samego Stwórcy”.

✕ ✕ ✕

2. Jednoznaczny głos hierarchów jest w naszym kraju potrzebny i dobrze, że można go usłyszeć. Kościół ma do odrobienia ważną lekcję i słowa bp. Mirosława Mielewskiego pokazują, że coraz lepiej zdaje sobie z tego sprawę. „Naszym wielkim zadaniem, księży i świeckich, jest odbudowa ewangelicznego Kościoła i zatrzymanie wdzierającej się do niego fali sekularyzacji oraz odzyskanie tak mocno naruszonej wiarygodności, którą tak dotkliwie spowodowały i niestety wciąż powodują różne skandale, za które przepraszamy” – powiedział hierarcha.

✕ ✕ ✕

3. Coraz więcej wierzących jest zaniepokojonych działaniami KUL. Uczelnia twierdzi, że zależy jej m.in. na promocji wartości chrześcijańskich oraz nauczania św. Jana Pawła II, więc nawiązuje współpracę z Onetem. Wcześniej ks. prof. Alfred Wierzbicki z Katedry Etyki KUL, broniąc Margot, stanął po stronie LGBT. Oby nowe władze KUL poważnie przemyślały swoje kolejne działania. To bolesne, gdy czyta się, że wierni nie chcą już wspierać finansowo tej ważnej uczelni.

✕ ✕ ✕

4. Można już podsumować sezon pielgrzymkowy. Mimo pandemii ze wszystkich polskich diecezji wierni przybywali na Jasną Górę. Tysiące pątników podtrzymało polski fenomen rekolekcji w drodze. Tegoroczne pielgrzymowanie przyjęło różne formy: tradycyjne, sztafetowe, mieszane czy duchowe. Bp Krzysztof Zadzarko, przewodniczący Rady Episkopatu ds. Migracji, Turystyki i Pielgrzymek, podkreślił: „Z etosu pielgrzymowania nie wolno nam zrezygnować”. Zaapelował, by nie bać się organizowania pielgrzymek, oczywiście z zachowaniem zasad bezpieczeństwa.



JAN POSPIESZAŃSKI

Ztaktyki opozycji „ulica i zagranica” została tylko zagranica. W przypadku reformy sądownictwa, a wcześniej Trybunału Konstytucyjnego europejska opinia publiczna i zachodni politycy angażowali się dość umiarkowanie. Złożoność problematyki wymagała choć odrobinę wiedzy, stąd europejski odzew na lamente opozycji, owszem, owocował rezolucją w sprawie praworządności i uruchomieniem art. 7, ale grillowanie Polski i Węgier stawało się już nudne. Poza rodzimą opozycją i kibicującymi jej mediami działania te nie generowały większego odzewu.

Sytuacja się zmieniła po wyborach prezydenckich. Osią konfliktu jest nadal praworządność, tym razem jednak obudowana całym systemem fake newsów o rzekomych prześladowaniach mniejszości seksualnych. Alarmistyczne doniesienia o przemocy aparatu państwa wobec społeczności LGBTQ+ w propagandowym przekazie okazały się bardziej nośne niż sądy. Wrzesień 2020 zapamiętamy jako początek frontalnej ofensywy.

Teraz, obok posłów KO i komunistów, inicjatorami akcji są radykalne, polityczne środowiska spod znaku KPH, Lambda i All Out. Petycja skierowana do Ursuli von der Leyen wzywająca do „potępienia aktów przemocy” wraz z 300 tys. podpisów tra-

Nie jesteśmy kolonią

Tego rodzaju napaść można było przewidzieć i przygotować się do odparcia kłamstw. Katalog możliwych działań nie wyczerpuje się na paru tweetach czy wystąpieniach

fiły do komisarz ds. równości Heleny Dalli. We wtorek 22 września aktywiści przeprowadzili projekcję na fasadzie Parlamentu Europejskiego, miksując polskie godło z tęczą. Tydzień wcześniej odbyła się debata, podczas której w historycznym tonie europarlamentarzyści, m.in. z Francji i Niemiec, relacjonowali sytuację w Polsce: „Co tydzień pojawiają się nowe ataki, szereg nowych kłamstw trwającej propagandy przeciwko LGBTQ+! [...] kiedy Unia Europejska wreszcie zacznie działać i cisza ogłusza, podczas gdy prawa drugiego człowieka są łamane”. To Terry Reintke z Niemiec. Europoseł z Francji Pierre Karleskind apelował, aby wspierać osoby queer w Polsce, „aby im powiedzieć, że nie są sami, że mają w nas swoich sojuszników”.

Z takim tonem awantur trochę już się zdążyliśmy oswoić. Jednak wystąpienie Ursuli von der Leyen to precedens: „Chcę postawić sprawę jasno – strefy wolne od LGBT to strefy wolne od wartości humanistycznych”. Szefowa Komisji Europejskiej zapowiedziała, że będzie dążyć do wzajemnego uznawania stosunków rodzinnych w UE: „Jeżeli jesteś rodzicem w jednym kraju europejskim, jesteś rodzicem w każdym kraju”. Te kuriozalne akcje powinny postawić na nogi całą reprezentację Zjednoczonej Prawicy. Już nie wystarczy krzyknąć wobec opozycji: „Zdrada, targowica!”. To, co robi szefowa Komisji Europejskiej, to nie tylko uzurpacja, bezczelna próba rozszerzania kompetencji na te obszary, gdzie UE takich praw nie ma. To nie tylko pogarda dla traktatów. To przede wszystkim pogarda dla prawdy i faktów. I o to mam

pretensje do deputowanych rządzącej w Polsce większości. Tego rodzaju napaść można było przewidzieć i przygotować się do odparcia kłamstw. Katalog możliwych działań nie wyczerpuje się na paru tweetach czy wystąpieniach. Mamy, jako obywatele Polski i UE, prawo do prawdy.

Polscy eurodeputowani (piszę „polscy” w rozumieniu reprezentujący polską rację stanu) mają obowiązek dotrzeć z informacją do parlamentarzystów z innych krajów, do opinii publicznej. Muszą opowiedzieć, jak naprawdę wygląda sytuacja w Polsce. Kto jest agresorem, a kto ofiarą. Kto kłamie i używa propagandy. Trzeba zwoływać konferencję, pokazując napaści tęczowych chuliganów i bluźnierców. Trzeba pokazać przemoc symboliczną wobec polskich chrześcijan. Zaprezentować raporty zagranicznego finansowania radykalnych organizacji. Pokazać, na czym polegają rzekome „strefy”, pokazać uchwały gmin chroniące rodzinę i dzieci przed deprawacją. Nie jest to łatwe, ale po to nasza reprezentacja jest w PE. Europarlamentarzyści dostają co miesiąc spore środki. Stać ich, by zatrudnić specjalistów od wizerunku, narracji, kancelarie i prawników. Zamówić artykuły sponsorowane, zrobić prezentacje, filmy, lobbować i pozyskiwać sprzymierzeńców, budować sojusze. A przede wszystkim pokazać państwom starej Unii, że to, co dziś robią, to swoista kolonizacja krajów naszego regionu. Tak jak kiedyś traktowali Afrykę i Azję, tak dziś traktują kraje Europy Środkowej. Nie na to się umawialiśmy. Nie jesteśmy kolonią Brukseli.

Michał Korsun prezentuje:
Dylematy Lecha „Bono” Wałęsy



Wycinki z przeszłości

Wydany we Lwowie „Pięcioletni Ilustrowany Kalendarz Świat i Wiedza” na lata 1935–1939 oprócz porad praktycznych zawierał także sporo humoru. Podpis pod rysunkiem, który powyżej reprodukowujemy, to dialog w restauracji:

- Panie kelner, znalazłem kawałek blachy w pieczeni!
- Tak, tak, teraz samochód wszędzie konia wypiera!

Inne dowcipy:

- Czy zastałem pana doktora w domu?
- Nie! Poszedł do ciężkiej choroby.
- Troski i kłopoty pożerają mój mózg.
- Nie bój się, zdechną wkrótce z głodu.

Szkot pyta kolegę:

- Co robisz ze starymi żyletkami?
- Dziwne pytanie! Golę się niemi dalej!



Służąca do rzeźnika:

- Czy ma pan nogi cielęce?
- Nie, ja mam tylko mózg cielęcy.

Pewien szczęśliwy ojciec pokazuje przyjacielowi swoje dzieci:

- Widzisz, ten to z pierwszego łoża, ten z drugiego łoża, a ten z trzeciego.
- Czy byłeś trzy razy żonaty?
- Nie, ale mieliśmy trzy łóżka. **mlk**

NA GRZYBY! Przypomnienie

W tamte lasy, w księgi,
w strofy tamte...



Adam Mickiewicz
(1798–1855)

Leszek Długosz

Z Księgi III „Pana Tadeusza”

Grzybów było w bród: chłopcy biorą krasnolice,
Tyle w pieśniach litewskich sławione lisice,
Co są godłem panieństwa, bo czerw ich nie zjada,
I dziwna, żaden owad na nich nie usiada.
Panienki za wysmukłym gonią borowikiem,
Którego pieśń nazywa grzybów pulkownikiem.
Wszyscy dybią na rydza; ten wzrostem skromniejszy
I mniej sławny w piosenkach, za to najsmaczniejszy,
Czy świeży, czy solony, czy jesiennej pory,
Czy zimą. Ale Wojski zbierał muchomory.

Inne pospólstwo grzybów pogardzone w braku
Dla szkodliwości albo niedobrego smaku;
lecz nie są bez użytku, one zwierza pasą
I gniazdem są owadów i gajów okrasą.
Na zielonym obrusie łąk, jako szeregi
Naczyn stołowych sterczą: tu z krągłymi brzegi
Surojadki srebrzyste, żółte i czerwone,
Niby czareczki różnym winem napełnione;
Koźlak, jak przewrócone kubka dno wypukłe,
Lejki, jako szampańskie kieliszki wysmukłe,
Bielaki krągłe, białe, szerokie i płaskie,
Jakby mlekiem nalane filiżanki saskie,
I kulista, czarniawym pyłkiem napełniona
Purchawka, jak pieprzniczka – zaś innych imiona
Znane tylko w zajączym lub wilczym języku,
Od ludzi nie ochrzczone; a jest ich bez liku. [...]

CENNIK

PRENUMERAT*

OKRES PRENUMERATY

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZA

Wzajemne bicie... na alarm!

Gdy przeczytałem jakąś książkę – nieważne, czy to lekka powieść do samolotu (w samolocie za nadbagaż się płaci), czy też tomiszkie jakiegoś teutońskiego filozofa – to szukam w internecie recenzji, jakie o danej książce napisano. Od czasów studenckich fascynuje mnie, jak odmiennie różni czytelnicy potrafią odbierać ten sam przecież zamknięty między okładkami tekst.

W księgarni mą uwagę przyciągnął tytuł: „Moment Tukidydesa: Eseje o rewolucji, demokracji i naturze człowieka”. Całość trochę rozczarowała. Tytułowemu momentowi Tukidydesa został poświęcony najkrótszy, liczący osiem stron esej, a problematyka natury człowieka nie została podjęta systematycznie, a tylko rozproszona po całej książce.

Mimo to o tej, kolejnej już, książce Jana Tokarskiego mógłbym napisać sporo dobrych słów. Filozof podejmuje kwestie fundamentalne, wiele razy znalazłem w niej świeże sformułowania starych kwestii, ujęcia kierujące namysł na nieprzetarte jeszcze szlaki dociekań.

Bliżej przyjrzyć się książce Autora może przy innej okazji. Teraz rozważę, z otwarcie nieobustronnej perspektywy, felieton Tokarskiego zatytułowany „Zło nie spada z nieba” napisany dla „Kultury Liberalnej”, który znalazłem przy okazji szukania (bezowocnego!) recenzji jego książki.

We wspomnianym wyżej felietonie redakcja wyróżniła dwa fragmenty tekstu. Oto pierwszy z nich: „Dziś na terenie Polski ponad sto gmin to »strefy wolne od LGBT«. Wybrany przez ponad dziesięć milionów naszych rodaków prezydent w trakcie kampanii z energią i przekonaniem godnym lepszej sprawy podkreślał, że zwolennicy tęczy to »nie ludzie, lecz ideologia«”.

Pominę to, że mimo cudzysłowu wypowiedź prezydenta Andrzeja Dudy nie została dokładnie zacytowana. Fak-



*Przedstawiciele polskiego
konserwatyizmu
przeciwstawiają się
mniejszościowej uzurpacji,
np. próbie narzucania
większości społeczeństwa
nowych form
kulturowych*

tycznie powiedział bowiem: „Próbuje nam się, proszę państwa, wmówić, że to ludzie, a to jest po prostu ideologia”. Nie są to słowa najbardziej precyzyjne. Ale oczywiście, wbrew złośliwym, poddyktowanym politycznym interesom, interpretacjom, prezydent jest przeciw wszelkim formom dyskryminacji osób zaliczających się do którejś z kategorii symbolizowanych przez litery LGBT+.

W podpisanej przez siebie podczas kampanii wyborczej Karcie rodziny wypowiedział się przeciwko promowaniu ideologii LGBT. Niefortunne sformułowanie, które dało podstawy do twierdzeń, że Andrzej Duda nie rozumie ludzkiego wymiaru LGBT,

padło 13 czerwca br., miało miejsce tylko raz. Według mojej najlepszej wiedzy, a rzecz sprawdziłem, nigdy potem słowa takie nie były powtórzone.

Tymczasem Tokarski, mówiąc: „podkreślał”, sugeruje, że słowa takie padły wielokrotnie. To nieprawda. Tak samo jak nieprawdziwa jest lansowana w kraju i za granicą sugestia, że w jakiegokolwiek wyodrębnionej administracyjnie części naszego kraju osoby uznające się za LGBT są dyskryminowane lub tam niewpuszczane.

Swoój felieton Tokarski kończy słowami: „Żaden odziedziczony z tradycji moral nie zwalnia nas z obowiązku zachowania czujności. Zło – w tym to największe – nie spada z nieba. Czas, by bić na alarm jest teraz”.

Otóż słowa Andrzeja Dudy i wielu innych osób o poglądach konserwatywnych to właśnie bicie na alarm.

Gdyby autor „Momentu Tukidydesa” w swoich felietonach trzymał wysoki poziom książki, to zapewne pamiętałby taki oto fragment swego eseju „Granice demokracji”: „We wszelkim roszczeniu, jakie czasy minione (przodkowie, Bóg, tradycja etc.) zgłaszają wobec teraźniejszości, demokracja nie bez istotnych racji podejrzewa uzurpację: działanie mające na celu podporządkowanie licznych woli niewielu” (s. 213).

Przedstawiciele polskiego konserwatyizmu właśnie przeciwstawiają się mniejszościowej uzurpacji. Na przykład próbie narzucania większości społeczeństwa nowych form kulturowych – w tym specyficznego języka służącego do mówienia o ludzkiej seksualności.

Odczytuję felieton Tokarskiego jako przejaw zwierania szeregów kompletnie niezgodnego z duchem subtelnych wywodów książki, w której zresztą problematyka gender i LGBT w ogóle nie została podjęta. W ten sposób obie strony miast rozmawiać, zajmują się biciem na alarm.

Andrzej Zybertowicz

Nowe wydanie

w kioskach!



Za wiarę i wolność

Historia księdza
zamordowanego przez
sowietów

Hetman Żółkiewski

Wybitny wódz w 400.
rocznicę bohaterskiej
śmierci

Węgrzy w Cudzie nad Wisłą

Przypominamy węgierski wkład
w Bitwę Warszawską

Zamów e-wydanie **wSIECI HISTORII** i **SIECI**
na www.SiecPrzyjaciol.pl

- do 70% taniej! Tylko 9,99 zł za miesiąc lub **89,99 zł za 12 miesięcy**
- do czytania na komputerze, smartfonie, tablecie



Sieć Przyjaciół



Jacek Karnowski

Redaktor naczelny tygodnika Sieci



Marzena Nykiel

Redaktor naczelna portalu wPolityce.pl

Sieć Przyjaciół zapewnia dostęp
do cyfrowej wersji **tygodnika Sieci**,
magazynu **wSieci Historii**
i artykułów **PREMIUM+** w portalu **wPolityce.pl**

E-PRENUMERATA **SIECI**
TERAZ 50% TANIEJ!

NOWOŚĆ!
DOSTĘP DO TREŚCI PREMIUM+
W PORTALU **wPolityce.pl**

KUP TERAZ: www.SiecPrzyjaciol.pl